

KOCHAJMY URZĘDNIKÓW
Stereotypy na ich temat
są od lat nieprawdziwe

WIĘCEJ ŚWIECKICH
Niemcy mają pomysł,
jak naprawić Kościół

FILMOWCY I WŁADZA
Festiwal w Gdyni
o włos od skandalu

O ŚMIERCI PRZY KOLACJI
Bargielska i Janicki
oswajają nasze lęki

Kraków 29 września 2019 nr 39 (3664)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

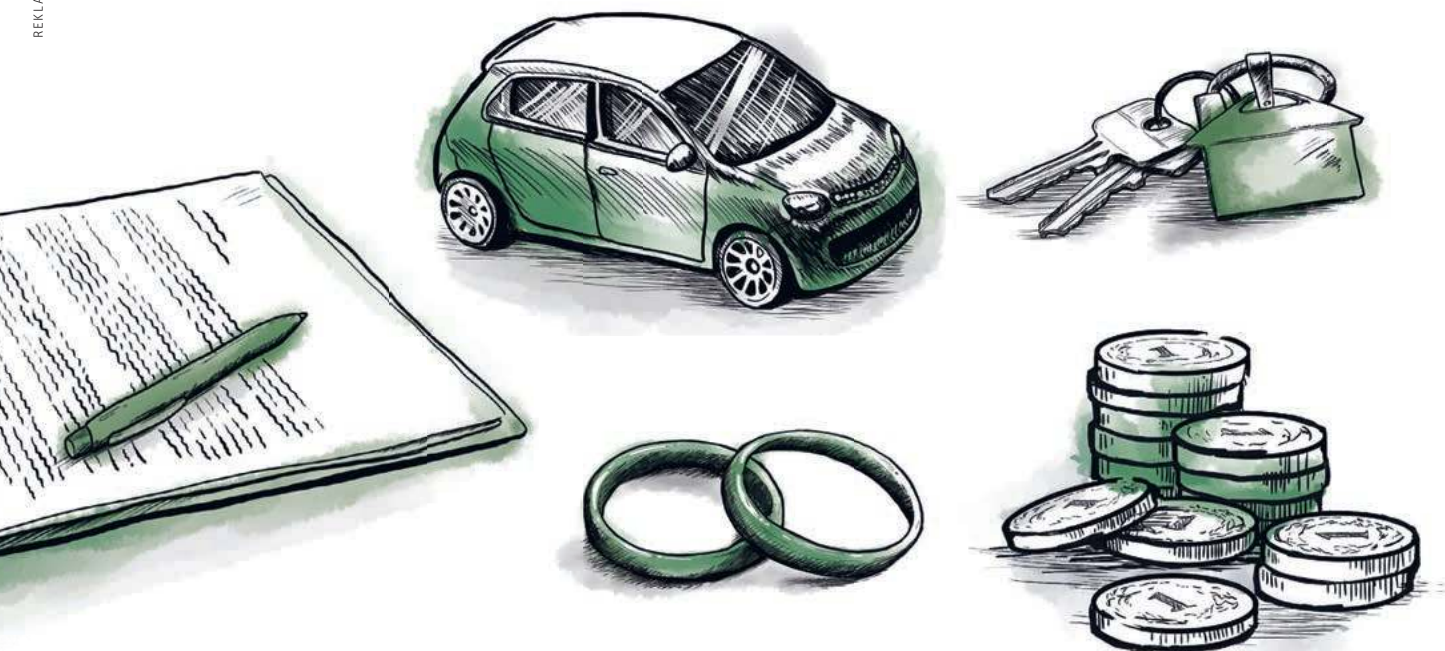
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Taka Polska wygra

Dariusz Kosiński:
SIATKÓWKA
ZASTĄPIŁA SMOLEŃSK

Klaus Bachmann:
WYBORCÓW PiS
NIKT NIE KUPIŁ





adwokat [ad'vɔkat]

/rzeczownik/

-a, -owi; łac. *advocatus* od *advocare*,
wzywać na pomoc

Jesteśmy dla Ciebie **w każdym przypadku.**
Zawsze, gdy potrzebujesz porady,
opinii i pomocy prawnej.

KS. ADAM

Boniecki: Dowcipy śmieszą do czasu

KSIĄŻKI MICHAELA HEBBA „POROZMAWIAJMY O ŚMIERCI PRZY KOLACJI” jeszcze nie czytałem i dopiero teraz dowiedziałem się o ruchu Death Over Dinner. Jednak opis takiej eksperymentalnej kolacji oraz rozmowa Justyny Bargielskiej i Piotra Janickiego, którą drukujemy, ta próba „oswajania nieoswajalnego” i „zglobiania niezglobionego” – po prostu mnie zachwyciły.

Z myślą, że umrzemy, warto się oswoić. W moim dość długim życiu takich rozmów, niekoniecznie przy kolacji, mam za sobą wiele, więc mam w nich (także przy kolacji, dlaczego nie?) spore doświadczenie. Wiem np., że o śmierci inaczej rozmawiają młodzi i zdrowi, którzy wprawdzie wiedzą, że kiedyś umrą, ale będzie to kiedyś... Ich rozmowy o własnym umieraniu i pogrzebie są błyskotliwe, bogate w pomysły, przeplatane dowcipami. Znam sporo tych dowcipów z serii: „umarł X, staje przed świętym Piotrem, a on pyta...” – i przyznaję, że wraz z upływem lat coraz mniej mnie bawią. Inaczej o własnej śmierci rozmawiają ludzie, którzy właśnie stracili kogoś bliskiego, kogo kochali. Oni rzeczywiście martwią się smutkiem tych, których zostawia.

Rozmawiałem o śmierci także z ludźmi, którzy wiedzieli, że odchodzą. Ze wspaniałą panią profesor Barbarą Skargą, która ze spokojem mówiła, że śmierć to unicestwienie, że „nic tam przecież nie ma”, ale także z umierającą osobą tak zdumiewająco radosną, że nie mogłem się powstrzymać od pytania, czy się śmierci wcale nie boi. Popatrzyła na mnie zdumiona: „Bać się? Przecież ja całe życie idę do Niego” – powiedziała. „Do Niego”, czyli do Boga.

Rozmawiałem też z ludźmi tak zmęczonymi życiem i dolegliwościami, że dla nich śmierć to był głównie odpoczynek.

Spotkałem (młodego) człowieka, przed którym rodzina ukrywała prawdę o jego nieuleczalnej chorobie, a on, choć



doskonale wiedział, udawał, że im wierzy. Przed śmiercią pocieszał ich i zapewnił, że „się tam spotkamy”.

Antoni Kępiński, wiedząc, że odchodzi, przygotowywał do druku swoje książki, w których zawarł mądrość i doświadczenie lekarza psychiatry. Ks. Józef Tischner, już śmiertelnie chory, napisał książkę „Drogi i bezdroża miłosierdzia”, w której interpretował prawdę o Bożym miłosierdziu na podstawie „Dzienniczka” siostry Faustyny, konfrontując ją z poglądami Robespierre’a i Nietzschego. I nie mówcie, że to nie były rozmowy o śmierci. Oni w ten sposób, co prawda nie przy kolacji, rozmawiali z tymi, którzy zostaną.

„Przy kolacji” całkiem inaczej niż młodzi rozmawiają o śmierci ludzie starzy, dobiegający kresu (ziemskiej) drogi. Oni już nie mają przed sobą nikogo ze starszego pokolenia i coraz częściej żegnają równolatków. Zwykle są rzeczowi, nie fantazjują na temat swojego pogrzebu. Pytani, kiedy by chcieli odejść, wskazują na konkretne sprawy, które powinni doprowadzić do końca. Porządkują, wyzbywają się rzeczy, chcą oszczędzić kłopotów najbliższym. Powiedzmy też jasno, że inaczej osławiają śmierć ludzie wierzący, inaczej agnostycy, a inaczej ci, którzy w żywot wieczny nie wierzą. Dylemat: czy śmierć to kres wszystkiego, czy przejście do wiecznego życia, jest dla religijnej wiary sprawą ostatecznie najistotniejszą.

Hebb mówi o przygotowaniu na swoją śmierć siebie i najbliższych. Obawiam się, że nawet jeśli rozmowy przy kolacji przygotowują nas do śmierci tych, których kochamy, to nawet sto tysięcy takich rozmów nie zdoła nas uwolnić od cierpienia po ich śmierci. Bo można się uodpornić na ból utraty tego, co mamy. Miłość jednak nie należy do kategorii „mieć”, ale „być”. Śmierć tych, których kochamy, jest raną naszego istnienia.

©P

Licytuj Latarnię Conrada

Tylko do 2 października,
pod adresem powszech.net/latarniaconrada

LATARNIA CONRADA* to cenna pamiątka z poprzedniego Festiwalu Conrada, ale w związku z mniejszym dofinansowaniem z MKiDN otrzymanym w tym roku przez Fundację Tygodnika Powszechnego na organizację tego wydarzenia wystawiamy ją na licytację, z której zysk przeznaczymy na tegoroczną edycję Festiwalu Conrada.

Na latarni, którą oferujemy, autografy złożyli goście Festiwalu, m.in. **Arundhati Roy, Martín Caparrós, David Vann, Inga Iwasiów i Darek Foks.**

To świetna okazja, by wesprzeć finansowo Festiwal Conrada. Zapraszamy do licytacji!

*Latarnia ma średnicę 95 cm i wysokość 130 cm oraz podświetlenie LED. Świetnie nadaje się na wystroju nowoczesnego biura czy dużego salonu (przez rok ozdabiała redakcję „Tygodnika Powszechnego”).





22 Przybyli siatkarze pod okienko

DARIUSZ KOSIŃSKI

Radosna, silna i piękna jak nasi siatkarze: Polska PiS nie cierpi już pod Smoleńskiem. Żyje, jak chce, i dobrze jej z tym.



32 Naprawianie Kościoła

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Do czego doprowadzi rozpoczęta przez niemieckich biskupów synodalna droga?



68 Homo i humus

JUSTYNA BARGIELSKA I PIOTR JANICKI SIADAJĄ DO KOLACJI I ROZMAWIAJĄ O ŚMIERCI:

Możliwe, że całe życie pracujemy na to, żeby nasza śmierć była dobra dla innych.



48 Kraj marzeń wujka Xi

PIOTR BERNARDYN Z PEKINU

Dla rządzących 70-lecie Chińskiej Republiki Ludowej to rocznica prestiżowa.

42 Praca jak każda inna
ROZMOWA Z PAWŁEM GRABOWSKIM, CHIRURGIEM I SZEFE M HOSPICJUM NA PODLASIU:
Czułość, opieka, leczenie bez względu na procedury ludziom się należą, a my im to mamy dać.



75 Ratujmy ten okręt

ANITA PIOTROWSKA Z GDYNI

„Sztuka będzie albo niezależna, albo nie będzie jej wcale”

– mówiono podczas Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Słowa wiceministra kultury o szacunku obecnej władzy dla filmowców brzmiały jak kiepski żart.

6 Zgoda na rzeczy niemożliwe
PAWEŁ BRAVO

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Przybyli siatkarze pod okienko DARIUSZ KOSIŃSKI

26 Przedwyborcze pułapki
KLAUS BACHMANN:
O wiele więcej ludzi sądzi, że PiS wygra wybory, niż skłonnych jest głosować na tę partię

29 Bo jestem dorosły!
ANNA GOLUS *o dyskryminacji ze względu na wiek*

■ ■ WIARA

32 Naprawianie Kościoła
KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

37 Parafie na zielono
MARCIN CHODUŃ: *Synod poświęcony Amazonii sprawi, że o ekologii będzie coraz głośniej. Czy także w polskim Kościele?*

38 Dzieci trudnych czasów
O. JÓZEF PUCIŁOWSKI *OP o Węgrach, bez których współczesne dzieje wiary byłyby mniej barwne*

■ ■ ROZMOWA

42 Praca jak każda inna
ROZMOWA Z PAWEŁEM
GRABOWSKIM

■ ■ ŚWIAT

48 Kraj marzeń wujka Xi
PIOTR BERNARDYN

TEMAT TYGODNIKA



SEBASTIAN KOCOM / FORUM

12 Kochajcie urzędników
RAFAŁ WOŚ

Warto się zastanowić, czy nie należy odwrócić kolejności działań: zanim się zacznie budować drogi i wielkie porty lotnicze, zainwestować się o jakość rządzenia. A więc zainwestować w ów słynny, ale trudny do uchwycenia kapitał ludzki. Czyli mówiąc wprost: w urzędników. Aby to się udało, trzeba najpierw odkłamać stereotyp „urzędniczego darmozjada”, który nie dość, że „żyje za nasze”, to jeszcze jest niedostatecznie miły.

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 41 SZYMON HOŁOWNIA
67 WOJCIECH BONOWICZ 80 JAN KLATA
81 PAWEŁ BRAVO 82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI / PAP
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

52 Kałasznikow w przestworzach INGA ROGGE:
Drony to broń XXI wieku

55 Pałacy problem nad cieśniną Malakka
TOMASZ AUGUSTYNIAK
o smogu wywołanym przez pożary lasów w Indonezji

58 Okupacja na własne życzenie ANNA ŁABUSZEWSKA:
Propaganda Rosji wykorzystwała 17 września do prób dyskredytowania Polski. Oras do wskrzeszenia sowieckich mitów

■ ■ HISTORIA

60 Pierwszego września zapomnieli niemieckiego
STANISŁAW ZASADA:
Opowieść o Józefie Unruğu

■ ■ NAUKA

64 Inżynieria zmysłów
PAWEŁ GWIAZDZIŃSKI: *Co może zmienić substytucja sensoryczna?*

■ ■ KULTURA

68 Homo i humus
ROZMAWIAJĄ JUSTYNA
BARGIELSKA I PIOTR JANICKI

72 Wykłęty PAULINA MAŁOCHLEB
o książce Cezarego Łazarewicza „Nic osobistego. Sprawa Janusza Walusia”

75 Ratujmy ten okręt
ANITA PIOTROWSKA

78 Przyjaciele na okrągło
ANNA PIEKUTOWSKA: *Serial „Przyjaciele” ma już 25 lat*

80 Smak minionego czasu
LEKTOR *o książce „Widok z mojego boksu” Jerzego Pilcha*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

Franczyza z użytecznego modelu prowadzenia działalności gospodarczej przeistoczyła się w Polsce w jedną z najbardziej perfidnych form wyzysku – **RAFAŁ WOŚ** pisze o tym, jak grona gniewu pęcznią i dlaczego tak się dzieje tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Kryzys klimatyczny – serwis specjalny

Tematu klimatycznej katastrofy nie da się już dłużej ignorować – w **SERWISIE SPECJALNYM** poruszamy na bieżąco najważniejsze zagadnienia związane z naszą planetą. tygodnikpowszechny.pl/kryzys-klimatyczny



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)



f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



OBRAZ
TYGODNIA

ZGODA NA RZECZY NIEMOŻLIWE

Obecne protesty klimatyczne zwane są „młodzieżowymi”,
ale to w nich jest dziś esencja polityki.

PAWEŁ BRAVO

SŁUCHAJCIE NIE MNIE, LECZ NAUKOWCÓW” – mówiła niedawno w amerykańskim Kongresie budzicielka sumień Greta Thunberg. Masowe demonstracje, jakie odbyły się w miniony piątek pod hasłem „Strajku dla Klimatu”, świadczą o tym, że akurat młodzież nie ma problemu ze słuchaniem. Naukowcy zaś mają młodym do przekazania coraz gorsze prognozy. Światowa Organizacja Meteorologiczna podała właśnie, że wzrost poziomu mórz znacznie przyspie-

szył, a w latach 2015-19 wyemitowaliśmy o 20 proc. więcej dwutlenku węgla niż w ciągu poprzednich pięciu lat.

Zniecierpliwienie widoczne w oczach młodej Szwedki nie mogło znaleźć lepszego kontrpunktu niż w słowach, które Angela Merkel wypowiedziała w dniu, gdy uczniowie maszerowali ulicami, domagając się prawa do przyszłości. Po specjalnej sesji rządu nazwanej szumnie „gabinetem klimatycznym” kanclerz Niemiec ogłosiła działania mające

*Młodzieżowy Strajk
Klimatyczny,
plac Defilad
w Warszawie,
20 września 2019 r.*

sprzysłać dalszej redukcji emisji – działania z konieczności wyważone i rozłożone na etapy (m.in. system handlu uprawnieniami do emisji, niższy VAT na bilety kolejowe, zakaz instalowania pieców opalanych olejem). Na koniec dodała: „Jest coś, co różni politykę od nauki, a także od niecierpliwości młodych ludzi. Polityka to jest to, co jest możliwe”.

A są to słowa przywódczyni kraju na tyle bogatego, że w zasięgu jej „możliwego” jest wydanie ok. 50 mld euro na wsparcie dla firm energetycznych zmuszanych do szybkiego rezygnowania z węgla. Dla porównania, reszcie górniczych regionów Europy uda się zapewne uzyskać od Unii w ramach siedmioletniego budżetu pomoc rzędu 4 mld euro.

Jeśli protesty klimatyczne mają mieć sens, muszą powrócić do hasła z 1968 r.: „żądajcie niemożliwego”. Także od siebie. Znaleźliśmy się w miejscu, w którym uczciwe staniecie za nauką oznaczać, że zamiast czekać, aż ograniczeni elektoratem i lobbystami politycy rozważą np. wyłączenie elektrowni węglowych za ćwierć wieku, trzeba zacząć żyć tak, jakby tych elektrowni już nie było. Mieć w sobie zgodę na drakońskie tąpnięcie stopy życiowej i dostępu do wielu dóbr – takie, jakie zwykle kojarzy się z gospodarką przestawioną na tory wojenne. Bo w istocie czeka nas podobny do wojennego rozpad świata. Czy w buncie młodych jest też determinacja do koniecznych wyrzeczeń? Tylko to może wzbudzić w rządzących odwagę podejmowania decyzji strasznych z punktu widzenia *status quo*, rozkładających na wszystkich po równo ciężary. Decyzji postrzeganych jako arbitralne i niedemokratyczne. To będzie także test na to, czy mamy w sobie zgodę, by widzieć granice obecnej demokracji, wspartej raczej na manipulacji nastrojami niż ateńskich ideałach głosowania ludzi roztropnych. Nauka nie uzgadnia prognoz w referendum, wiedza ekspercka ma zawsze w sobie coś z „dyktatu elit”.

W przeciwnym razie, jeśli wszyscy dalej pozostaną na poziomie targów o wyjątki, miliardy, dopłaty i ułamki stopni, przyrodnicze kataklizmy w końcu i tak sprowadzą na nas wojnę – tyle że prawdziwą. Obecne protesty klimatyczne zwane są „młodzieżowymi”, ale to w nich jest dziś esencja polityki. ©P

KRAJ W SKRÓCIE

ARBITER ELEGANCI.

„Nasi przeciwnicy ostatnio próbują przebierać się w owczą skórę. Choć próbują to czynić przy pomocy pewnej eleganckiej pani, to jednak z za jej postaci słychać kłapanie zębów wilka” – powiedział Jarosław Kaczyński podczas konwencji PiS w Katowicach, czyniąc aluzję do przedstawionej przez Koalicję Obywatelską jako kandydatka na premiera Małgorzaty Kidawy-Błońskiej.

PYTANIE O WIEK. À propos eleganckich pań: zapytana przez Radio Zet o liczbę parlamentarzystów, a także o minimalny wiek kandydata na prezydenta, kandydatka PiS na postać Dominika Figurska-Chorościńska nie była w stanie udzielić poprawnej odpowiedzi. Jej zdaniem, żeby ubiegać się o prezydenturę, trzeba mieć skończone 70 lat.

PYTANIE O TRANSPARENT.

W KO z kolei kontrowersje wzbudza Klaudia Jachira. Porozumienie Organizacji Kombatanców i Niepodległościowych zaapelowało o usunięcie jej z listy kandydatów po tym, jak w czasie strajku klimatycznego sfotografowała się na tle pomnika AK (opatrzonego napisem „Bóg, Honor, Ojczyzna”) w towarzystwie transparentu: „Bób, Hummus, Włoszczyzna, Vege”.



ADOBE STOCK

PYTANIE O DIETĘ.

Inna sprawa, że trochę wege w Sejmie by nie zaszkodziło. Oto (skądinąd niekosztowne) dzienne menu sejmowej restauracji, opublikowane w jednym z tabloidów: „Zestaw obiadowy kotlet, zupa i kompot – 12 zł, schab w galarecie – 5 zł, kielbasa z cebulką – 5 zł, ryba po grecku – 5 zł, kaszanka – 3 zł, tatar – 7 zł, flaki – 7 zł, bigos – 8 zł, naleśnik – 2 zł, kompot – 1 zł”.

Te dzieci mogą poczekać



MAŁGORZATA NOCU

W 2016 r. SEJM UCHWAŁIŁ USTAWĘ ZA ŻYCIEM, projekt PiS dotyczący dzieci dotkniętych niepełnosprawnością. Miała gwarantować m.in. dostęp do rehabilitacji i terapii. Prowadzenie zajęć powierzono m.in. Ośrodkom Koordynacyjno-Rehabilitacyjno-Opiekuńczym.

W niektórych ośrodkach zajęcia nie odbywają się od maja. Wiosną w MEN-ie ktoś jeszcze odbierał telefon i tłumaczył: „Nie ma pieniędzy”. Dziś z rodzicami nikt już nie rozmawia, dostali tylko informację, że zajęć nie będzie do grudnia. Co dalej? Nie wiadomo. Dla dziecka np. z mózgowym porażeniem dziecięcym „odcięcie” od fizjoterapii to wyrok (zaczynało chodzić, ale nie ćwiczy, siada na wózek, odczuwając ogromny ból). Koszt fizjoterapii to wydatek rzędu kilku tysięcy złotych, wielu rodziców nie może sobie na to pozwolić.

Dzieci niepełnosprawne (i ich rodzice) to niewielka grupa. Z obietnic im złożonych PiS może się po prostu wycofać. Niestety, nie ma nawet na tyle honoru, by to otwarcie zakomunikować. ©

Nie świruj, czyli ubytki w empatii

WYSTARCZYŁOBY, ŻEBY ZDANIE BRZMIAŁO: „Nie wygłupiaj się”. Niestety, pomysłodawca internetowej kampanii profekwencyjnej fotograf Tomasz Sikora nie rozróżnił semantycznych subtelności i namówił sławnych znajomych, żeby wystąpili w filmikach pod hasłem „Nie świruj. Idź na wybory”.

Jeden z nich, Wojciech Pszoniak, zagrał najgorszą rolę w karierze: człowieka w drgawkach i przykurczu, wywracającego oczami i wystawiającego język. Wielu liberalnych polityków i wyborców uznało akcję za wspaniały pomysł, ale znaleźli się i tacy, którzy dostrzegli w niej element stygmatyzacji osób z zaburzeniami psychicznymi. Skrytykowali ją m.in. Rzecznik Praw Obywatelskich, Rzecznik Praw Pacjenta i Polskie Towarzystwo Psychiatryczne, oburzenie wyraził Prezydent.

Sprawę podchwyciły rządowe media, a prawicowi politycy i publicyści, którzy na co dzień z upodobaniem stygmatyzują i wyśmiewają mniejszości, niespodziewanie ujawnili wrażliwość na język wykluczenia. Rzecz jasna, nie chodziło im o ochronę słabych, ale pogębienie utożsamianych z opozycją elit, które wzięły udział w kampanii.

Byłoby świetnie, gdyby za sprawą dyskusji wokół nieszczęsnego hasła słowo „świr” zaczęło znikać z debaty publicznej. Gdyby w tej debacie pojawiła się kwestia kryzysu w ochronie zdrowia psychicznego. I gdyby media, politycy i wyborcy interesowali się tym tematem równie mocno, jak amatorską kampanią z wyjątkowo głupim hasłem. ©P KALINA BŁAŻEJOWSKA

Wakacje i repatriacje

THOMAS COOK, najstarsze biuro podróży świata założone w 1841 r., wystąpiło z wnioskiem o przymusową likwidację. Wcześniej spółka poprosiła udziałowców o dofinansowanie w wys. 200 mln funtów, które pozwoli jej uniknąć bankructwa.

„To smutny dzień dla firmy, która pierwsza wprowadziła na rynek pakiety wakacyjne i umożliwiła podróżowanie milionom ludzi” – skomentował jej dyrektor wykonawczy Peter Fankhauser.

Brytyjski Urząd ds. Lotnictwa Cywilnego rozpoczął już sprowadzanie do kraju ok. 150 tys. klientów biura, którzy utknęli za granicą. Ostatni powrócą na Wyspy za dwa tygodnie. Zdaniem władz będzie to największa tego typu operacja od 1940 r., kiedy sprowadzono ponad 300 tys. żołnierzy otoczonych przez siły niemieckie w rejonie Dunkierki.

© P MAREK RABI

Hiszpański pat

BĘDZIE TO CZWARTE GŁOSOWANIE na deputowanych i senatorów w ciągu ostatnich czterech lat – 10 listopada Hiszpanie po raz trzeci z rzędu zgłoszą w przyspieszonych wyborach parlamentarnych.

W poprzednich wyborach zwyciężyli socjaliści z PSOE, daleko było im jednak do samodzielnej większości w Kongresie Deputowanych (zajęli 123 na 350 miejsc). Próbując utworzyć rząd, przez pięć miesięcy odrzucali koalicyjną ofertę najbliższej ideowo Unidas Podemos. Szef PSOE i tymczasowy premier Pedro Sánchez nie chciał dzielić się władzą z ugrupowaniem, które od momentu powstania odbiera mu wyborców. Wołał zaryzykować kolejny sprawdzian przy urnach. Wstępne sondaże przewidują, że PSOE zyska dodatkowe miejsca w parlamencie, ale nie aż tyle, by przełamać impas.

Ostatnie posiedzenie Kongresu Deputowanych marszałek Meritxell Batet zakończyła słowami: „Jako ludzie możemy popełniać błędy, męczyć się, a nawet opaść z sił, ale demokracja jest mądrzejsza, trwalsza i silniejsza od ludzi”. Tyle że to właśnie silna demokracja męczy hiszpańskich polityków. Odkąd w 2015 r. za sprawą sukcesów nowych partii – Podemos i liberalnej Ciudadanos – załamał się system dwupartyjny, nie udaje się sformować stabilnego rządu. Hiszpanie uwierzyli, że mają do wyboru więcej niż tylko socjalistów i konserwatystów; socjaliści i konserwatyści wciąż nie potrafią się z tym pogodzić.

© KALINA BŁAŻEJOWSKA



Izrael wstrzymuje oddech

CHOĆ OD WYBORÓW – już drugich w tym roku, przyspieszonych – minął ponad tydzień, najbliższa polityczna przyszłość Izraela wciąż jest niepokojąca. Żadna z dwóch największych partii – ani Likud Beniamina Netanjahu, ani Kahol-Lawan (hebr. Niebiesko-Biała) Beniego Gancy, mająca niewielką przewagę nad Likudem – nie mogła stworzyć koalicji, która dałaby jej odpowiednią liczbę mandatów potrzebnych do uformowania rządu. W minioną

niedzielę prezydent Re’uven Rivlin spotkał się z partiami, które złożyły swoją rekomendację co do osoby przyszłego premiera. Największym zaskoczeniem okazał się udział partii izraelskich Arabów, która w wyborach zajęła trzecie miejsce. Fakt, że ich Zjednoczona Lista (na zdjęciu jej plakat wyborczy) spotkała się z prezydentem, jest przełomowy: oto wspólnota arabska, od lat zdystansowana do polityki Izraela, jest gotowa na współdecydowanie o przyszłości kraju. Za wszelką cenę, podobnie jak cała opozycja, chce się też pozbyć Netanjahu.

Czas tego ostatniego w polityce właśnie się kończy. Najdłużej urzędujący premier w historii Izraela oczekuje teraz nie tylko na decyzję Rivlina – bo to prezydent zdecyduje, kto z kontrkandydatów jako pierwszy otrzyma szansę na zbudowanie koalicji – ale też na październikowe przesłuchanie przez prokuratora.

Jeśli nikomu nie uda się stworzyć koalicji, możliwy jest też radykalny scenariusz: prezydent zwoła trzecie w ciągu ostatnich miesięcy wybory. W całym tym galimatiasie jedno jest pewne: pogrążony w politycznym chaosie kraj czeka poważne zmiany.

© P KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel Awiwu

Jaka będzie polityka historyczna Zełenskigo?

WOJCIECH KONOŃCZUK



ZE STANOWISKA DYREKTORA UKRAIŃSKIEGO Instytutu Pamięci Narodowej (UIPN) odwołany został Wołodymyr Wiatrowycz, jeden z głównych architektów polityki historycznej Ukrainy po Rewolucji Godności. Jest to decyzja oczekiwana. Ekipa prezydenta Zełenskigo chce odciąć się od kadr poprzedniej ekipy, w dodatku los Wiatrowycza przesądził jego (nieudany) start w wyborach parlamentarnych z listy Bloku Porozumienia. W dużej części ukraińskiego społeczeństwa, w tym elit, ma on wizerunek zasłużonej osoby, która w trakcie ponad pięciu lat kierowania UIPN przeprowadziła skuteczną dekomunizację. W Polsce jest zaś postrzegany jako bezkrytyczny apologeta OUN-UPA, głoszący tezę (fałszywą) o „wojnie ukraińsko-polskiej” na Wołyniu. Jego działalność wydatnie przyczyniła się do pogorszenia stosunków na linii Warszawa–Kijów.

Nie wiadomo na razie, kto będzie nowym szefem UIPN i jaka będzie pozycja

polityczna tej instytucji. Ważniejsze jest jednak pytanie o treść polityki historycznej Ukrainy Zełenskigo – i jakie będą jej skutki dla stosunków z Polską. Wiele wskazuje, że należy spodziewać się nie tyle radykalnej rewizji, ile co najwyżej pewnej korekty. Trudno dziś przesądzić, w jakim stopniu dotyczyć to będzie pokazywania ciemnych kart z historii UPA, które w dotychczasowej działalności UIPN były przemilczane lub otwarcie kwestionowane.

Warto przypominać, że w polsko-ukraińskim dialogu historycznym, który co jakiś czas zamienia się w emocjonalny spór, istnieje w gruncie rzeczy jeden problem. Jest nim różna ocena tego, co w latach 1943-45 wydarzyło się między Polakami a Ukraińcami. Umiejętne rozbrojenie tego problemu z pewnością miałooby pozytywny wpływ na relacje dwustronne. Na razie krokiem dla poprawy atmosfery byłoby – zapowiadane przez Kijów – zniesienie zakazu polskich ekshumacji na Ukrainie.

© P

Zwolnienia w kurii: dzieci gorszego sortu

ARTUR SPORNIAK



WSPRAWIE PRACOWNIC BIURA PRASOWEGO archidiecezji krakowskiej fakty są następujące. Po ponad ośmiu miesiącach rządów, we wrześniu 2017 r. abp Marek Jędraszewski zwolnił dotychczasowego rzecznika prasowego i powołał biuro tworzone przez pięć kobiet. Ich zadaniem było publikowanie homilii metropolity i relacji z wydarzeń z jego udziałem. 10 sierpnia br. kierująca biurem Joanna Adamik – sfrustrowana coraz rzadszymi, choć dotychczas, jak sama to określiła, „ojcowskimi” kontaktami z arcybiskupem (odwiedzał ich domy, chrzczył dzieci) i brakiem reakcji na prośby o „usprawnienie komunikacji” – wysłała maila, w którym poprosiła o zwolnienie z obowiązków. Arcybiskup uznał to za dymisję i 19 września, za pośrednictwem ekonomy, poinformował ją, że zwalnia cały zespół.

Zaskoczona szefowa biura, żegnając się z mediami, z którymi współpracowała, podała do wiadomości, że zwalniane są kobiety z dziećmi na utrzymaniu, i że wcześniej nikt nie miał

zastrzeżeń do ich pracy. Broniąc się, kuria najpierw poinformowała, że kobiety były zatrudnione na podstawie umów cywilnoprawnych, które każdej ze stron umożliwiały zakończenie współpracy bez podawania uzasadnienia. W drugim oświadczeniu pojawiła się informacja, że dwie pracownice „które w życiu prywatnym jako matki tworzą wraz ze swymi mężami katolickie rodziny, nadal pozostają pracownikami Biura Prasowego”.

Rodzi się pytanie, czy nie zostało naruszone prawo pracy (osobne biuro w kurii i stosunek przełożenia wskazywałby na pracę etatową); Rzecznik Praw Obywatelskich już zapowiedział, że zwróci się do Państwowej Inspekcji Pracy o przeprowadzenie w kurii kontroli. Sprawa ma też aspekt ludzki: dwie z trzech zwolnionych kobiet prowadzą samotnie rodziny zastępcze. Tłumacząc pozostawienie dwóch pracownic ich stanem małżeńskim, arcybiskup wprowadził podział na matki i na dzieci, które warto i nie warto wspierać. ©©



Bracia i siostry w doniczkach

SPOWIEDŹ PRZED ROŚLINAMI w Union Seminary w Nowym Jorku spotkała się z falą krytyki. Pokutne nabożeństwo, podczas którego studenci wyznali winy – swoje i rodzaju ludzkiego – doniczkowej reprezentacji świata flory, urosło w mediach społecznościowych do rozmiaru afery (#plantgate) zagrażającej chrześcijaństwu.

Na zarzuty o herezję czy też przekraczanie granic śmieszności uczelnia odpowiada, że była to „liturgiczna odpowiedź na kryzys klimatyczny, wywołany arogancją ludzkości i lekceważeniem Stworzenia” oraz element zajęć na temat „budowy nowych duchowych i intelektualnych mostów do świata roślin i zwierząt”.

Założone w 1836 r. Union Seminary (dziś afiliowane przy Uniwersytecie Columbia) to historyczne centrum chrześcijańskiej myśli liberalnej, niegdyś zaangażowane w walkę o prawa kobiet i Afroamerykanów. Jego absolwentem, a przez krótki czas także wykładowcą, był Dietrich Bonhoeffer, niemiecki pastor i antynazistowski działacz, który jednak rozczarowany pisał: „Nie ma tu żadnej teologii (...) Upajają się liberalnymi i humanistycznymi frazesami, śmieją się z fundamentalistów, choć w gruncie rzeczy nie są nawet na ich poziomie”.

Legenda mówi, że gdy św. Franciszek przechodził obok drzewa migdałowego, poprosił je, by opowiedziało mu o Bogu. Drzewo zakwitło, ludzie byli zbudowani. Ale nie było wtedy jeszcze „chrześcijańskiego Twittera”.

©© EDWARD AUGUSTYN



Dziewczynko, wstań

„**TALITHA KUM**”, międzynarodowa sieć pomocowa, skupiająca zakonnice, które pomagają ofiarom handlu ludźmi i niewolnictwa seksualnego, obchodzi swoje 10-lecie.

Grupa powstała w 2009 r. z inicjatywy Międzynarodowej Unii Przełożonych Generalnych Zgromadzeń Żeńskich, dziś działa w ponad 90 krajach na pięciu kontynentach. Zakonnice w jej ramach prowadzą domy dla ofiar niewolnictwa, wykupują dzieci z rąk handlarzy, pomagają kobietom uciec z domów publicznych, wspierają przy powrocie do normalnego życia: przy kształceniu się, zdobywaniu zawodu, organizują pomoc psychologiczną.

Nazwa organizacji nawiązuje do ewangelicznych słów Jezusa, które wypowiedział do zmarłej dziewczynki, córki Jaira. „Ująwszy dziewczynkę za rękę, powiedział do niej: »Talitha kum!«, co można przetłumaczyć: »Dziewczynko, mówię ci, wstań«”.

„Mijając kogoś na ulicy, nie będziesz w stanie rozpoznać, czy ta osoba jest po prostu biedna, czy jest ofiarą – mówiła „Tygodnikowi” w 2017 r. s. Gabriella Bottani, koordynatorka projektu „Talitha Kum”. – Kiedy mówimy o handlu ludźmi, mówimy o wykorzystaniu ich z powodów ekonomicznych, żeby zarobić. Redukowaniu wolności, często w powiązaniu z przemocą”.

Podkreślała także, że niewola zaczyna się tam, gdzie używa się tanich dóbr wytworzonych przez niewolniczą pracę: „Handel ludźmi jest oskarżeniem naszego stylu życia”.

©© EB

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WALKA O WŁADZĘ.

Celem ataków na papieża jest wpływ na przyszłe konklawe. Ataki te są walką między tymi, którzy chcą Kościoła, o jakim marzył Sobór Watykański II, a tymi, którzy tego nie chcą – uważa generał jezuitów o. Arturo Sosa. Na spotkaniu z dziennikarzami ze Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej we Włoszech zakonnik stwierdził, że „nie ma wątpliwości, iż w Kościele trwa obecnie walka polityczna”.

REFORMOWANIE KURII.

Na 31. sesji roboczej Rada Kardynałów (obecnie sześciuosobowa) zapoznana się z przystanymi z Kościołów lokalnych uwagami dotyczącymi nowej konstytucji apostołskiej o Kurii Rzymskiej i dokonała modyfikacji projektu tego dokumentu – poinformowało watykańskie Biuro Prasowe. Nie wiadomo natomiast, czego modyfikacje dotyczyły i czy konstytucja będzie gotowa na kolejne spotkanie Rady zapowiedziane na 2-4 grudnia 2019 r.

ZAŁĘGŁOŚCI. Koordynator Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży o. Adam Żak ujawnił, że do tej pory w 32 na 44 diecezje przygotowano programy ochrony dzieci i młodzieży przed wykorzystywaniem seksualnym.

Do przygotowania prewencyjnych programów biskupi zobowiązali się sami w wytycznych przyjętych w 2014 r.



PIOTR BERNARDYN, autor korespondencji z Chin (tekst na s. 48), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia Tok FM, w czwartek 26 września, o godz. 16.00 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl



MATERIAŁY PRASOWE

„Niewidzialni” – powstał komiks dla niewidomych

PIERWSZE NIEPOKOJĄCE OBJAWY zauważył podczas wypadów do kina – gdy na sali gasło światło, sprzed jego oczu zniknął także rozpoczynający się film. Kurza ślepota okazała się symptomem dużo poważniejszej choroby, retinopatii barwnikowej, która powoli, lecz nieodwracalnie zawęża pole widzenia. Chad Allen miał wtedy lat 15 i zaczytywał się w komiksach. Przez kolejnych kilkanaście, ścigając się z czasem i ciemnością, przeczytał tyle zeszytów, ile mógł. A potem, już jako niewidomy, postanowił spróbować swoich sił w opowiadaniu historii – tak

powstał komiks dźwiękowy dedykowany osobom niewidomym.

Akcja „Unseen” (pierwsza część z dwunastu dostępna jest online pod adresem unseencomic.com) rozgrywa się w niedalekiej przyszłości na granicy amerykańsko-meksykańskiej. Reżim USA ubezwłasnowolnił właśnie imigrantów, pozwalając wykorzystywać ich ciała do eksperymentów. W tej mrocznej, dystopijnej rzeczywistości pojawia się Afsana, urodzona w Afganistanie niewidoma zabójczyni. Afsana ma szczególną moc: może stać się niewidzialna. Właśnie tak czują się w społeczeństwie osoby niepełnosprawne, mówi Allen.

„Unseen” próbuje trzymać się prawideł gatunku, zastępując elementy graficzne dźwiękowymi. Ale słuchacze, zanurzając się w opowiadanej historii, szybko zapominają o umownych ramach i dymkach.

Terminu „komiks” (dokładnie „the comic strip”) użył pierwszy raz amerykański pisarz Gilbert Seldes w wydanej w 1924 r. książce o kulturze masowej. Co ciekawe, w tym samym roku rozpoczęła się historia słuchowisk radiowych. Akcja pierwszego z nich, napisanego dla radia przez Richarda Hughesa półgodzinnego programu „Danger”, rozgrywała się w zupełnej ciemności, w kopalni węgla. Niedługo później nowym gatunkiem zainteresował się wiedeńczyk Hans Nüchtern, który próbował adaptować na potrzeby radia sztuki Szekspira. Gdy przychodził czas oceny zrealizowanego materiału, Nüchtern zapraszał do studia osoby niewidome. Jeśli okazywało się, że nie zrozumieli jakiejś sceny, Nüchtern kazał ją przerabiać.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

Nowa szkoła w Łodzi może pomóc w dialogu chrześcijan

OD POCZĄTKU SWEGO ISTNIENIA Łódź była miastem wielu kultur i wyznań. Cieszy więc, że teraz powstaje tam miejsce, które może przyczynić się do rozwoju umiejętności życia w harmonijnej, pojednanej różnorodności. 19 września przedstawiciele miejscowego oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej oraz katolicki arcybiskup Łodzi podpisali akt założycielski Ekumenicznej Szkoły Biblijnej. Wykładać na tematy związane z Pismem Świętym i uczyć je czytać będą w niej bibliści, teologowie i duszpasterze różnych wyznań chrześcijańskich. Szkoła, dostępna dla osób z całej Polski, ma być przestrzenią systematycznego studium i dialogu ekumenicznego.

Łódzka inicjatywa jest efektem już istniejących kontaktów ekumenicznych, a bezpośrednio – ekumenicznej pielgrzymki do Ziemi Świętej. Zamiarem osób powołujących Szkołę jest przekształcenie formy kontaktów między wyznawcami: z przeważających dotąd sporadycz-

nych spotkań i wydarzeń w trwałą współpracę dotyczącą samych fundamentów chrześcijaństwa.

Chrześcijanie różnią się w wielu kwestiach, ale Biblia wydaje się być wspólnym dziedzictwem wszystkich wyznań chrześcijańskich. Co prawda wszyscy chrześcijanie powołują się na autorytet Pisma, różnią się jednak nie tylko w jego interpretacji, lecz nawet w opinii, które księgi należą do biblijnego kanonu. Tym niemniej wspólne czytanie Biblii, wzajemne poznawanie podobieństw i różnic w rozumieniu jej treści to jedno z najważniejszych działań na drodze ku pełnej jedności chrześcijan. Tym bardziej że w zamyśle twórców łódzkiej Szkoły studium będzie łączyć naukową egzegezę z duchowymi metodami medytacji biblijnej.

W kilka dni od rozpoczęcia zapisów do łódzkiej Szkoły zgłosiło się ponad dwieście osób.

© PIOTR SIKORA

Potomstwo jednej asteroidy

ŁUKASZ KWIATEK



466 MLN LAT TEMU W UKŁADZIE SŁONECZNYM DO-
szło do ogromnej kolizji: szeroka na 150 km
asteroida uderzyła w inny kosmiczny obiekt i rozpadła
się na miliardy kawałków. Do dzisiaj jedna trzecia me-
teorytów spadających na Ziemię pochodzi z tamtego
wydarzenia.

W tym samym czasie na Ziemi działy się spektakularne
rzeczy: poziom mórz znacznie opadł, podobnie jak global-
na temperatura. Ląd pokryły lodowce, całkowicie zmie-
niając warunki, w których rozwijało się życie. Nie doszło
jednak do wymierania gatunków, tylko do czegoś prze-
ciwnego – radiacji. Powstały ekosystemy, które wkrótce
zasiedlili nowi kolonizatorzy. Szczególne zmiany zaszły
w wodach – tu liczba gatunków mogła się nawet potroić.

Birger Schmitz i współpracownicy przedstawili wła-
śnie w „Science Advances” dowody na to, że oba zdarzenia
były z sobą powiązane: to pył pochodzący z roztrzaskanej
asteroidy doprowadził do trwającej miliony lat epoki lo-
dowcowej, która dała początek jednemu z największych
rozkwitów życia w historii naszej planety. ©P

Taniec śmierci

TAKICH MIEJSC JEST NIEWIELE, a badania tam prowadzone
mogą wydawać się makabryczne, choć dla kryminalistyki
są bardzo cenne. Nawet potoczna nazwa – „farmy trupów”
– budzi słuszne kontrowersje. Zwłoki pochodzące od
dawców zostawia się tam, by się rozkładały, a sam proces
i warunki, w których on zachodzi, skrupulatnie się bada.

Alyson Wilson z australijskiego Central Queensland
University chciała wraz z zespołem sprawdzić, czy da się
lepiej szacować jedną z kluczowych w kryminalistyce in-
formacji: czas, jaki upłynął od zgonu. Użyto nowatorskie-
go (także dlatego, że podobne badania z natury rzeczy pro-
wadzi się bardzo rzadko) sposobu: przez półtora roku co
pół godziny fotografowano zwłoki, żeby stworzyć poklat-
kowy film dokumentujący pośmiertne przeobrażenia. Jed-
den z rezultatów zaskoczył badaczy: na filmie ciała dość
żywiolowo – jak na zwłoki – poruszały rękami.

Nic w tym nienaturalnego. Gdy ciało gnieje, rozpadają
się mięśnie, a – jak tłumaczy sama Wilson na uczelnia-
nym portalu – w wypadku mumifikacji ruch rąk mogą
powodować wysychające więzadła. Badacze nie spodzie-
wali się jednak aż takiego zakresu ruchów: ręce ułożone
wzdłuż ciała „unosły się” na boki.

To ważne, bo m.in. na podstawie ułożenia odnalezio-
nych zwłok śledczy starają się odtworzyć przebieg za-
bójstwa czy innej gwałtownej śmierci. A jeśli to ułożenie
z upływem czasu może się zmieniać, naukowy opis tego
zjawiska pozwoliłby brać na to poprawkę i wpłynąć na
wyniki niejednego śledztwa.

©P MK / SCIENCEALERT / AFP / CQU.EDU.AU

KULTURA W SKRÓCIE

W RENOWACJI.

Podczas trwających
w krakowskim kościele
Mariackim prac badawczo-
konserwatorskich ołtarza
Wita Stwosza odsłonięto
i odczytano datę „1486”
znajdującą się na boku
apostola podtrzymującego
zaspiającą Maryję.
Dokładny rok ukończenia
prac nad ołtarzem nie był
dotąd znany; w literaturze
przedmiotu podawano,
że prace trwały
od 1477 do 1489 r.

PO REDAKCJI.

Swoje odkrycie świętują
także Francuzi. W minionym
tygodniu ukazała się nieznana
dotąd powieść „Les Quatre
coins du cœur” Françoise
Sagan. Rękopis znalazł syn
pisarki, prace redakcyjne
trwały kilkanaście lat. Sagan
debiutowała jako 18-latką
powieścią „Witaj, smutku”
(1954). Jest uznawana
za jedną z największych
postaci francuskiej literatury
powojennej.



MATERIAŁY PRASOWE

PRZED TELEWIZOREM.

22 września w Los Angeles
odbyła się 71. ceremonia
wręczenia Emmy Awards
– to najważniejsze
amerykańskie nagrody
przyznawane za produkcje
telewizyjne. Aż 12 statuetek,
w tym tę najważniejszą,
dla najlepszego serialu
dramatycznego,
zdołała „Gra o tron”
(nominowana w 32
kategoriach).
Nagrody w kategoriach
aktorskich otrzymali Billy
Porter (za rolę w serialu
„Pose”), Jodie Comer
(czyli Villanelle z „Obsesji
Eve”; na zdjęciu), Julia Garner
(„Ozark”) oraz wcielający się
w „Grze o tron”
w rolę Tyriona Lannistera
Peter Dinklage.



E. BEN-YOSEF AND THE CENTRAL TIMNA VALLEY PROJECT

Starożytny high-tech

BADANIA ŻUŻLU pozostałego po wyto-
pie miedzi skłoniły zespół izraelskich
i amerykańskich archeologów (na
zdjęciu) do wniosków, że wielokrot-
nie wymieniane w Starym Testamen-
cie królestwo Edomu po pierwsze
jest starsze, niż dotychczas sądzono,
po drugie – było niezwykle ważnym
w regionie centrum produkcji miedzi.

Edomici – wywodzący się od Ezawa,
często wojujący z Izraelem – mieszkali
na terenach położonych na południe
od Morza Martwego. Według profeso-
rów Ezeza Ben-Yosefa i Toma Levy’ego
już w XII w. p.n.e. funkcjonowało tam
zorganizowane (choć koczownicze)
społeczeństwo. Badając ilość pozosta-
łego w żużlu metalu, badacze odtwo-
rzyli rozwój technologiczny tego sta-
rożytnego przemysłu aż do 800 r. p.n.e.
Ich uwagę zwrócił skok technolo-
giczny w 2. poł. X w. p.n.e. – wysunęli
hipotezę, że miał on związek z najaz-
dem króla Egiptu Szeszonka I na Izrael
i Judę. Jego efektem mogło być wy-
muszenie na Edomitach zwiększe-
nia dostaw miedzi do Egiptu, co skło-
niło ich do opracowania wydajniej-
szych metod wytopu. To nie jedyna
nowinka technologiczna. „Po wypra-
wie Szeszonka I w Edomie zaczęto też
używać wielbłądów jako zwierząt po-
ciągowych” – mówi prof. Ben-Yosef.

Poziom rozwoju przetwórstwa mie-
dzi według Ben-Yosefa wskazuje na ist-
nienie u Edomitów silnej władzy cen-
tralnej. Co więcej, nowe odkrycia pa-
sują do wzmianki z Księgi Rodzaju
(36, 31), że Królestwo Edomu powsta-
ło, „zanim Izraelici mieli króla” (czyli
Saula – w 2. poł. XI w. p.n.e.).

©P MACIEJ MÜLLER

TEMAT
TYGODNIKA

KOCHAJCIE URZĘDNIKÓW

Przez lata byli dla Polaków podręcznym workiem treningowym.
Czas to zmienić.

RAFAŁ WOŚ



Administracja
Podatkowa
w Małopolsce

www.is.krakow.pl



Punkt Pomocy Podatnikowi w krakowskiej Galerii Bronowice, marzec 2014 r.

CHĘ WIEDZIEĆ, ILE ZARABIA. ODPOWIADA, że 2700 zł. Netto? – dopytuje, ale zaraz zaczynam żałować pytania. – Jakie netto?! – denerwuje się mój rozmówca. G. zajmuje się współpracą z instytucjami unijnymi w jednym z urzędów marszałkowskich. Zna dwa języki. Odpowiada za logistykę i chętnie przyjmuje dodatkowe zadania. Zgodnie z prawem na takim stanowisku mógłby dostać do 4500 zł brutto, ale w jego urzędzie płace były od lat 2009-10 zamrożone. – Dopiero w 2018 r. dali nam 200 zł brutto podwyżki. Ale tylko dla-

tego, że w górę szła płaca minimalna i zbliżały się wybory samorządowe – słyszę.

Im dłużej rozmawiamy, tym bardziej rozumiem, że nie chodzi tylko o pieniądze. Żal jest dużo głębszy i zdecydowanie bardziej rozległy. – O innych pracowników budżetówki przynajmniej ktoś się upomina – mówi G. Ostatnio byli nauczyciele, wcześniej pielęgniarki, pracownicy sądów czy lekarze. Tylko o urzędników nikt się nie upomina. – Bo my jesteśmy gorący kartofel – tłumaczy mój rozmówca. – Urzędnik to przecież ten dar-

możjad, co nic nie robi. Wychodzi w godzinach pracy załatwić domowe sprawy i jeszcze ma trzynastkę!

U progu czwartej dekady III RP stajemy więc wobec poważnego problemu. Polska ma być miejscem bardziej sprawiedliwym, innowacyjnym i pewniej broniącym swoich interesów niż dotąd. „Skończyć z teoretycznym państwem z tektury” – powiadają rządzący, eksperci i media. Z drugiej jednak strony ludzie, którzy powinni w tym procesie odegrać kluczową rolę, są coraz bardziej zdemotywowani i niepewni swego. Jak do tego →

→ doszło? I czy da się tę sprzeczność przezwyciężyć?

Sekcja „O”

Wyobraźmy sobie wszystkich pracujących legalnie Polaków: jakieś 16 mln ludzi. Spośród nich 3,3 mln to szeroko rozumiany sektor publiczny. Jeśli wyjąć z niego klasycznych pracowników budżetówki (nauczyciele, lekarze, instytucje kultury, spółki skarbu państwa), zostaje nam tzw. sekcja „O”; nazwa zaczerpnięta z GUS-owskiej statystyki. W sekcji „O” mamy w sumie prawie milion zatrudnionych. Prócz administracji publicznej kategoria ta mieści jednak również służby mundurowe i wymiar sprawiedliwości. Dopiero po ich odjęciu dostajemy urzędników w ścisłym tego słowa znaczeniu. Tę kategorię możemy jeszcze przełamać

na dwie nierówne części. Mniejsza to pracownicy administracji rządowej i urzędów centralnych: od ministerstw po skarbowkę. Drugą – większą – stanowią pracownicy samorządu terytorialnego. Jesteśmy już blisko ostatecznego wyniku. 170 tys. etatów w urzędach centralnych plus 255 tys. etatów w administracji samorządowej. W tym jakieś 7,5 tys. pracowników tzw. służby cywilnej, swoistej urzędniczej arystokracji, cieszącej się szczególnym statusem i ochroną. W sumie mniej więcej 430 tys. ludzi. Większość to kobiety.

„Biurokracja od czasów upadku komuny rozrosła się trzykrotnie” – śpiewał (a w zasadzie rapował) Kazik Staszewski w piosence „Cztery pokoje” z roku 2000. Gdy chodzi o nagie liczby, nie przeszedł. W PRL administracja publiczna

była znacznie mniej liczna i zatrudniała (dane GUS) ok. 150 tys. ludzi. Porównywanie statystyk PRL i III RP jest jednak mylące. Mówimy przecież o zupełnie innych pomysłach na państwo. W socjalizmie wiele dzisiejszych urzędów albo nie istniało, albo było schowanych wewnątrz państwowych lub spółdzielczych zakładów pracy.

Paradoksalnie rozbudowę administracji wymusił więc w Polsce dopiero kapitalizm. Szczególny czas jej rozwoju przypada głównie na drugą dekadę przemian. Administracja samorządowa rosta się wtedy o ok. jedną czwartą, z 200 do 260 tys. etatów (rządowa ze 136 do 184 tys.). Powody są dwa. Pierwszy to wejście Polski do UE i związana z tym potrzeba zaabsorbowania unijnych środków. Ale jest też powód drugi, mniej ofi-



KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

Inauguracja zajęć w Krajowej Szkole Administracji Publicznej, Warszawa, wrzesień 2016 r.

Kłopotliwa elita

ODBUDOWA ZAWODOWEGO

korpusu urzędników publicznych wróciła w Polsce do politycznej agendy już w 1990 r., ale dopiero trzy lata później gabinet Hanny Suchockiej zdołał dokończyć prace nad projektem stosownej ustawy i skierować go do Sejmu. Autorzy dokumentu wzorowali go na ustawie o państwowej służbie cywilnej z 1922 r., która przewidywała m.in. mianowanie urzędników i 12 stopni ich uposażenia. Konsultowano go także ze specjalistami brytyjskiego Royal Insti-

tute of Public Administration. Ostateczny kształt korpusowi polskiej służby cywilnej nadała jednak ustawa z 18 grudnia 1998 r., która weszła w życie w lipcu kolejnego roku. Wprowadzono w niej m.in. rozróżnienie na pracowników służby cywilnej, zatrudnianych na podstawie umowy o pracę, oraz urzędników, których po mianowaniu można było delegować ze stanowiska na stanowisko, ale nie zwolnić z dnia na dzień. Wychodząc z założenia, że członek korpusu nie może kierować

się interesem jednostkowym lub grupowym, pracownikom służby cywilnej zakazano również manifestowania poglądów politycznych oraz uczestniczenia w strajkach lub innych akcjach zakłócających funkcjonowanie aparatu państwowego. Kuźnią kadr kierowniczych dla korpusu stała się Krajowa Szkoła Administracji Publicznej. Największa zaleta bezpartyjnej służby cywilnej, która zgodnie z koncepcją Maksa Webera i założeniami twórców ustawy miała stać się filarem administracji publicznej, szybko okazała się jednak problemem – dla polityków. Donald Tusk nazywał centralną kadre urzędniczą „dżunglą”, w czym niewiele różnił się od Jarosława Kaczyńskiego, dla którego trzymanie się procedur i przepisów były przejawem urzędniczego „imposybilizmu”.

Demontaż reformy zaczął się właściwie z chwilą jej wprowadzenia. Do dziś kolejne rządy zdołały przepchnąć przez Sejm i biurko prezydenta RP jeszcze dwie ustawy zmieniające – a raczej rozmydlające kształt i kompetencje służby cywilnej; dodatkowo uchwalono poza tym trzy nowelizacje. Każda ze zmian szła

w stronę głębszego upartyjnięcia korpusu. Urzędy kontrolujące kluczowe budżety – jak NFZ czy ZUS – obsadzono po prostu urzędnikami spoza służby cywilnej, a zakres ich praw i obowiązków określono osobnymi aktami prawnymi (działanie służby cywilnej „zakotwiczone” w art. 153 Konstytucji RP). Dzieła dokończył rząd PiS, który tuż po wygranych wyborach w 2015 r. przepchnął szybko zmiany pozwalające zwolnić wszystkich urzędników zajmujących najwyższe stanowiska w służbie cywilnej. Zniesiono też konkursowy nabór na te funkcje i obniżono wymogi kompetencyjne, otwierając do nich drogę działaczom partyjnym. Politycy osiągnęli cel. Służba cywilna, czyli około 120 tys. urzędników pracujących dla 2,5 tys. urzędów i instytucji szczebla centralnego, jest dziś instytucją zmarginalizowaną i kadłubową. W badaniach poświęconych wizerunkowi służby cywilnej aż 60 proc. dorosłych Polaków przyznaje, że w ogóle nie zetknęło się z tym pojęciem. Dla 46 proc. ankietowanych są to po prostu urzędnicy.

cialny. Przełom stuleci był czasem spowolnienia gospodarczego. Polska nie wpadła wtedy w recesję, ale bezrobocie było wysokie. W wielu gospodarstwach domowych upowszechnił się dość racjonalny podział ról: zazwyczaj on szuka lepiej płatnej, lecz mniej pewnej pracy w sektorze prywatnym. Ona (polska administracja to, jak wspomnieliśmy, raczej domena kobiet) zarabia mniej, ale za to na bardziej stabilnych warunkach.

Ze strony państwa także nie było to działanie pozbawione sensu. Państwo powinno przecież w czasach gorszej koniunktury spełniać rolę bufora chroniącego obywateli przed trwałym wypadnięciem z rynku pracy. Rozrost zatrudnienia w sektorze publicznym to jedna z dróg „miękkiego interwencjonizmu”, znana choćby z powojennej Francji czy międzywojennych USA. Nawet w rekordowych latach 2009-10 zatrudnienie w dziale „O” (administracja, służby mundurowe, wymiar sprawiedliwości) nie było wcale szczególnie rozdęte. Polska mieściła się (z odsetkiem urzędników na poziomie 6-7 proc. wszystkich zatrudnionych) w środku europejskiej stawki.

Kawka i papierosek

A jednak większość Polaków zdawała się uważać inaczej. W roku 2011 pracownia ARC Rynek i Opinia przygotowała dla dyrekcji służby cywilnej badanie na temat „społecznego wizerunku urzędników w Polsce”. Potwierdzało ono większość gazetowych stereotypów. Urzędnik to wedle raportu „osoba niezbyt kompetentna, opieszala, mało zaangażowana w swoją pracę, a także często arogancka. Administracja (zwłaszcza samorządowa) jest środowiskiem hermetycznym, w którym panuje nepotyzm i wyraźne są powiązania ze światem polityki”. „Kawka, herbatka, papierosek (...). To może pocze-kać, tamto może poczekać, to jest ważne, to... Taka jest prawda, no oni się nie przemęczają. Chyba że są jakieś zebrania, to muszą być, wiadomo, no, to siła wyższa” – to cytat z jednego z uczestników badania, poproszonego o rekonstrukcję swojego wyobrażenia na temat pracy urzędnika średniego szczebla.

Takie narzekania to zresztą całkiem stara tradycja. Już międzywojenna prasa lubowała się w prezentowaniu biurowych absurdów. I tak w 1936 r. „Dziennik Poznański” donosił, że w pewnej wsi pod Lubartowem ktoś dwa lata wcześniej na-

Rozbudowę administracji wymusił kapitalizm.

Trzeba było obsłużyć
pieniądz z Unii,
a w czasie spowolnienia
– ochronić obywateli przed
wypadnięciem z rynku pracy.

kleił na kwicie znaczek skarbowy o kwocie mniejszej o 5 groszy, niż należało. Przez kolejne dwa lata urzędnicy prowadzili ożywioną korespondencję z dłużnikiem i w końcu ścignęli należność z pomocą komornika. W sumie 3,31 zł: 5 groszy niedopłaty, 1 grosz odsetek, 1,25 zł grzywny i 2 zł kosztów egzekucji.

W PRL-u narzekanie na administrację państwową odgrywało inną rolę. Bywało korzystnym dla rządzących wentylem bezpieczeństwa, przy pomocy którego próbowano spuszczać nagromadzone niezadowolenie społeczne. Zgodnie z tą logiką krytyka miała zatrzymać się na wypaczeniach biurokracji, by nie mogła osiągnąć politycznej wierzchołki. „Dobry car, zła administracja”.

Sól kapitalizmu

Po 1989 r. na stare przyzwyczajenia nałożyła się jednak nowa gra interesów. W miarę demontażu odziedziczonych po PRL zrębów „państwa dobrobytu” urzędnik stawał się coraz słabszym i łatwiejszym celem szyderstw. W dodatku bezsilnym, bo nie trzeba było się już do niego przymilać, żeby pomógł np. w przyspieszeniu drogi do mieszkania spółdzielczego czy samochodu. Z drugiej strony pojawiła się nowa potężna grupa interesu: przedsiębiorcy. Silni, ale jednak w znacznym stopniu od regulacji i decyzji urzędniczych (głównie podatkowych) zależni. I tu stało się coś niedobrego. Bo przedsiębiorcy to ludzie zazwyczaj praktyczni. Z ich perspektywy urzędnik był rodzajem przeszkody w załatwieniu sprawy po swej myśli. Konflikt biznesmena z urzędnikiem nabrzmiewał z każdym rokiem.

Nie pomagało to, że w nowej rzeczywistości media przedsiębiorców hołubiły. Wbijały im do głów, że są „solą polskiego kapitalizmu”, „tworzą miejsca pracy”, stanowią „najbardziej wartościową klasę

społeczną” i generalnie to do nich należy przyszłość. Stawał potem taki przedsiębiorca oko w oko z urzędnikiem i oczekiwał ugięcia karku. A gdy tego nie dostawał, reagował histerią albo agresją. Ta histeria sublimowała w opowieść o „tępach biurokratach”. Biznesowe organizacje miały wiele sposobów na to, by puścić ją w medialny obieg.

Już w filmie Feliksa Falka „Kapitał” (1990) pojawia się postać skorumpowanego pracownika skarbowki, który nachodzi Bogu ducha winnego bohatera przy okazji wszystkich jego kolejnych genialnych biznesów. Oczywiście za każdym razem niszcząc mu interes. A przecież rok 1990 to dopiero początek polskiego kapitalizmu.

Tusk jak Sławoj-Składkowski

Ta opowieść wpływała oczywiście na rządzących, którzy lubili (do dziś lubią) prześcigać się w deklaracjach, kto bardziej Polskę „odbiurokratyzuje”. Tu znów tradycje mamy długie. „Amcienie [urzędowanie] jest u nas – na wzór austriacki – nie metodą pracy, ale celem samym w sobie. O człowieku, który z podatków opłaca te biura, o interesancie, dobrotliwie zwanym petentem, myśli się jak o koniecznym, uciążliwym dodatku do właściwego urzędowania” – to fragment wystąpienia gen. Felicjana Sławoj-Składkowskiego, który jako sanacyjny minister spraw wewnętrznych (a potem premier) beształ z trybuny sejmowej warstwę urzędniczą.

W III RP politycy chętnie szli w ślady Składkowskiego. Celował w tym zwłaszcza rząd Donalda Tuska. W roku 2010 przygotował specustawę o redukcji zatrudnienia w administracji publicznej. Zakładała zwolnienie 10 proc. wszystkich urzędników w Polsce do roku 2013 – choć wielu ekspertów twierdziło, że takie cięcie na ślepo bardzo polskiemu państwu zaszkodzi. Operację zatrzymał Trybunał Konstytucyjny. Sędziowie argumentowali, że rząd „nie zawarł w ustawie niezbędnych wytycznych, co mogło skutkować nadmierną swobodą i arbitralnym doбором przy redukcji zatrudnienia”.

Koalicji PO-PSL udało się jednak prze-forsować inne prawo: ustawę o osobistej odpowiedzialności majątkowej urzędników za błędne decyzje. Krytycy klarowali, że to klasyczny przykład legislacyjnej hipertrofii (regulowanie spraw już w innym miejscu systemu prawnego →



ZENON ZYBUNTOWICZ / EAST NEWS

W urzędzie podatkowym, Warszawa, 1988 r.

(Nie) przychodzi Polak do urzędu

PROFIL ZAUFANY, czyli wirtualny dowód tożsamości, który pozwala na załatwienie spraw urzędowych bez wychodzenia z domu, ma już ponad 4 mln Polaków. Jeszcze w 2015 r. ich liczba nie przekraczała 500 tys. Cyfryzacja polskiej administracji z pewnością posuwa się do przodu. Pytanie – czy nie da się szybciej i lepiej. Elektroniczna Platforma Usług Administracji Publicznej, czyli ePUAP, w zeszłym roku skończyła 10 lat i pierwsza dekada jej funkcjonowania upłynęła pod znakiem skandalu korupcyjnego, towarzyszącego jej budowie, oraz problemów z działaniem. Przełom w efektywności e-administracji nastąpił po uruchomieniu Programu 500 plus. Polskie banki, dysponujące nowoczesnym zapleczem informacyjnym, umożliwiły wtedy składanie wniosków o to świadczenie za pośrednictwem swoich serwisów e-transakcyjnych. Wkrótce pojawiła

się też możliwość szybkiego zarejestrowania Profilu Zaufanego przez bank. E-administracja pozwala dziś na załatwienie online 182 spraw na szczeblu krajowym i samorządowym, w tym na złożenie wniosku o dowód osobisty, zameldowanie i wymeldowanie, zgłoszenie przestępstwa, zapisanie dziecka do żłobka lub przedszkola publicznego, złożenie wniosku o zasiłek lub rentę, a nawet rejestrację zakupionej broni palnej (w niektórych przypadkach formalności rozpoczęte przez ePUAP trzeba jednak zakończyć wizytą w urzędzie). W porównaniu z innymi krajami UE polska administracja nadal ma jednak sporo do nadrobienia. W zeszłorocznym badaniu na zlecenie Komisji Europejskiej Polska uplasowała się na 24. miejscu pod względem dostępności usług publicznych online dla

obywateli. Z badania wynikało, że online można w Polsce załatwić jedynie 42,8 proc. wszystkich spraw urzędowych. Rzecz jasna, także ePUAP jest jedynie wirtualnym okienkiem podawczym, a dostarczane przezeń wnioski nadal trafiają do dalszego obiegu administracyjnego, w którym większość pracy wykonują urzędnicy. W roku 2018 – jak wynika z informacji Głównego Urzędu Statystycznego na temat zatrudnienia i wynagrodzeń w gospodarce narodowej – przeciętne zatrudnienie w całej administracji publicznej wyniosło 428,3 tys. osób, a więc dokładnie tyle samo, co rok wcześniej. Spadek zanotowano jednak w administracji samorządu terytorialnego, gdzie ubył prawie 2,1 tys. etatów. W urzędach wojewódzkich, ministerstwach i innych centralnych i naczelnym organach administracji przybyło w tym czasie... 2,1 tys. pracujących. © P MR

→ uregulowanych). Tusk jednak postawił na swoim, bo zbliżały się wybory, w których chciał zaprezentować się jako wojownik „taniego państwa”. Przez kolejne cztery lata funkcjonowania przepisu liczba pociągniętych na jego podstawie do odpowiedzialności urzędników wynosiła... zero. Jedyne, co państwo polskie dzięki tej ustawie osiągnęło, to sygnał, że swoich urzędników traktuje jak potencjalnych przestępców.

Kłątwa Midasa

Urzędnicy nad Wisłą przeszli jeszcze jedną „ścieżkę zdrowia”. Reklamowaną jako wielki projekt „oddzielenia wioskowania od sterowania”. Hasło było cytatem z Emanuela Savasa, wpływowego doradcy Ronalda Reagana. „Miało to polegać na tym, że władze centralne powinny się ograniczyć do sterowania, czyli ustalania pewnych standardów usług publicznych, planowania dla całego systemu oraz zapewnienia finansowych ram. Podczas gdy wioskowanie, a więc świadczenie, to ma być domena sektora prywatnego. To była tzw. doktryna nowego zarządzania publicznego. Rodzaj neoliberalizmu przeniesionego na grunt administracji publicznej” – tłumaczy Dawid Sześciło, kierownik katedry administracji na UW i autor wielu publikacji na ten temat.

Hasła nowego zarządzania publicznego brzmiały z pozoru nowocześnie: administracja miała być „konkurencyjna”, „zorientowana na wyniki”, „kierująca się interesem klienta”, „przedsiębiorcza”. Aż się chce temu przyklasnąć: ktoś by chciał administracji „gnuśnej”, „proceduralnej” czy „marnotrawnej”?

Jako pierwsza tą drogą poszła w latach 80. Nowa Zelandia. Potem dołączyli Anglosasi pod rządami Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. W mniejszym stopniu program realizowały również Niemcy czy państwa skandynawskie. A Polska? „W pewnym sensie nie mieliśmy wyboru” – uważa Sześciło. Bo w latach 90. Bank Światowy, OECD i UE mocno zaangażowały się w promowanie prywatyzacji sektora usług publicznych. Jako klienci tych organizacji nie mieliśmy właściwie wyboru. „Dofinansujemy wam projekt, jak pójście w tym kierunku. Polskie władze były więc jak molierowski pan Jourdain, który nawet nie wie, że mówi prozą. Byliśmy prymusami nowego zarządzania publicznego, nawet nie wiedząc, że nimi jesteśmy” – dowodził

Sześciło w książce „Rynek-konkurencja-interes publiczny”.

Tak samo jak w wielu innych dziedzinach wolnorynkowych przemian wizja modernizacji i dogonienia Zachodu przesłoniła ryzyka. Najlepiej opisał je kilka lat temu Roman Batko, profesor zarządzania z UJ. „Kłątwa Midasa” – tak krakowski uczony nazywał pragnienie, by urząd działał jak firma. Mityczny król Frygii zamieniał wszak w złoto wszystko, czego się tylko dotknął, ale wynikało z tego więcej szkody niż pożytku. Podobnie było z polską administracją modernizowaną na modłę nowego zarządzania publicznego. Wdrażano np. (na wzór biznesu) systemy zarządzania jakością. Co sprowadzało się często do kosztujących czas i energię szkoleń, których efektem było... przepisywanie istniejących już aktów prawnych, tyle że przy użyciu języka ISO. Same procedury sprowadzały się niejednokrotnie do jeszcze większego prze-regulowania, coraz bardziej zmniejszając i tak niewielką samodzielność urzędnika.

Urzędnicy traktowali zazwyczaj takie zmiany jak kolejny absurdalny wymóg, którego realizację muszą zasymilować. Batko dowodził, że w natłoku midasowskich procesów zagubiły się sens i istota administracji. Czyli funkcja „służenia interesowi publicznemu i obywatelom”.

Dobra zmiana bez zmian

Etos urzędniczy miał zostać odbudowany po zmianie władzy w roku 2015. Tak przynajmniej zapowiadało wielu prominentnych działaczy PiS, krytykujących „państwo teoretyczne” z czasów PO. Ale jednym z pierwszych posunięć rządu Beaty Szydło była nowelizacja ustawy o służbie cywilnej, która praktycznie zamknęła dostęp do stanowisk kierowniczych w administracji rządowej.

Wcześniej obsadzano je w drodze otwartych naborów. Dziś mamy do czynienia z powołaniami, czyli dyskrecyjnymi decyzjami władzy. W sporze „lojalistów” z „merytokratystami” PiS stanął po stronie tych pierwszych. Na tym reformy się zakończyły – ocenili w zeszłorocznej analizie stanu administracji Krzysztof Chmieliński i Radosław Niedzielski z Klubu Jagiellońskiego. Późniejsze posunięcia PiS-u na froncie urzędniczym to w zasadzie tylko chaotyczne reagowanie na kryzysy wizerunkowe związane z przyznawaniem i oddawaniem nagród dla wyższych funkcjonariuszy państwa.

Paradoksalnie jednak PiS może zostać zapamiętany jako partia, która otworzyła poważną rozmowę społeczną o urzędnikach. Choć zrobił to niechętnie. Chodzi o efekt wymuszonego politycznie (głównie przez Program 500 plus i płacę minimalną) wzrostu pensji w całej polskiej gospodarce.

Żółte kamizelki

Dotąd grona gniewu budżetówki pęczniały w ciszy. Zmieniały się rządy, ale nie filozofia „taniego państwa”. Dyrektorów, którzy umieli generować oszczędności – nagradzano. Nadzianych skrupułami – żegnano. Efekt był taki, że warunki pracy w wielu dziedzinach sfery budżetowej zapadały się w muliste dno. Swoją polityczną opowieścią „Tak dalej być nie może. Macie prawo się domagać godnej płacy!” PiS obudził jednak nauczycieli, pielęgniarki czy lekarzy rezydentów. Ich bunt zyskał poklask sporej części społeczeństwa.

No dobrze, ale dlaczego oni, a nie my?! – pytają w ostatnich miesiącach urzędnicy. Ich niecierpliwość wzrasta, im bardziej czują, że mają mocne argumenty. To przecież prawda, że w latach 2009-17 płace w gospodarce narodowej urosły o 25 proc. W korpusie służby cywilnej urosły w tym samym czasie ledwie o 9 proc.

Aby zrozumieć sedno problemu, nie wystarczy spojrzeć na statystyki przeciętnych urzędniczych wynagrodzeń. W końcu 5,8 tys. zł w służbie cywilnej nie wydaje się pensją głodową. Podobnie jak np. 5,4 tys. zł przeciętnego wynagrodzenia w Wojewódzkim Inspektoracie Farmaceutycznym w Łódzkiem. Kłopot w tym, że średnie nie oddają dramatu doświadczanego w niektórych miejscach systemu.

Wiosną pikietę Ministerstwa Sprawiedliwości pod hasłem „jesteśmy żółtymi kamizelkami” rozpoczęli pracownicy sądów i prokuratury. Przypominali, że 90 proc. pracowników sądów (nie licząc sędziów, asesorów, referendarzy i kuraatorów) zarabia mniej niż 2900 zł netto, w tym 20 proc. nie więcej niż 1800 zł netto. Podobnie jest w terenowej administracji rządowej, czyli np. wśród pracowników cywilnych policji, straży pożarnej, inspekcji ochrony środowiska, nadzoru budowlanego. Średnie wynagrodzenia (nie mówiąc o medianie) są tam niekiedy o 1000 zł niższe niż śred-

nia krajowa. 3098 zł średniej pensji w komendach policji na Śląsku albo 3,3 tys. zł w Wojewódzkim Inspektoracie Ochrony Roślin i Nasiennictwa w Kujawsko-Pomorskiem trzeba traktować jako dzwonek alarmowy.

Wydrenowane państwo

Argument „zarabiamy gorzej niż kasjerzy w dyskontach” słychać coraz częściej. I słusznie, bo państwo nie działa przecież w próżni. W warunkach dobrej koniunktury niskie płace są szczególnie demotywuujące. I powodują odpływ co bardziej prężnych z urzędów do sektora prywatnego. To już nie jest kwestia przegrywania wojny o talenty (na tym polu większość administracji publicznych świata nie ma szans z sektorem prywatnym). Problemem zaczyna być „drenaż mózgów i pamięci instytucjonalnej polskiego państwa” nawet na poziomie gminnym. „Człowiek popracuje rok np. przy funduszach i idzie do prywatnej firmy, bo wie wtedy dokładnie, co i jak załatwić” – słychać w wielu urzędach.

Problem istnieje również po drugiej stronie płacowego spektrum. Żeby obejść ograniczenia wynagrodzeń w służbie cywilnej, wiele instytucji tworzy spółki wykonujące zadania, którymi wcześniej zajmowali się urzędnicy w ministerstwach. Dobrym przykładem jest spółka Aplikacje Krytyczne, która stoi za wieloma sukcesami Ministerstwa Finansów w dziedzinie informatyzacji podatków. Inne zjawisko to tzw. *body leasing* stosowany przez Ministerstwo Cyfryzacji. Chodzi o kontrakty z firmami, które „podnajmują” pracowników ministerstwu. Rzecz dotyczy zwłaszcza wysoko wykwalifikowanych informatyków.

W każdym kryzysie kryje się szansa. Może więc nabrzmiewający kryzys finansowy w urzędach jest szansą na znalezienie nowego miejsca dla urzędników w polskim państwie? I na naprawienie wielu błędów i niesprawiedliwości czasu transformacji?

→

RDC POLSKIE RADIO
RAFAŁ WOŚ będzie gościem
 Conrada Moreno w środę
 25 września o godz. 7.30
 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także
 odsłuchać w podcastach na stronie internetowej
 radia.
 | Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |
 Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
 | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
 oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



Kapitał ludzki

Niedawno trzech ekonomistów z London School of Economics (Riccardo Crescenzi, Marco Di Cataldo i Andrés Rodríguez-Pose) napisało intrygujący tekst. Postawili pytanie, czy inwestycje w infrastrukturę transportową faktycznie przynoszą gospodarkom tak wielkie korzyści, jak się powszechnie uważa. I czy nie można sobie wyobrazić lepszych (z punktu widzenia interesu publicznego) sposobów wydawania pieniędzy. Tak publicznych, jak i prywatnych.

Ekonomiści spojrzeli na lata 1995–2009. Patrzyli, gdzie w Europie inwestowało się wtedy w infrastrukturę i jakie przyniosło to skutki dla dynamiki rozwoju PKB. Nie zauważyli prostego mechanizmu, że jak budujemy drogi, to gospodarka się kręci, a ludziom żyje się dostatniej. Zaczęli się zastanawiać, dlaczego. Najciekawsza z ich hipotez głosi, że inwestycje infrastrukturalne nie wystarczą do wywołania efektu pro wzrostowego. Potrzebne jest coś jeszcze. Tym czymś jest – ich zdaniem – jakość zarządzania publicznego. I to nie w parlamentach czy gabinetach rządowych, lecz na poziomie aparatu państwa, często wręcz działającego lokalnie. A więc w miejscach, gdzie inwestycje faktycznie były realizowane.

Skąd to wiadomo? Istnieje wskaźnik, który nazywa się indeks jakości rządzenia (Quality of Government Index), przygotowywany dla europejskich regionów przez pewien instytut w Göteborgu. Kiedy się ten wskaźnik nałoży na mapę inwestycji komunikacyjnych i wzrostu go-

Ubywa specjalistów

SPRAWOZDANIA ROCZNE SZEFA

SŁUŻBY CYWILNEJ przypominają ostatnio doniesienia o spadku powołań w Kościele.

Jeszcze w 2013 r. o jedno miejsce pracy w administracji centralnej ubiegało się średnio 36 osób. W roku ubiegłym już tylko 8. Pięć lat temu z urzędów odchodziło co roku ok. 5 proc. pracowników. Dziś poziom fluktuacji jest dwa razy wyższy. Na dodatek coraz częściej odchodzą nie najslabsi, lecz najlepsi: tylko w latach 2016-17 ubyło z polskich urzędów różnych szczebli 3 tys. pracowników o randze specjaliści. Kurczy się nawet administracja samorządowa – przez lata uważana za wyjątkowo skłonną do rozrostu.

©P RW

spodarczego, widać, że inwestycje działają najlepiej tam, gdzie jakość rządzenia jest wysoka. Tam, gdzie jakość rządzenia kuleje, wszystko idzie jak (proszę wybaczyć kolokwializm) krew w piach.

Prowadzi to do ciekawej konkluzji. Bo przecież może warto się zastanowić, czy nie należy odwrócić kolejności działań: zanim zaczniemy budować drogi i wielkie porty lotnicze, zatroszczyć się o jakość rządzenia. A więc zainwestować w ów słynny, ale trudny do uchwycenia kapitał ludzki. Czyli mówiąc wprost: w urzędników.

Aby to się udało, trzeba najpierw odłamać stereotyp „urzędniczego darmo-

zjada”, który nie dość, że „żyje za nasze”, to jeszcze jest niedostatecznie miły.

Urząd na szóstkę

Na szczęście i na tym polu coś się chyba zmienia. W najnowszym (2017 r.) badaniu CBOS na temat postrzegania urzędników ponad połowa Polaków uznała, że urzędy działają sprawnie, szybko i terminowo, a wiele spraw można załatwić przez internet.

Na pytanie o sumaryczną ocenę jakości obsługi w urzędach na skali od 1 do 10, gdzie 1 oznaczało karygodną jakość obsługi interesantów, a 10 – idealną, średnia ocen wystawionych przez faktycznych klientów urzędów wyniosła blisko 6. Był to najwyższy wynik z dotychczas notowanych (tego rodzaju badanie CBOS przeprowadza co kilka lat – poprzednie miało miejsce w 2012 r.). Jednocześnie zmalał odsetek respondentów, którzy co prawda załatwili sprawę, ale skarżyli się na uciążliwość i mnożenie trudności przez urzędników (z 11 do 7 proc.), oraz tych, którym nie udało się załatwić sprawy (z 7 do 3 proc.).

Najlepsze jest jednak to, że akurat w tej sprawie każdy może zacząć od siebie. Wiedząc, że komuś pracownik administracji pomylił się z chłopem pańszczyźnianym, na którym można wyładować swoje frustracje? Reagujcie. Docenicie trudną i niezbyt dobrze płatną pracę nierzadko bezimiennych urzędników. Na pewno nie zaszkodzi, a kto wie: może nawet coś da.

©P RAFAŁ WOŚ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszeńska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedytacja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kucmińska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwiał-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kucmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



**Głaszcz, dbaj, szanuj,
weź i czytaj!**

Tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO**

PAWEŁ

Śpiewak: W cieniu rycynowego drzewa



BÓG WYBACZYŁ MIESZKAŃCOM NINIWY. Uwierzył w ich skruchę. Cofnął dekret o zniszczeniu miasta. Wywołało to gniew Jonasza. Opuścił więc miasto i zbudował nieopodal szałas, usiadł tam w cieniu, chcąc zobaczyć, co będzie się działo, jakby

nie dowierzając w pokutę mieszkańców. „A Pan Bóg wyznaczył krzew rycynowy, aby wyrósł nad Jonaszem, dawał cień jego głowie i osłaniał przed groźącym nieszczęściem. I Jonasz radował się bardzo z tego krzewu rycynowego. Lecz nazajutrz z pojawieniem się zorzy wyznaczył Bóg robaka, który podgryzł krzew rycynowy, tak że usechł. A gdy wzeszło słońce, zesłał Bóg wiatr wschodni i słońce prażyło głowę Jonasza, tak że omdlewał i życzył sobie śmierci” (Jon 4, 6-8). Znowu Pan posłużył się przyrodą, by mówić z Jonaszem. Jak zadbał o niego na morzu, tak teraz dał mu schronienie i cień. Prorok nic nie musiał robić: ani nie podlewał krzaku, ani o niego się nie troszczył. Nie miał dla niego szczególnej litości. Nie czuł zań odpowiedzialności. Smucił się, kiedy go stracił, ale tylko ze względu na siebie, nie ze względu na roślinę, na stratę czegoś żywego. Choć z innych ksiąg mógł wiedzieć, że drzewo trzeba zawsze chronić i że ono, jak w psalmie pierwszym, porównać można tylko z wiarą i przywiązaniem do Boga.

Jonasz, obrażony na cały świat i na samego Pana Boga, życzył sobie śmierci, jakby oczekiwał, że wraz z jego odejściem nie tylko przestanie czuć, oddychać, ale przestanie istnieć ten świat, na który się nie godził, i zniknie też Bóg, który postępował w niezgodzie z samym sobą, albo dokładniej: z przynależną mu zasadą odpłaty i sprawiedliwości. Było w tym coś narcystycznego. Chciał karać innych najsurowiej jak potrafił, za ich niedoskonałość i nieodosowność życia. Było w tym wyzwanie, ale nie rozpacz. Czuł się bezsilny wobec losu, ale nie chciał być bezradny. Na zniewagę świata i Boga miał swoją samolubną odpowiedź: życzenie śmierci, a nie śmierć samą. Zachowywał się jak dzieciak, który flirtuje z obrazem własnego końca nie po to, by go zakosztować i przyjać, ale po to, by ukarać tych, co zostają, i zobaczyć, choćby w swej wyobraźni, ich smutek i rozpacz. Jonasz marzy o tym, by na sobie skupić uwagę i by nawet Bóg się choć troszeczkę martwił o swojego prawdziwego sługę. By zrozumiał możliwą stratę i błąd swojej etyki.

W tym obrazie widzimy też, jak wszystko się zmienia: zmienia się przyroda i zmienia Bóg sam. Tylko nie zmienia się Jonasz, pewny swych przekonań, zatwardziały w swojej obrazie i niezgodzie na swój los, na Niniwę i na Pana. Czy w otoczeniu, w którym ryba, krzak, wiatry działają wbrew swej naturze, podlegają nieustannej przemianie, nie powinien Jonasz pojąć, że on też, walcząc ze swoim przeznaczeniem, działa przeciw sobie? Ale nic takiego się nie wydarzyło i zdarzyć nie mogło. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Pobożni na odwyrtkę



„BIADA BEZTROSZYM NA SYJONIE I PEWNYM siebie na górze Samarii; przywódcom pierwszego z narodów, których słucha dom Izraela – czytamy w Księdze Amosa. – Leżą na łożach z kości słoniowej i wylegują się na posłaniach, jedzą jagnięta

z trzody i cielęta z zagrody wybrane. Falszywie śpiewają przy dźwiękach harfy, wymyślają sobie instrumenty muzyczne, jak Dawid. Piją wino z wielkich kielichów, najlepszymi olejkami się namaszczają i nie martwią się wcale upadkiem domu Józefa. Dlatego pójdą na czele wygnańców i skończą się ich swawola” (Am 6, 1. 4-7).

Kim dzisiaj są przywódcy „pierwszego z narodów”, którzy mieszkają w pałacach, goszczą w najdroższych hotelach, rozbijają się autami, wydają krocie na jachty, zarabiają przez dzień sumy, o jakich miliony ludzi nie śmiały marzyć? Kim są ci, którzy „nie martwią się upadkiem” całych narodów i spustoszeniem Ziemi, i dobrze im z tym? Pierwsza odpowiedź, jaka sama się nasuwa, to: politycy, biznesmeni, celebryci. Owszem, ale również ci stojący na czele społeczności religijnych, ateistycznych, społecznych. Żyją tak, gdyż jak mówią, zostali powołani do takiego życia czy to w demokratycznych wyborach, czy to przez takiego lub innego boga. Tyle tylko, że tego wybraństwa nie wiążą z odpowiedzialnością przed wyborcami i przed Bogiem. Ma rację André Maurois, kiedy mówi, że „władza absolutna wywołuje u człowieka rozpętanie najgorszych instynktów”.

W jednym z wywiadów prof. Zbigniew Religa powiedział: „Dekalog, który ma kilka tysięcy lat, przyjęła znaczna część ludzi na świecie, w tym również ja. Ale to nie ma nic wspólnego z wiarą. (...) To nie jest tak, że ateista wszystko może, że żadne normy go nie obowiązują. Żyje wśród ludzi, ma wobec nich zobowiązania i dlatego właśnie przyjąłem dekalog”.

Analogicznie trzeba powiedzieć, że to nie jest tak, że również człowiek religijny wszystko może, że żadne normy go nie obowiązują, nawet przez niego przyjęte. W Ewangelii Marka czytamy: „Ten lud czci Mnie wargami, ale ich serce jest daleko ode Mnie. Daremnie jednak cześć Mi oddają (...). Zreć nie uchylacie przykazanie Boże, aby tworzyć własną tradycję. Mojżesz powiedział: Otaczaj szacunkiem swego ojca i matkę. A także: Kto złorzeczy ojcu lub matce, podlega karze śmierci. Wy natomiast twierdzicie: jeśli ktoś powie ojcu lub matce: Korban, co oznacza: to, co miałem dać tobie na utrzymanie, ofiarowałem Bogu, to już nie pozwalacie mu nic uczynić dla ojca czy dla matki. Przeinaczacie w ten sposób słowo Boże na rzecz waszej tradycji, której się poddaliście. I wiele podobnych rzeczy czynicie” (Mk 7, 6-12).

Przypatrzmy się więc tym, którym powierzamy władzę. Za ich działania też odpowiadamy. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Ofiara zawczasu

Mówi Jezus:
„Jeśli zrodzicie to,
co macie u siebie,
to, co macie u siebie,
zbawi was. Jeśli tego
nie macie u siebie,
to, czego nie macie,
zabiję was”.

EWANGELIA TOMASZA



Poświęcenie winno być
przemyślane, płynąć
z przekonania, że tak
jest dobrze. Poświęcenie
ze słabości, z instynktu,
z konformizmu,
z ustępliwości, z popędu
stadnego: grzech
i obmierzłość.

HENRYK ELZENBERG



„JEDEN JEST BÓG, JEDEN też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus, który wydał siebie samego na okup za wszystkich, jako świadectwo, w oznaczonym czasie” – ten szczególnie skondensowany „symbol” wiary, zawarty w Pierwszym Liście św. Pawła do Tymoteusza (zob. 1 Tm 2, 5-6), liturgia przytoczyła nam z mocą w ubiegłym tygodniu.

Przy lekturze uderzyło mnie szczególnie słowo „okup”. W zapisie greckim Apostoł Narodów posłużył się tu słowem *antilytron*, łączącym w sobie dwie składowe: *lytron*, to znaczy „okup”, oraz przedrostek *anti-*. Przedrostek ten ma wiele znaczeń; zwykle znaczy tyle, co „przeciw”, „zamiast” lub „z powodu”. Może jednak także oznaczać „przed”. I ta właśnie możliwość poruszyła mnie najgłębiej. Kto wie, czy nie można by tłumaczyć wprost Pawłowej wypowiedzi właśnie tak: „jeden jest pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus, który wydał siebie samego jako przed-okup za wszystkich” (albo: który zawczasu wydał siebie jako okup za wszystkich).

„Przed-okup” – okup przed. Przed czym? Odpowiedź brzmi: przed moim grzechem. Jeszcze zanim zgrzeszyłem – zanim (wybierając grzech) odwróciłem się od Boga i stałem się niewolnikiem, Bóg obmyślał już dla mnie drogę wyzwolenia i powrotu do Niego. Nie tylko obmyślał; sam stawał się – odwiecznie – tą drogą.

Pan stworzył nas wolnymi – i dzięki temu zdolnymi do miłości. Ale – również

dzięki temu – zdolnymi do odrzucenia miłości. Do odejścia. Do wyboru życia nie z Nim, lecz przeciw Niemu. Albo... obok Niego. Jeszcze zanim od Niego odszedłem w śmierć (bez Niego) – zawczasu przygotował dla mnie sposób od-rodzenia – narodzenia się na nowo. A bóle tego od-rodzenia wziął na siebie.

Taki jest Bóg odwiecznie – „w oznaczonym czasie” objawił tę prawdę o sobie, dał temu „świadectwo”: stając się człowiekiem i podejmując mękę na drzewie Krzyża.

W takiej optyce zbawcze dzieło Jezusa nie jest jedynie Boską reakcją na nasze grzechy. Jest uprzednią do nich (wieczną / stałą) Bożą postawą – jest miłością gotową zawczasu; miłością uprzedzającą; miłością miłosierdną w punkcie wyjścia – a nie dopiero w momencie próby i do-znanego zawodu.

Czy nie to ma na myśli tradycja żydowska, podkreślająca, że Mesjasz został przez Boga stworzony jeszcze przed powstaniem świata? Jeszcze nie było jego potrzeby po stronie ludzi. Ale Bóg już tę potrzebę przeżywał w sobie jako wewnętrzny imperatyw. Jeszcze się świat (i człowiek) nie narodził z Bożego łona, a ono już było gotowe przyjąć (i przyjmować) go w siebie na nowo dla odrodzenia.

Czy można się nie zachwycić taką miłością Boga? Czy można się oprzeć uruchamiającej tę miłość wyobraźni miłosierdzia? Czy można na nią nie odpowiedzieć?

Odpowiedź brzmi: można.

Nie sposób jednak taką odpowiedzią ją zrazić. Ona odwiecznie jest na nią przygotowana. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (29 IX – 6 X)

Wybrał PIOTR SIKORA

26. niedziela zwykła: Am 6, 1a. 4-7; Ps 146;

1 Tm 6, 11-16; Łk 16, 19-31;

Poniedziałek: Za 8, 1-8; Ps 102; Łk 9, 46-50;

Wtorek: Za 8, 20-23; Ps 87; Łk 9, 51-56;

Środa: Wj 23, 20-23; Ps 91; Mt 18, 1-5. 10;

Czwartek: Ne 8, 1-4a. 5-6. 7b-12; Ps 19; Łk 10, 1-12;

Piątek: Ba 1, 15-22; Ps 79; Łk 10, 13-16;

Sobota: Ba 4, 5-12. 27-29; Ps 69; Łk 10, 17-24;

27. niedziela zwykła: Ha 1, 2-3; 2, 2-4; Ps 95;

2 Tm 1, 6-8. 13-14; Łk 17, 5-10.

PRZYBYLI SIATKARZE POD OKIENKO

Radosna, silna i piękna
jak bohaterowie siatkarskich hal:
Polska PiS nie cierpi
już pod Smoleńskiem.
Żyje, jak chce, i dobrze jej z tym.

DARIUSZ KOSIŃSKI

*Mistrzostwa Europy w siatkówce mężczyzn.
Po zwycięstwie nad Holandią, Rotterdam, 15 czerwca 2019 r.*

DO OSIĄGNIĘCIA STATUSU SPORTU NARODOWEGO POTRZĘBA czegoś więcej niż okazjonalne kibicowanie „naszym”. Po pierwsze, jakaś dyscyplina musi zdobyć masową popularność, stać się medialna i zacząć przyciągać ludzi, którzy na co dzień sportem się nie interesują. Do tego potrzeba sukcesów narodowej kadry, ale nie jednorazowych, tylko powtarzalnych: regularności, zamieniającej zawody w serial, którego oglądanie staje się nawykiem. Wokół tego zjawiska zaczynają się wówczas wytwarzać zbiorowe wyobrażenia i praktyki czyniące z kibicowania szczególne doświadczenie wspólnotowe, a zarazem modyfikujące sposoby doświadczania polskości. Hala, skocznia czy stadion zamieniają się w teatr narodowy.

W ostatnich dekadach status sportu narodowego w Polsce osiągnęły dwie dyscypliny: piłka siatkowa i skoki narciarskie. O skokach może jeszcze kiedyś napisać, dziś skupmy się na siatkówce. Oczywiście i wcześniej była popularna, zwłaszcza w czasach, gdy największe sukcesy odnosiła reprezentacja trenowana przez Huberta Wagnera. Nigdy jednak nie mieliśmy do czynienia z tak trwałym zjawiskiem, jakim w pierwszych dekadach XXI wieku jest wytwarzanie, podtrzymywanie i doświadczanie określonego wariantu polskości poprzez kibicowanie meczom siatkarskim.

Siatka tożsamości

Nie mogę sobie w tym miejscu darować opowieści, stanowiącej dowód na to, że piłka siatkowa rzeczywiście ma moc wytwarzania, a nie tylko demonstrowania tożsamości. Przykład dotyczy mojego rodzinnego miasta, Zawiercia.

Powstałe jako wykwit procesów kapitalistycznych na przełomie XIX i XX wieku, zbudowane w szczerym polu, przez które akurat przeprowadzono linię kolei warszawsko-wiedeńskiej, znajduje się ono od początku w dziwacznym kulturowym niemięjsku. Ani to Zagłębie, ani tym bardziej

Śląsk, ani Kielecczyzna, ani Małopolska. Niby powiązane z przemysłowymi ośrodkami wokół Kato-

wic i z Galicją, lecz powstało i długo pozostawało pod zaborem rosyjskim

(czego ślady można spotkać do dziś, nie tylko w tym, że jako dziecko chodziłem „na dwór”, a nie „na pole”).

Po II wojnie światowej, Zagładzie i wygnaniu Niemców straciło znaczną część swoich jako tako zasiedziały mieszkańców, na których miejsce przyszli nowi, głównie chłopci, uciekający (jak mój dziadek) przed nędzą z rodzinnych wsi.

W efekcie tych wszystkich procesów, do których jeszcze trzeba dodać masową emigrację zarobkową młodzieży po 1989 r., Zawiercie wchodziło w XXI wiek jako miasto niemal pozbawione tkanki wspólnotowej, nie

mówiąc już o lokalnej tożsamości. „Zawiercianin” był określeniem miejsca urodzenia lub (w gorszym przypadku) zamieszkania.

Tak było do czasu, gdy w mieście zbudowano nowoczesną halę sportową, a lokalna drużyna siatkarska Warta Zawiercie (spadkobierczyni klubu z wieloma sekcjami o przedwojennych jeszcze tradycjach) została reaktywowana i zyskawszy możliwych sponsorów (głównie lokalnych przedsiębiorców) jako Virtu Aluron Warta Zawiercie zaczęła wspinać się coraz wyżej w hierarchii ligowej. W roku 2017 drużyna awansowała do najwyższej klasy rozgrywek, a w 2019 zajęła w nich czwarte miejsce. Tym sukcesom towarzyszyło nie tylko rosnące zainteresowanie, ale też proces, którego nie można zrozumieć inaczej jak wytwarzanie nowej, pierwszej od dekad zbiorowej tożsamości lokalnej. Kibice w ciągu kilku lat nie tylko wymyślili jej zewnętrzne znamiona: barwy, koszulki, flagi, hymn, repertuar przyśpiewek podniosłych i żartobliwych. Przez swoje działania wytworzyli również oryginalną tożsamość zbiorową.

Jej rdzeniem jest figura Jurajskiego Rycerza, wymyślona jako znak rozpoznawczy, marka zespołu, w nawiązaniu do Jury Krakowsko-Częstochowskiej (Zawiercie uważa się za „bramę” do tej krainy) oraz zdobiących ją ruin dawnych warowni. Kibice tworzą zaś rycerską Jurajską Armię, która na skalę dotąd niespotykaną w lidze siatkarskiej towarzyszy swoim zawodnikom.

Armia nie tylko gorąco kibicuje w swojej twierdzy – miejscowej hali, ale w sile kilkuset osób przeprowadza swoiste „najeźdy” na miejscowości, w których Warta gra. Bodaj najbardziej spektakularna z takich akcji miała miejsce w pobliskim Będzinie, w marcu 2018 r. Gdy działacze MKS Będzin przeznaczyli dla kibiców z Zawiercia tylko 70 miejsc, ci prywatnie kupili bilety w kasach gospodarzy, by na początek meczu, na hasło rzucone przez „oficjalną reprezentację”, wstać i zbiorowo zdejmując cywilne okrycia ukazać klubowe żółto-zielone stroje wypełniające połowę hali, wszystko w rytm hasła „Zawierciański koń trojański”. Nie byłem tam, ale naprawdę poczułem lokalną dumę.

Najważniejszym punktem całej tej konstrukcji jest jednak fakt, że wytwarzana przez sport, a zwłaszcza przez działania kibiców tożsamość zawierciańska i „jurajska” jest tworem całkowicie oryginalnym i nowym. Tożsamość zawierciańska nie zdołała się na trwale ustanowić. Nie ma zaś i nigdy nie było czegoś takiego jak kulturowo odróżniająca się i odczuwająca jakąkolwiek wspólnotę grupa ludzi zamieszkujących Jurę Krakowsko-Częstochowską. Ale skoro istnieją Jurajscy Rycerze wspierani tak intensywnie przez Jurajską Armię, to i „jurajskość” za chwilę stanie się rzeczywistością, bo silnie i wspólnotowo doświadczaną tożsamością wytworzoną przez kibicowskie performanse.

Polska! Biało-czerwoni!

Oczywiście kibice siatkówki reprezentacyjnej nie wytwarzają tożsamości narodowej w pustce podobnej do zawierciańskiej. Działają z wykorzystaniem znanych dobrze, a nawet ustawowo chronionych znaków i symboli. Jednak to, co powstaje w efekcie ich działań, ma wartości i znaczenia odmienne od innych, mocno obecnych w przestrzeni społecznej wariantów polskości.

→ Na reprezentacyjnych meczach siatkarskich mamy do czynienia z totalnym teatrem polskości. Wielotysięczny tłum w strojach o barwach narodowych, często wymalowanych też na twarzach, wznosi w geście wsparcia i tryumfu białoczerwone szalik lub białe i czerwone papierowe prostokąty, rozkładane na krzesłach przed meczem tak, żeby po podniesieniu przez kibiców wysoko nad głowami utworzyły monumentalną białoczerwoną flagę pokrywającą całą widownię.

Instalacja ta towarzyszy zazwyczaj najbardziej podniosłemu i afektywnie niezwykle silnemu początkowi: odśpiewaniu hymnu państwowego. Sam w sobie performatywny (jego pierwszy wiersz to przecież czysty akt ustanowienia: śpiewając „Jeszcze Polska nie zginęła / Kiedy my żyjemy” nie opowiadamy o tym życiu, lecz czynimy je słowami), osiąga na meczach siatkarskich jeszcze większą siłę dzięki zminimalizowaniu akompaniamentu. Zamiast grania całej melodii, co praktykowane jest na większości innych zawodów, prowadzący kibicowanie w hali siatkarskiej koryfeusz grają jedynie pierwsze takty, a ostatnio już tylko podają kilkoma dźwiękami tonację. Resztę śpiewa a cappella wielotysięczny chór, którego nikt nie poucza, że tonacja oryginału jest inna, nie wybrzydza, że głosy nieczyste, a zamiast śpiewu słyszeć „ryk”. Ten „ryk” właśnie daje siłę doświadczenia wspólnoty: mój głos ginie wśród innych (co może i dobrze), ale zarazem współtworzy to „my”, które zapewnia Polsce życie. Więc choć zdzieram swoje gardło, nie śpiewam ja. Śpiewa „my”.

Polskość jest zwykle otoczona martyrologią, podminowana pragnieniem zemsty i snem o potędze, śmiertelnie poważna.

A kibice siatkówki się bawią.

Ich wspólnota ma charakter otwarty.

Tu każdy może być „białoczerwony”.

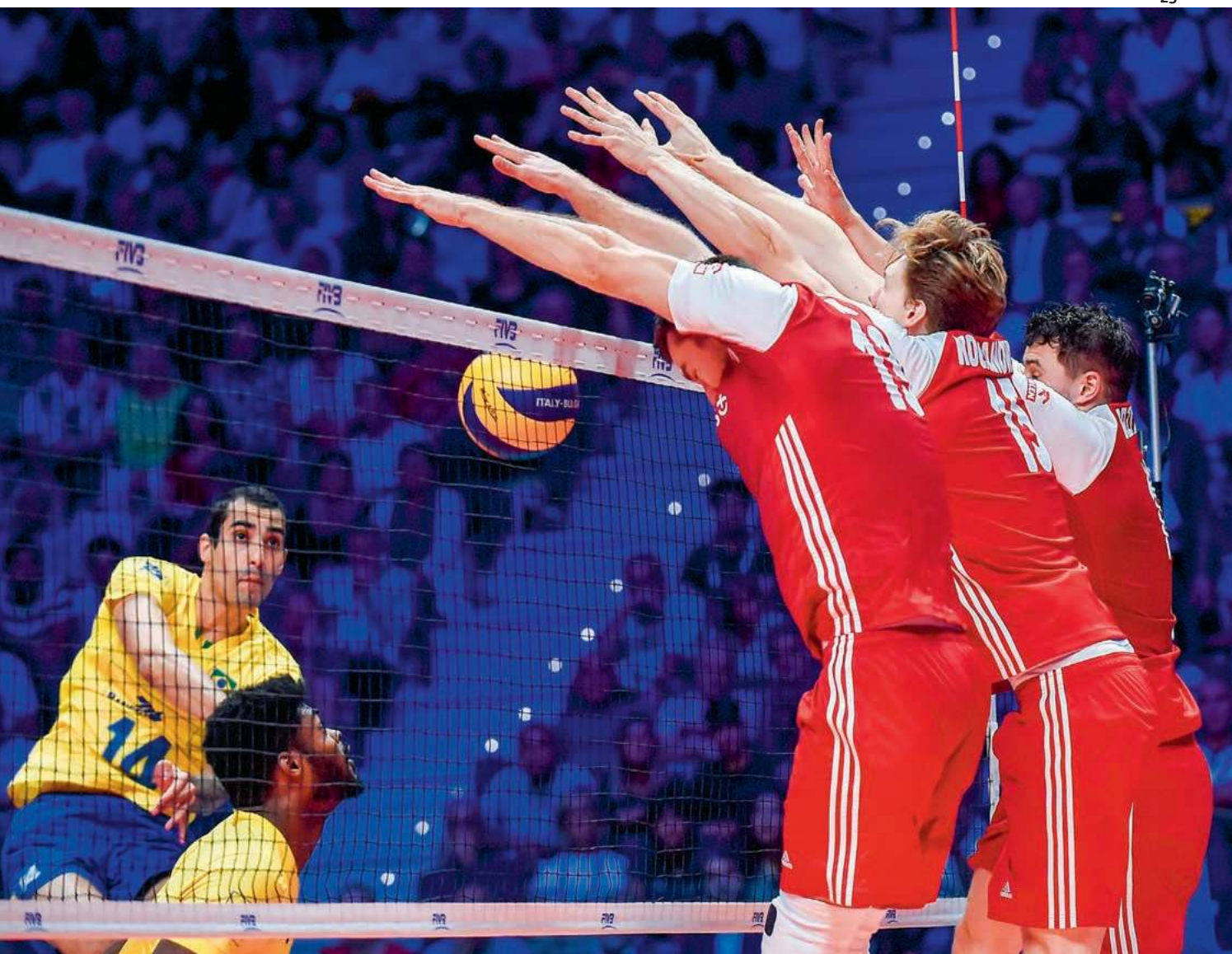
Na pytanie, kim to „my” jest, chór odpowie natychmiast, śpiewając radośnie „Polska! Białoczerwoni!”. Mało kto chyba zdaje sobie sprawę, że ta najpopularniejsza przyspiewka kibiców polskiej siatkówki, która z hal przeniosła się już na wszystkie areny sportowe, jest śpiewana na melodię przeboju „Go West” wylansowanego przez pionierów queerowej pop-kultury zespół Village People (to przebierańcy, których może pamiętacie z odjazdowego „YMCA”). Według Wikipedii „choć piosenka jest niejednoznaczna genderowo, to powszechnie uważa się ją za wyraz żywionego w latach 70. marzenia o San Francisco jako utopii wyzwolenia gejów”. Przejęta przez polskich kibiców przestała być „niejednoznaczna genderowo”, a stała się demonstracją prawdziwej polskości, która jest wyłącznie rodzaju męskiego. Nawet na meczu siatek nikomu nie przyjdzie do głowy zaśpiewać „Polska! Białoczerwoni!”, choć byłoby to logiczne i usprawiedliwione także dużą liczbą kobiet na trybunach. Jednak poza ograniczeniem związanym z genderowym zaplaczem (zaiste fascynująco przewrotnym), ta podstawowa i nieustannie niemal wykonywana przyspiewka ma charak-

ter inkluzywny. Jeśli czytać ją jako definicję polskości wystawianej w halach oraz zestawień z ich wystrojem i akcjami kibiców, można uznać, że próg włączenia do wspólnoty zostaje tu maksymalnie obniżony. „Polska! Białoczerwoni!” wytwarza obraz narodu nie jako wspólnoty przedustawnej i „odwiecznej”, lecz powstającej tu i teraz, ustanawiającej się w działaniu. Jako taka, jest ona zdolna do przyjmowania każdego, kto spełni podstawowy warunek: włączy się do akcji. Każdy, kto wstanie i zaśpiewa z chórem, staje się częścią wspólnoty: białoczerwoną, Polską. Najnowsze przykłady to reprezentujący od niedawna Polskę czarnoskóry Kubańczyk Wilfredo Leon (skanduje „Polska! Białoczerwoni!” w popularnej reklamie) i belgijski trener polskiej reprezentacji Vital Heynen, który wzbudził entuzjazm, gdy po meczu, w którym Polska zapewniła sobie awans do przyszłorocznych igrzysk olimpijskich, przemówił do kibiców po polsku, a na zakończenie poprosił o wspólne odśpiewanie tej właśnie przyspiewki.

Ten inkluzywny charakter polskości siatkarskiej napędzany i wzmacniany jest przez fakt, że jej ustanawianie odbywa się w ramach zabawy. Mecz może być jak najbardziej serio, stawka wysoka, podobnie jak napięcie, ale – w przeciwieństwie do piłki nożnej – w hali siatkarskiej trudno znaleźć kogoś, kto traktuje zawody jako rozgrywkę ostateczną, decydującą – bój na śmierć i życie. Może wynika to z braku bezpośredniego kontaktu między zawodnikami, a może raczej z ogromnej liczby turniejów i konfrontacji, dających liczne możliwości rywalizacji między tymi samymi zespołami (Siatkarska Liga Narodów rozgrywana jest co roku mniej więcej w tym samym składzie). W każdym razie kibice siatkarscy nawet po przegranym meczu nie popadają w depresję, a w czasie zawodów zdają się bawić równie dobrze, gdy drużyna przegrywa (co w oczach kibiców piłki nożnej świadczy o małym zaangażowaniu i skazuje na pogardliwe nazwanie „piknikiem”).

Właśnie ten zabawowy, z założenia radosny sposób celebrowania polskości czyni z siatkarskiego kibicowania zjawisko tak niezwykle. Bo polskość jest zwykle otoczona martyrologią, przesiąknięta „bolesną pamięcią”, podminowana pragnieniem zemsty i realizacji snów o potędze, wzniosła i śmiertelnie poważna. Tymczasem kibice siatkówki, choć biorą udział w angażującej rywalizacji, tych wszystkich afektów nie podziwiają, radując się całym ciałem z prostego faktu, że wraz z innymi tworzą białoczerwoną wspólnotę, w której siłę niezmiennie wierzą.

Może najbardziej frapującym znakiem tej wiary jest inna popularna przyspiewka, „W górę serca – Polska wygra mecz!”. Połączenie i wykreślenie kulturowych znaków jest tu jeszcze bardziej nieprawdopodobne: na melodię beatlesowskiego „Yellow Submarine” śpiewa się jednakże tekst wykorzystujący kościelne „Sursum corda” w funkcji zaklęcia sportowego. Nawet jeśli pójść tak daleko, by stwierdzić, że jest to odwołanie do mesjanistycznych przekonań o szczególnej opiece Niebios, to wmontowane w zabawę nie może być traktowane do końca poważnie. To samo dotyczy innych przyspiewek przejętych z narodowego repertuaru (np. „Pieśń o małym rybczu” czy „Deszcze niespokojne”), których poważne użycie mogłoby wywołać oskarżenia o „szarganie świętości” lub... szerzenie komunistycznej propagandy.



Polska–Brazylia, finał Mistrzostw Świata, Turyn, 30 września 2018 r.

Stukają, pukają

Gdy kilka lat temu po raz pierwszy pisałem o narodowym teatrze kibiców siatkówki, zestawiałem ją z przedstawieniami wspólnoty posmoleńskiej, przeciwstawiając właściwą im żalobną powagę, ekskluzywny charakter i rekonstrukcję romantycznych mitów ofiary inkluzywnej i radosnej Polsce siatkarskiej. Dziś sytuacja się zmieniła. Przedstawienia smołeńskie zakończono, zastępując ceremoniami państwowymi, budzącymi co najwyżej nostalgię za bojowym zaangażowaniem. Miejsce rycerzy, romantycznych szaleńców i nawiedzonej Karusi zajęli pragmatycznie optymistyczni przystojniacy w drogich garniakach mówiący, że jest coraz lepiej, a Polacy są najfajniejsi na świecie, o ile oczywiście nie dadzą się skazić jakimiś obcymi ideologiami. To jeden z podstawowych filarów sukcesu PiS: po latach powtarzania, że musimy nadgonić, zreformować, przyjąć „europejskie standardy”, rządząca partia dała ludziom wolne i powiedziała, że nie muszą się wstydić niczego – mają prawo żyć, jak żyją, i cieszyć się tym.

Dla tak zmienionej pedagogiki społecznej Polska siatkarska jest sceną wręcz wymarzoną: patriotyczna, radosna, no-

woczesna, silna i piękna jak nasze zawodniczki i zawodnicy, jak pokazywane z umiłowaniem kibicki i kibice w różnym wieku, ale z takimi samymi uśmiechami i w takich samych barwach. Nic więc dziwnego, że władze – dyskretnie, ale konsekwentnie – zaczęły wzmacniać ten performans, jednocześnie przejmując go na własne potrzeby.

W roku 2018 na białych i czerwonych prostokątach trzymany przez kibiców pojawiło się logo programu „Niepodległa”. Był to wynik porozumienia między Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego a Polskim Związkiem Piłki Siatkowej, którego wiceprezesem jest jedna z medialnych twarzy PiS i zarazem symbol politycznego kunktatorstwa, Ryszard Czarnecki. Zgodnie z umową, z okazji stulecia niepodległości „widowiska siatkarskie zostały wzbogacone o liczne elementy patriotyczne”. W maju tego roku na meczu Polska – Korea (3:0) kibice, nie zwracając większej uwagi na rozpoczynających grę zawodników, odśpiewali wybraną ponoć w głosowaniu, znaną patriotyczną pieśń „Przybyli ułani pod okienko”...

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI



Posł Mięczysław Baszko tankuje „Baszkobus” w trakcie kampanii wyborczej na Podlasiu, Wasilków, 8 września 2019 r.

Przedwyborcze pułapki

KLAUS BACHMANN

O wiele więcej ludzi sądzi, że PiS wygra wybory, niż skłonnych jest głosować na tę partię. To nie musi być samospełniająca się przepowiednia.

JEŚLI PARTIA ZE STABILNĄ WIĘKSZOŚCIĄ i korzystnymi sondażami nagle zapowiada w kampanii rozdawnictwo socjalne bez pokrycia w dochodach państwa, można śmiało zakładać, że wpadła w panikę. A potem opozycja idzie w jej ślady.

Dawniej obywatel, świadom tego, że dochody i wydatki państwa muszą się jakoś zbilansować, mógł po prostu uznać, że partie go oszukują, obiecują gruszki na wierzbie i po wyborach o nich zapomną. PiS po roku 2015 wprowadził nowe stan-

dardy, realizując najbardziej karkołomne obietnice. Odtąd inne partie powinny być ostrożne w ich formułowaniu, a jeszcze bardziej ostrożni muszą być wyborcy, bo to, co partie obiecują w obecnej kampanii, może się rzeczywiście doczekać realizacji.

Mit kupowania głosów

Wynikają stąd dwa wnioski. Po pierwsze, wszyscy w Polsce, od rządu przez opozycję centrową do lewicy, głęboko wierzą,

że głosy wyborców można kupić. Ta złota myśl kuchennej politologii krąży już od ponad trzech lat w mediach społecznościowych, a przeciwnicy obecnego rządu tłumaczą, że ludzie głosują na PiS, bo PiS obdarza ich hojnie pieniędzmi z budżetu, więc opozycja, chcąc wygrać wybory, musi obiecać to samo. Nigdy chyba behawioryzm – teoria głosząca, że za pomocą bodźców materialnych można sterować ludzkim zachowaniem – nie miał tak wielu zwolenników, i to często wśród ludzi, którzy z oburzeniem odrzuciliby sugestię, że sami mogliby w zamian za korzyści materialne zmienić zachowania wyborcze.

Teza o „kupowaniu głosów” więcej mówi o wielkomiejskiej inteligencji pogardzie dla prostego ludu niż o zachowaniu tego ostatniego. Gdyby ta teza była prawdziwa, notowania PiS-u poszybowałyby w górę po starcie Programu 500 plus. Zamiast tego utrzymywały się na stabilnym poziomie, a potem nawet czasem spadały poniżej wyniku wyborczego

z 2015 r. Być może PiS liczył na taki „kupiony” wzrost poparcia i zdobycie większości konstytucyjnej we wcześniejszych wyborach, a ponieważ okazało się to niewykonalne – podporządkował sobie Trybunał Konstytucyjny. Niewykluczone, że kiedy w przyszłości opadnie kurz na polskim polu permanentnej bitwy i uda się odtworzyć ścieżki decyzyjne obecnie rządzących, okaże się, że Polaków pozbawiono niezależnego sądownictwa, bo nie dali się przekupić transferami socjalnymi.

Konflikt, który tak głęboko dzieli w Polsce elity polityczne i ludzi zainteresowanych polityką, nie jest konfliktem o dobra materialne. Polakom wiedzie się coraz lepiej, a nierówności w dochodach maleją i są przez większość ankietowanych akceptowane. Kiedy za pierwszej kadencji koalicji PO/PSL nierówności jeszcze wzrosły, partie rządzące utrzymywały większość, a PiS i lewica były słabe. W 2015 r. wśród wyborców zatrudnionych na umowach śmieciowych większość miała PO. Transfery socjalne PiS-u wywołują entuzjazm nie dlatego, że niosą ulgę biednym, tylko dlatego, że uwiarygodniają przekaz ideowy tego ugrupowania. Stanowią dowód, że za retoryką godnościową i zapewnieniami polityków tej partii o trosce, jaką otaczają „prostyh ludzi”, bo na to zasługują, idą konkretne – kosztowne! – czyny.

Sęk w tym że gdyby te same pieniądze dawała lewica, mówiąc, że to służy wyrównaniu różnic klasowych, albo gdyby sypnęli nimi liberałowie, mówiąc o modernizacji kraju, to odbiorcy nie przyjęliby takiej argumentacji. Te same pieniądze wzmacniają sympatie dla PiS nie tylko dlatego, że są mile widziane, ale przede wszystkim dlatego, że retoryka, która im towarzyszy, odpowiada temu, co beneficjenci sami o sobie myślą.

Z popularności rozdawnictwa wynika też drugi wniosek. Skoro wszyscy, zarówno partia rządząca, jak i opozycja lewicowa czy centrowa uciekają się do kosztownych obietnic, widocznie uważają, że bez nich przegrają wybory. To poczucie tchnie z wypowiedzi polityków opozycji (kiedy akurat nie przemawiają na jakimś wiecu) i krytycznych wobec rządu komentatorów. Wszyscy zdają się wierzyć, że PiS wybory już wygrał, tylko rozmiary klęski opozycji jeszcze nie są dokładnie znane.

Nie mam pojęcia, dlaczego sam PiS nie wierzy w swoje zwycięstwo – być może liderzy partii znają sondaże, których ja nie znam. Powód depresji po stronie opozycji jest powszechnie znany: to sondaże z ostatnich tygodni, wedle których PiS ma poparcie takie samo albo nawet wyższe niż w 2015 r. i szansę na to, aby otrzymać absolutną większość w Sejmie. Stąd decyzja o zwarciu szeregów opozycji i uzgodnieniu wspólnych kandydatów do Senatu – by odbić przynajmniej Senat, skoro na wygraną w Sejmie nie ma szans.

To jednak wniosek całkowicie błędny – i to z trzech powodów.

Drugie dno systemu D'Hondta

Notowania PiS-u na poziomie 42 proc. ważnie oddanych głosów mogą dać mu większość sejmową – ale nie muszą. Mniej zależy to od wysokości poparcia dla PiS-u, bardziej od poparcia dla innych partii. Im więcej partii zostanie poniżej progu pięciu (dla koalicji ośmiu) procent i im więcej dostaną one głosów, tym więcej korzyści system D'Hondta daje PiS-owi – jeśli tylko będzie największą partią, co wydaje się pewne. Im mniej jest takich „zmarnowanych głosów”, tym mniejsza przewaga w podziale mandatów, jaką ma największa partia w Sejmie w stosunku do pozostałych.

W 2015 r. cała lewica „zmarnowała głosy” swoich wyborców i została poza Sejmem, dając PiS-owi spore wsparcie. Tym razem tak łatwo nie będzie: wszystko wskazuje na to, że Lewica wejdzie do Sejmu, i to z przytupem – jako jedno ugrupowanie. Podobnie centrowa opozycja, która w 2015 r. była osłabiona (w świetle systemu D'Hondta) przez podział na PO i Nowoczesną. Dzięki zmniejszeniu przewagi, jaką D'Hondt daje największej partii, podział mandatów będzie bardziej proporcjonalny w stosunku do podziału głosów.

W 2015 r. PiS, zdobywszy 37 proc. głosów, dostał ponad 50 proc. mandatów. W tym roku, przy tak ukształtowanym systemie partyjnym, może tej większości nie zdobyć. Cieszyć się z tego jednak nie wypada nawet zwolennikom opozycji, bo oznaczałoby to albo koalicję z udziałem PiS-u (a więc koniec snów o ukaraniu liderów tej partii i czyszczeniu w czyszczonych przez nich przez ostatnie lata urzędach), albo bardzo niestabilną koalicję wszystkich poza PiS-em, blokową

przez Trybunał Konstytucyjny i (przynajmniej przez jeszcze pół roku) mało przyznanego prezydenta, który swój urząd przekształci wtedy w bastion zagrożonych piśmowców.

W co wierzy elektorat

W ostatnich tygodniach politycy opozycji, ich spin doktorzy i komentatorzy życia politycznego pilnie obliczali, jakie koalicje zapewnią największe korzyści. Najpierw była dyskusja o jednej wielkiej koalicji opozycyjnej, od lewicy do PSL, potem – spór o kształt list na lewicy. Trochę zapomniano przy tym o wyborcach. Co prawda pojawiały się głosy ostrzegające przed zbyt szeroką koalicją, w ramach której prawy skraj listy przestanie być strasny dla lewicowych wyborców i odwrotnie. To jednak nie wszystko.

Politycy tworząc koalicję muszą się liczyć z tym, że ich ruchy skłaniają wyborców do strategicznego, a nie tylko czysto ideowego wyboru. Wyborca, który ma upatrzoną partię – obojętne, czy ze względów materialnych, czy ideowych – ale widzi, że nie ma ona szans na wejście do parlamentu, może głosować na partię drugiego wyboru, która zapewne zdobędzie mandaty. Zastanawiano się ostatnio, czy wyborców Razem i Wiosny nie zrazi wspólna lista z udziałem SLD. Samo jednak powstanie koalicji, która na pewno wejdzie do Sejmu, odciąga głosy od ugrupowań lewicowych, które takiej gwarancji dać nie mogą, nawet jeśli są bardziej wiarygodne, ideowe i nieskażone przeszłością. Jeśli mamy dwie podobne partie, a wyborcy wierzą, że tylko jedna ma szansę na mandaty, ta druga na pewno straci głosy na jej rzecz.

A co daje wyborcom taką wiarę? Oczywiście sondaże. I to jest ten moment, kiedy sondaże nie tylko odbijają nastroje społeczne, ale też je kształtują – o ile ich wyniki są ogólnie dostępne. Wyborcy – zwłaszcza ci, którzy do ostatniej chwili nie wiedzą, na kogo zagłosują – chcą się znaleźć wśród zwycięzców. Dlatego w sondażach powyborczych odsetek respondentów deklarujących głosowanie na zwycięską partię jest często większy niż odsetek głosów faktycznie na nią oddanych. A dziś liczba ludzi, którzy sądzą, że PiS wygra te wybory, znacznie przewyższa liczbę skłonnych głosować na tę partię.

Jest to efekt dobrze znany z demoskopii i może prowadzić do powstania nowych →

→ większości w społeczeństwie. W Republice Federalnej Niemiec tak właśnie rozdziła się nowa większość wspierająca politykę wschodnią kanclerza Willy'ego Brandta. Ponieważ mainstream medialny popierał jego politykę uznania powojennych granic, wśród respondentów powstało wrażenie, że ma ona wsparcie większości. Co nie było prawdą – jednak przekonanie niezdecydowanych respondentów, którzy postanowili w sondażach iść za tym, co mylnie uważali za głos większości, sprawiło, że większość stała się faktem.

W polskich wyborach ten efekt sprzyja partii rządzącej. Jeśli opozycyjni politycy nadal będą wysyłać do wyborców defetystyczne sygnały o nieuniknionej wygranej PiS-u w Sejmie, stanie się to szybko samospełniającą się przepowiednią.

Wszystko się może zdarzyć

Podstawowy błąd medialnych kalkulacji na temat wyniku wyborów polega jednak na odniesieniu wyników sondaży do wyniku wyborów. Respondenci to nie to samo co wyborcy. Wyborca musi się zaznajomić z zasadami głosowania, wyrobić sobie opinię o partiach i kandydatach, ustalić adres swojego lokalu wyborczego, na koniec zaś pójść tam, wylegitymować się i oddać ważny głos. To o wiele więcej niż odpowiedź na pytania zadane przez telefon albo nawet przez ankietę, który przychodzi do domu. Dlatego sondaże dotyczące preferencji wyborczych zawsze wykazują frekwencję deklarowaną o wiele większą niż faktyczna. A ona nie jest obojętna dla wyniku wyborczego. Przed wyborami europejskimi uważano, że większa frekwencja sprzyja opozycji. Tak jest, jeśli mobilizacja przebiega symetrycznie: wtedy wyborcy opozycji „rozwodniliby” żelazny elektorat PiS-u, który zawsze chodzi gło-

Skoro frekwencja
jest tak ważna,
a sondaże nie są w stanie jej
przewidzieć,
**nie ma sensu,
aby wnioskować z sondaży,
jaki może być
wynik wyborów.**

sować. Ale ponieważ Koalicja Europejska (i lewica) odpuściły sobie kampanię na wsi (a PiS tam mobilizował swoich zwolenników), mobilizacja była asymetryczna i PiS wygrał.

Konieczność mobilizacji własnych wyborców to jednak tylko jedna strona równania, które prowadzi do wygranej. Druga to demobilizacja wyborców przeciwnika – na przykład przez wmawianie im, że ich partia wygra nawet wtedy, jeśli oni zostaną w domu. To łatwiejsze niż przekonywanie ich, aby głosowali na inną partię. Taki zresztą może być paradoksalny efekt mówienia przez opozycję, że wybory do Sejmu na pewno wygra PiS... Natomiast pod żadnym pozorem nie wolno mobilizować wyborców przeciwników.

Debaty o LGBT+ jest tego najlepszym przykładem – i jednocześnie dowodem na to, że obecne wybory nie skupiają się wokół kwestii materialnych, lecz wokół spraw ideologicznych i lęków, które z realnym, codziennym życiem większości wyborców nie mają wiele wspólnego. Oczywiście poza mniejszościami seksualnymi, których ona dotyczy bezpośrednio. Pisowska kampania przeciwko LGBT+ mobilizuje zarówno elektorat tej partii,

jak i elektorat lewicy. Oba chętniej pójda na wybory, oba z powodu lęku: albo przed LGBT+, albo przed PiS-em. Centrowa opozycja ma zapewne moralne powody, aby się na ten temat wypowiadać, ale wyborcza arytmetyka raczej nakazuje wstrzeźliwość.

Tezy o skutkach większej frekwencji formułować trzeba ostrożnie. Gdyby w Polsce udało się doprowadzić do blisko stuprocentowej frekwencji (na przykład dzięki wprowadzeniu, jak w Belgii, obowiązku głosowania obwarowanego karami), to zyskałby na tym przede wszystkim PiS. Cechy niegłosujących, które determinują preferencje wyborcze, są bowiem bardzo podobne do cech wyborców PiS-u: w obu grupach jest ponadprzeciętnie dużo ludzi o relatywnie niskim wykształceniu, niskich dochodach, mieszkających poza wielkimi aglomeracjami i powyżej pięćdziesiątki.

Skoro frekwencja jest tak ważna, a sondaże nie są w stanie jej przewidzieć, nie ma też sensu, aby wnioskować z sondażowych notowań o prawdopodobnym wyniku. W październiku PiS może mieć ponad 40 proc. głosów, ale może też mieć mniej lub więcej. Nawet jeśli będzie ich więcej, to i tak konstelacja poszczególnych list może spowodować, że zabraknie mu mandatów do większości absolutnej. Natomiast jeśli Koalicja Polska (skupiona wokół PSL) nie przekroczy 5 procent, a inne partie, które zostaną poza Sejmem, zbiorą duży odsetek głosów – PiS może zachować większość absolutną nawet z wynikiem poniżej 40 procent.

Dlatego po 13 października wszystko może się zdarzyć: rząd PiS-u, rząd przeciwko PiS-owi i rząd z udziałem PiS-u. Do tego czasu sondaże należy czytać nie jako zwierciadło nastrojów i preferencji wyborczych, lecz jako narzędzia sterujące tymi nastrojami. © KLAUS BACHMANN

TP Kluby „TP” zapraszają na spotkania

GRUDZIĄDZ,
poniedziałek, 7 października,
godz. 17.30
„Kim jesteś, Tereso?”.
Miejsce: NSP 1
(ul. Chełmińska 121).

RZESZÓW,
czwartek, 26 września, godz. 19.00
„O praktyce medytacji
chrześcijańskiej”. Miejsce:
klasztor oo. Dominikanów
(ul. Dominikańska 15).

ZIELONA GÓRA, czwartek,
10 października, godz. 18.00
„Ofiary mają głos”. Gośćmi będą:
Artur Nowak, ks. prof. Andrzej Kobyliński.
Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety
(ul. Fabryczna 13).



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak w Sejmie, listopad 2018 r.

Bo jestem dorosły!

ANNA GOLUS

Powszechna i uważana za stan oczywisty, ponadczasowy i naturalny jak kiedyś seksizm: dyskryminacja ze względu na wiek.

UWIERZCIE MI, SAM JESTEM JUŻ DOROSŁY I WIEM, CO MÓWIĘ” – napisał rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak w liście do uczniów, zachęcając ich do rezygnacji z rozrywki i życia prywatnego na rzecz kucia do wieczora i przekonując, że „nie będą żałować tych wieczorów nad książką lub ćwiczeniami”, bo zdobędą „prawdziwy skarb”: wiedzę, bez której „nawet Wasze smartfony staną się bezużyteczne. Przecież bez znajomości języka obcego trudno jest znaleźć coś szybko w internecie”.

Dzieciom się wydaje

Rzecznik praw dziecka najwyraźniej nie wie, że smartfon nie staje się bezużyteczny w rękach osoby, która zna tylko jeden język, że internet zawiera niezliczone ilości informacji w każdym języku oraz że dzieci używają smartfonów nie tylko do grania i wyszukiwania plotek. Jest jednak dorosły, więc uważa, że wyłącznie z racji swojego wieku wie, co mówi, a dzieci mają mu wierzyć. Według niego dzieciom „może się wydawać”, że szkoła „to tylko przykry obowiązek, niepotrzebna

strata czasu. Nawet forma kary czy ucisku – te zadania domowe, klasówki, wypracowania”.

Ale co one tam wiedzą, przecież tylko się im wydaje! Bez względu na to, jak bardzo bezużyteczną wiedzę muszą wkuć, jak bardzo niesprawiedliwie są oceniane, jak bardzo przykry jest to obowiązek, dzieci mają się uczyć – wieczorami! – i nie myśleć o swoim trudnym losie, stresie, przemęczeniu, niezaspokojonych potrzebach rozrywki, odpoczynku i towarzystwa. Pawlak ma bowiem dla nich bardzo mądrą radę dorosłego, który wie lepiej: „Ale pomyślcie wtedy trochę szerzej. Nie tylko o dzisiejszym trudnym wieczorze nad książką. Pomyślcie, co Wam ten wieczór da. Czego się nauczycie, jaką wiedzę zdobędziecie”.

Na pewno ma rację, bo przecież jest dorosły! RPD ma już za sobą wszystkie trudne wieczory spędzone na przymusowym wkuwaniu rzeczy, które w ogóle go nie interesują i nigdy do niczego się nie przydadzą. Ma już za sobą strach przed niesprawiedliwą oceną, złym humorem „pani”, niezadowoleniem rodziców. Przeżył wiele lat szkolnego stresu i rywalizacji, ale na szczęście to już przeszłość.

Jak wielu innych dorosłych, teraz może radośnie wyprzeć wszystkie przykre wspomnienia i wmówić sobie, że to, czego doświadczył w szkole, nie było wcale takie straszne. A jeśli nawet nie było łatwo, to się opłacało, bo zdobył wiedzę, a to według niego jedyny cel szkoły. Ten sam mechanizm wyparcia własnego cierpienia stosuje zresztą w związku z przemocą fizyczną, której doznał ze strony swojego ojca, o czym na łamach „TP” była już mowa.

Bez emancypacji

Warto powtórzyć, że rzecznik praw dziecka nie powinien bagatelizować dziecięcych (również własnych z przeszłości) doświadczeń, przeżyć, uczuć, bo daje w ten sposób przyzwolenie na lekceważenie i inne formy złego traktowania nieletnich. Warto też odnotować, że protekcyjny list do uczniów to doskonały przykład aduptyzmu, czyli dyskryminacji dzieci i młodzieży ze względu na wiek.

Aduptyzm to obecnie najczęściej spotykany rodzaj dyskryminacji – powszechny i uważany za stan oczywisty, ponadczasowy i naturalny jak kiedyś seksizm. Przez wiele wieków uważano, że kobiety są z natury głupie i ułomne, pod każdym →

→ względem gorsze od mężczyzn, więc dla swojego własnego dobra muszą być podporządkowane najpierw ojcom, a następnie mężom. Dzisiaj uważa się, że dzieci są z natury głupie i ułomne, pod każdym względem gorsze od dorosłych, więc dla swojego własnego dobra muszą być podporządkowane rodzicom w domu, a poza domem nauczycielom i wszystkim, którzy osiągnęli już pełnoletność. Proces emancypacji kobiet był długi i jeszcze się nie zakończył. Emancypacja dzieci nawet się nie zaczęła.

Wprawdzie faktem jest, że sytuacja dzieci w naszym kręgu kulturowym stopniowo się poprawia – na przykład współcześni uczniowie nie muszą już się obawiać, że dostaną od nauczyciela linijką po dłoniach albo dziennikiem po głowie. Wciąż jednak nie mają nic do powiedzenia ani w domu, ani w szkole, nawet w sprawach, które ich bezpośrednio dotyczą.

Gwarantowane wieloma aktami prawnymi prawo do nauki to w praktyce obowiązek szkolny – nie przywilej, lecz przyrzeczenie – który nawet dziś, mimo braku kar cielesnych w szkole, może przekształcić się w wieloletni koszmar, z którego wyłazi się nie „skarb wiedzy”, lecz ciężki bagaż traum, zdruzgotanego poczucia własnej wartości i zerowej samooceny. Dziecko ma prawo do swobody myśli, sumienia i wyznania, ale aż do 18. roku życia to rodzice decydują, czy będzie uczęszczać na lekcje religii (a wcześniej: czy zostanie ochrzczony albo obrzezany).

Dziecko ma prawo do swobody wypowiedzi i wyrażania własnych poglądów w dotyczących go sprawach, ale jeśli powie, że szkoła to dla niego „przykry obowiązek, niepotrzebna strata czasu, forma kary czy ucisku” i że warto byłoby coś w tym systemie zmienić – tak by miało czas na rozrywkę i odpoczynek i nie musiało spędzać wieczorów na odrabianiu prac domowych i bezsensownym wkuwaniu nadmiaru faktów, które w ułamku sekundy w każdej chwili może sobie wygugłać – nawet rzecznik praw dziecka wzruszy lekceważąco ramionami.

Z taką samą reakcją spotka się dziecko, które powie, że obowiązujący w naszym kraju system edukacji – z wpisanym w niego systemem nagród i kar (bo system oceniania to właśnie system nagród i kar, o czym dorośli lubią zapominać) – niszczy ciekawość świata, kreatywność, poczucie własnej wartości i motywację

Uczniowie nie muszą się już bać kar cielesnych.

Ale w sprawach, które bezpośrednio ich dotyczą – w domu, w szkole – wciąż nie mają prawa głosu.

wewnętrzna. Jeśli zasugeruje ono, że zmiany są możliwe i poda przykład Finlandii, zostanie zignorowane, wyśmiane albo nawet ukarane za kłamstwo i pyśkowanie.

Jak muchy

Adulteryzm to jednak nie tylko lekceważenie dzieci i traktowanie ich jak bezmózgich podludzi, ale też inne formy dyskryminacji, takie jak na przykład tworzone już także w Polsce strefy wolne od dzieci. Ostatnio dwie poznańskie restauracje wprowadziły zakaz wstępu dla dzieci młodszych niż sześć lat, co potępił m.in. rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Również rzecznik praw dziecka w wypowiedzi dla „Dziennika Gazety Prawnej” stwierdził, iż właściciele nie powinni stosować „odpowiedzialności zbiorowej” i zakazywać wstępu wszystkim dzieciom tylko dlatego, że ich rówieśnikom zdarzyło się zachować nieodpowiednio.

Adulteryzm, jak każdy rodzaj dyskryminacji, opiera się jednak właśnie na uprzedzeniach i przypisywaniu jakichś cech, niekiedy całkowicie absurdalnych, wszystkim przedstawicielom danej grupy. W tym przypadku właściciele restauracji założyli, że wszystkie dzieci do szóstego roku życia są głośne, biegają, brudzą i niszczą mienie.

Można się jednak cieszyć, że restauratorzy ograniczyli się do zakazu wstępu. Mogli bowiem sięgnąć po brutalniejsze metody odstraszenia nieproszonych gości – specjalny system o nazwie Mosquito. Wówczas jednak przegoniliby z okolicy restauracji nie tylko małe dzieci, ale również nastolatki i wszystkich ludzi z nadwrażliwością słuchową, którzy słyszą dźwięki o bardzo wysokiej częstotliwości. Mosquito to bowiem specjalne urządzenie emitujące właśnie takie, bardzo nieprzyjemne i irytujące dźwięki, z reguły słyszalne tylko przez osoby do 25. roku życia (ponieważ zdolność słysz

zenia dźwięków o wysokiej częstotliwości maleje z wiekiem). Stworzono je w celu przepędzania młodzieży z miejsc, gdzie przeszkadzała dorosłym, np. spod sklepów, bo zachowywała się w nieodpowiedni sposób.

Wystarczy zamontować i włączyć Mosquito, by pozbyć się tego problemu (i przy okazji niechcący sprawić cierpienie wielu innym, zachowującym się jak najbardziej poprawnie, młodym i chorym osobom znajdującym się w zasięgu działania urządzenia). W Polsce ta broń dźwiękowa – bo inaczej nie da się tego nazwać – nie jest jeszcze popularna, ale być może niebawem również właściciele polskich firm, wzorem dbających o spokój i ciszę przedsiębiorców z takich krajów jak m.in. Wielka Brytania, Niemcy, Hiszpania czy USA, postanowią zainwestować 700 euro i cieszyć się okolicą bez dzieci, młodzieży, autystów, a także bez zwierząt (bo one również słyszą emitowany przez to urządzenie dźwięk). Elektroniczne odstraszacze zwierząt (np. gryzoni i owadów), działające na tej samej zasadzie co Mosquito i stanowiące jego pierwowzór, można już u nas kupić. Czy przyjdzie czas również na polskie dzieci?

Kilka brytyjskich organizacji zajmujących się m.in. przeciwdziałaniem adulteryzmowi w kampanii „Buzz Off”, mającej na celu zakazanie sprzedaży urządzenia, podkreśla, że stosowanie go nie tylko dyskryminuje młodych ludzi, ale też demonizuje ich i poniża, ponieważ są traktowani jak szkodniki, nawet gdy niczego złego nie robią. Dyrektor jednej z tych organizacji (Liberty), Shami Chakrabarti, mówi: „Jakie społeczeństwo używa broni dźwiękowej przeciwko własnym dzieciom? Wyobraźcie sobie oburzenie po wprowadzeniu urządzenia, które powodowałoby dyskomfort nie u naszych dzieci, lecz u dorosłych jakiejś rasy albo płci. Mosquito jest nieakceptowalne w kraju, który ceni dzieci i stara się wpoić im godność i szacunek”.

Wyobraźmy sobie oburzenie, jakie wywołałby zakaz wstępu do restauracji dla osób po 60. roku życia (bo niektórym z nich trzęsą się ręce i mogą zachlapać oburazupą, a inni klienci skarżą się, że widok starszych ludzi odbiera im apetyt)? Albo list rzecznika praw obywatelskich do kobiet ze słowami: „Uwierzcie mi, jestem mężczyzną i wiem, co mówię”?

© ANNA GOLUS

ANNA

Dziewit-Meller: Skasuj się



„W 2001 roku, kiedy pracowałem jeszcze jako nauczyciel w Vancouver, wziąłem udział w gali na zakończenie roku szkolnego, której tematem przewodnim była »Arabska noc«. Założyłem wtedy kostium Alladyna i... pomalowałem sobie twarz na brązowo. Nie myślałem wówczas o tym jako o geście rasistowskim, ale teraz tak właśnie go widzę. Nie powinienem był tego robić, powinienem mieć świadomość tego gestu. Nie miałem i bardzo za to przepraszam” – powiedział, przemawiając ze skruszoną miną premier Kanady Justin Trudeau, odnosząc się do rewelacji opublikowanych chwilę wcześniej przez „Timesa”. Gazeta zamieściła zdjęcia młodego premiera w stroju z balu przebierańców, który wzbudził kontrowersje nie tylko w Kanadzie. Oto bowiem młody Trudeau w otoczeniu koleżanek pozuje w turbanie i z całkowicie pomalowaną na ciemno twarzą.

Dla premiera Kanady, który swoją karierę polityczną oparł w dużej mierze na walce z rasizmem i nierównościami, ów incydent z młodości okazać się może bardziej brzemienny w skutki niż poważne zarzuty natury prawnej, jakie przeciwko niemu wytoczono. Dopiero co przecież przez światowe media przetoczyła się fala informacji o domniemanych próbach wpływania przez Trudeau na decyzje prokuratora generalnego w sprawie jednej z firm budowlanych, oskarżanej o korupcję i milionowe łapówki dla rządu Kaddafiego w Libii. Ta fala jednak najwyraźniej nie okazała się wystarczająco wysoka, by poważnie zaszkodzić „ulubionemu premierowi liberałów z całego świata”. Trudne do streszczenia w jednym tweecie korupcyjne skandale za słabo się klikają, uczerniona buźka ma znacznie większy klikbajtowy potencjał.

Dziennikarze kanadyjskich mediów ustalili szybko, że źródłem fotografii sprzed lat jest sztab wyborczy Partii Konserwatywnej, jednak i to nie odebrało mocy skandalowi, który coraz boleśniej dotyka premiera. Wygląda na to bowiem, że „Obama Kanady” paść może zaraz – jak wielu przed nim i wielu po nim zapewne – ofiarą tzw. *cancel culture*, w wolnym tłumaczeniu zwanej kulturą przekreślenia. Tak nazwano zjawisko polegające na tym, że osoby publiczne, np. celebryci, dziennikarze, artyści, ze względu na popełniony w przeszłości dalszej czy bliższej błąd (typu uczernienie sobie facjaty na bal w 2001 r.), zrzućeni zostają z piedestału przez wkurzony tłum, którego nie interesują konteksty,

nianse ani dajmy na to zmiana, jaka zaszła w poglądach czy postępowaniu danego delikwenta przez lata. Należy mu więc dożywotnie odebrać tytuły, zasługi i możliwości dalszego funkcjonowania w sferze publicznej.

Prawicowe gazety i portale na całym świecie mają w związku z „przypadkiem Trudeau” ręce pełne roboty, a usta pełne śmiechu, w *cancel culture* widząc narzędzie lewicowej politycznej poprawności doprowadzonej do ekstremum. Zdaje się jednak, że owo idące z głębi mediów społecznicowych zjawisko jest czymś znacznie poważniejszym niż tylko źródłem satysfakcji przeciwników politycznych premiera Kanady lub innych postaci publicznych strąconych z pomników i pomniczków.

W magazynie „Psychology Today” dr Pamela B. Paretsky opublikowała niedawno alarmujący tekst pod tytułem „Apokaliptyczny kult kultury przekreślenia”, w którym apeluje o przywrócenie proporcji, o zdrowy rozsądek, a przede wszystkim o powrót do łask (całkiem chrześcijańskiej) możliwości przebaczenia i odkupienia swoich przewin. Kultura przekreślenia bowiem – zdaniem badaczki – nie jest zainteresowana tymi staroświeckimi wartościami, tu liczy się tylko rewolucyjny porządek, całkowite ustąpienie starego przed nowym, oczyszczenie przedpola z tych, którzy nie przejdą najróżniej formułowanych testów stosownej moralności. Nawet jeśli są piosenkarką pop, jak Taylor Swift, która w amerykańskim „Vogue’u” opowiadała niedawno o tym, jak stała się ofiarą *cancel culture* po konflikcie z inną wielką gwiazdą amerykańskiej sceny muzycznej Kayne Westem. „Masowe, publiczne upokorzenie, kiedy miliony ludzi piszą do ciebie, że masz się »skasować«, jest doświadczeniem skrajnie wykluczającym” – powiedziała.

Młodziutka amerykańska gwiazda zdaje się więc iść tropem wskazanym przez autorkę „Psychology Today”, domagającą się od wściekłego z różnych powodów tłumy refleksji i zamiarkowania, że niezależnie od przewin, jakich dopuszcza się przedmiot ataku kultury przekreślenia, wciąż pozostaje człowiekiem i w związku z tym przysługują mu pewne prawa. Coś jakby ogólnoswiatowy przypadek dla Adama Bodnara.

Kultura przekreślenia – obecna przecież w polskim wydaniu – choć jest utożsamiana z lewicową bańką poprawności politycznej, bywa bronią obosieczną. Czy w tym wypadku zadziała prawo do samokrytyki i wyciągania wniosków z przeszłości? Czy jest możliwe, że jeśli już cokolwiek utraci karierę tego polityka, to raczej sążnista afera korupcyjna, a nie dawna historia braku pewnej wrażliwości i głupoty? Polecam śledzenie sprawy. Na koniec zaś chętnie przytoczę głos amerykańskich nastolatków, pytanym przez „New York Times” o dojrzwienie w dobie kultury przekreślenia. „Ciężko jest żyć w czasach, w których nasze życie toczy się tak bardzo publicznie, skoro jednocześnie nie dostajemy szansy na naukę na własnych błędach, na wyjaśnienie siebie samych, na dorosnięcie, na zmianę poglądów”. Co wszystkim fejsbukowym samozwańczym sędziom wpisuję czarną kredką do sztambucha. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

WIARA



NAPRAWIANIE KOŚCIOŁA

Odwaga niemieckich biskupów
jednych niepokoi, innych napawa nadzieją.
Do czego doprowadzi rozpoczęta przez nich synodalna droga?

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Pielgrzymka niemieckich biskupów katolickich i ewangelickich do Muzeum Holokaustu Yad Vashem, na pierwszym planie kard. Reinhard Marx, Jerozolima, październik 2016 r.

Niemieckie przełomy

Synody i synodalność to rzeczywistości sięgające początku chrześcijaństwa. W ciągu 20 stuleci istnienia Kościoła biskupi różnych prowincji kościelnych spotykali się na synodach, by podjąć rozstrzygnięcia w kwestiach wiary i moralności, korzystając przy tym z mądrości ogółu wiernych. Z tych zgromadzeń wyłoniły się sobory powszechne, podejmujące kwestie o znaczeniu fundamentalnym, choć i one nie zatrzymały praktyki synodalnej.

Na tym tle wyjątkową rolę odegrały synody Kościoła w Niemczech, które na stałe zmieniły sposób funkcjonowania tamtejszej Konferencji Episkopatu (DBK). Przełomowe były zwłaszcza dwa niemieckie synody: Synod w Würzburgu (1971-75) i Synod pastoralny Kościoła katolickiego w NRD (1973-75).

Ostatnio, po ponad dwudziestoletnich zmaganiach, niemieccy biskupi doprowadzili do rozwiązania kwestii komunii w małżeństwach niesakramentalnych, podjętego przez Franciszka w adhortacji „*Amoris laetitia*”, i postawili problem komunii w małżeństwach mieszanych wyznaniowo. Niemiecki episkopat wydaje się więc być instytucją podejmującą faktyczne wyzwania niesione przez współczesność, zdobywając się na odwagę poszukiwania w duchu Ewangelii adekwatnych (a więc najczęściej nowych) rozwiązań.

Zgorszenie pedofilskie

Skandale pedofilskie w Kościele katolickim są wielką tragedią. Episkopaty krajowe różnie sobie z tym problemem radziły i radzą (albo raczej nie radzą). Biskupom za naszą zachodnią granicą zmierzanie się z pedofilią w Kościele nie przyszło łatwo. W roku 2013 DBK zleciła zbadać problem ośrodkom naukowym w Mannheim, Heidelbergu i Giessen (stąd skrót MHG-Studie), oraz 10-osobowej Radzie, złożonej z przedstawicieli świata nauki, stowarzyszeń zajmujących się ofiarami, samych poszkodowanych i Kościoła hierarchicznego.

Badaniem objęto wszystkie 27 diecezji, z tym że w dziesięciu z nich badany czas obejmował lata 1946–2015, w pozostałych 2000–15. Mimo wielu ograniczeń natury formalnej udało się sporządzić 356-stronicowy raport, który dla niemieckich biskupów i całej społeczności Kościoła był porażający. Mówił o 1670 przestępstwach seksualnych (1429 księży diecezjalnych, 159 zakonników pracujących na zlecenie diecezji, 24 diakonów stałych) i 3677 małoletnich ofiarach. Lista oczywiście pozostaje otwarta. Badania kosztowały okrągły milion euro, który wyłożył Związek Diecezji Niemiec (VDD).

Raport został przyjęty na jesiennym posiedzeniu plenarnym DBK we wrześniu 2018 r. w Fuldzie. Wówczas biskupi pisali: „Szokujące dane nakazują nam, biskupom, obowiązek zwiększenia odpowiedzialności za wzmożenie działań i oddanie sprawiedliwości ofiarom. Pokazują one również instytucjonalną porażkę. Jako biskupi stajemy wobec powagi chwili”.

Odpowiedź na kryzys

Po zebraniu w Fuldzie, w reakcji na raport MHG, niemieccy biskupi mówili o zobowiązaniu do dialogu: „Specyficzne dla Kościoła katolickiego wymagania i pytania o bezzenną formę życia prezbiterów oraz o różne aspekty katolickiej etyki seksualnej będą zgłębiane z udziałem fachowców różnych dyscyplin w transparentnym procesie dialogu”. Na wiosennym zebraniu plenarnym DBK w marcu tego roku w Lingen biskupi doszli do wniosku, że wstrząs wywołany raportem wymaga szczególnej reakcji. „Wiara może rosnąć i pogłębiać się, jeśli w sposób wolny od blokad myślenia staniemy do otwartej debaty, rozwijając w sobie zdolność do zajęcia nowych stanowisk i pójścia nową drogą” – pisali.

Z takiego przekonania wyrosła decyzja, by „jako Kościół w Niemczech pójść wiążącą drogą synodalną, która umożliwi strukturalną debatę w czasie uzgodnionym z Centralnym Komitetem Katolików Niemiec (ZdK). Stworzymy warunki do otwartej debaty i zwiążemy się procedurami, które umożliwią odpowiedzialny udział kobiet i mężczyzn z naszych diecezji. Chcemy być Kościołem słuchającym. Potrzebujemy rady ludzi spoza Kościoła” – wyjaśniał kard. Reinhard Marx, przewodniczący DBK. Decyzję o synodalnej →

KOŚCIÓŁ W NIEMCZACH PRZEŻYWA KOlejny wstrząs. Kiedy – zwłaszcza w ustach jednego z kardynałów – pojawiają się ostrzeżenia przed schizmą, sprawa wygląda poważnie. A wszystko to za sprawą drogi synodalnej, na którą wkroczyli katolicy za naszą zachodnią granicą. Bezpośrednim impulsem do jej rozpoczęcia był szok po ujawnieniu skali pedofilii duchownych niemieckiego Kościoła. Czym jednak jest droga synodalna?

→ drodze DBK podjęła bez głosów przeciwnych.

Kard. Marx wskazał na trzy grupy zagadnień, które staną się przedmiotem synodalnego namysłu. Po pierwsze, konieczne jest ograniczenie władzy, co pozwoli uniknąć klerykalnych nadużyć i umożliwi zbudowanie sprawiedliwszego, prawnie ugruntowanego porządku. Po wtóre, doceniając wartość celibatu, trzeba zastanowić się nad jego koniecznością w posłudze kapłańskiej. Po trzecie wreszcie, należy przemyśleć problem moralności seksualnej, która nie przyswoiła sobie osiągnięć teologii i antropologii, przez co nauczanie Kościoła w tym zakresie straciło na znaczeniu.

Odpowiednio do tych obszarów problemowych powstały trzy fora, kierowane w każdym przypadku przez biskupa i osobę świecką: „Rządzenie, uczestnictwo i podział władzy”, „Forma życia kapłańskiego” oraz „Moralność seksualna”. W trakcie przygotowań utworzono czwarte forum: „Kobiety w posługach i urzędach Kościoła”.

ZdK – najbardziej wpływowa organizacja świeckich katolików, uznawana przez episkopat za przedstawicieli laikatu – na swoim plenarnym zebraniu w maju tego roku zdecydowaną większością głosów wsparła inicjatywę synodalnej drogi, wyrażając jednocześnie gotowość personalnego i finansowego uczestnictwa w tym dziele. Przygotowania ruszyły więc pełną parą.

Głos Franciszka

Papież Franciszek 29 czerwca skierował do Kościoła w Niemczech list nawiązujący do inicjatywy drogi synodalnej. Było to dla wszystkich zaskoczeniem, gdyż nieczęsto zdarza się, żeby papież pisał listy do lokalnych Kościołów. Z jednej strony wskazuje to na znaczenie Kościoła w Niemczech, z drugiej zaś pokazuje, że działania podjęte przez niemieckich katolików są ważne dla Kościoła powszechnego. Papieska korespondencja przez większość została odebrana jako zachęta do odważnego kroczenia wytyczoną drogą. Nie ma w tym Liście zakazu w rodzaju: „nie idźcie tą drogą”, nie ma ograniczania czy narzucania tematów. Jest za to troska o powodzenie dzieła. Czytając List papieża trzeba to czynić w perspektywie adhortacji apostołskiej „*Evangelii gaudium*” (jest tam aż 13 cytatów z adhortacji).

Droga synodalna ma krytyków.

Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary posuwa się do argumentów *ad personam*, stwierdzając, że wśród reformatorów niewielu emanuje świętością życia.

List adresowany jest nie tylko do biskupów, ale do całego niemieckiego Kościoła: „do pielgrzymującego ludu Bożego w Niemczech”, jak głosi jego tytuł. Papież podziela w nim troskę wierzących o przyszłość Kościoła w Niemczech, zapewnia o swoim wsparciu i bliskości, „zachęca do szczerego poszukiwania odpowiedzi na aktualną sytuację”. Franciszek jest świadom erozji wiary, drastycznego spadku liczby uczestniczących w niedzielnej mszy i przyjmujących sakramenty, także na terenach tradycyjnie katolickich. Nie można jednak, jego zdaniem, popadać w rezygnację, bierność czy niedbalstwo. Papież nawiązuje wprost do synodalnej drogi zaproponowanej przez niemiecki episkopat. *Synodos* jest dlań „wspólną drogą pod przewodnictwem Ducha Świętego. A to oznacza wybranie się w drogę razem z całym Kościołem (...) w rozpoznaniu wciąż nowego horyzontu, jaki pragnie nam On podarować. To wymaga odwagi. Synodalność zakłada i potrzebuje działania Ducha Świętego”.

Papież podkreśla, że nie da się przeprowadzić poważnego synodu bez udziału wiernych. Trzeba jednocześnie mieć na tyle pokory, cierpliwości i zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że wszystkiego nie zrobi się od razu. W tym kontekście Franciszek powtarza swój wielokrotnie wyrażany pogląd: „Przesadna centralizacja zamiast pomagać, komplikuje życie Kościoła oraz jego dynamizm misyjny”.

Nie chodzi więc o to, by znaleźć „do końca określony” stary albo nowy porządek. Pragnienie pozostawania „w porządku i zgodności” osłabia czy wręcz unicestwia żywą moc i świeżość Ewangelii. Autor Listu wzywa do odwagi. „Nie będziemy w stanie uczynić czegoś dobrego, co odpowiada Ewangelii, jeśli będziemy

się tego bali”, a „ewangelizacja prowadzi do tego, by odzyskać radość z Ewangelii, radość z bycia chrześcijaninem”. Oznacza ona wyjście do świata, a raczej na jego obrzeża, „by Duchem Chrystusa naładować całą rzeczywistość ziemi”, a tam, „gdzie kształtują się nowe narracje i paradygmaty, dotrzeć ze słowem Bożym do najgłębszych zakamarków duszy miasta”, do zniewolonych, obcych, zmarginalizowanych i wykluczonych.

Synodalność ma wpływać na rozwój kościelnego życia na wszystkich jego płaszczyznach – pisze Franciszek. Kościoły lokalne, trwając we wspólnotności z całym Kościołem powszechnym, pozwalają mu żyć i rozkwitać.

W Liście papież mówi o *sensus Ecclesiae* jako życiu i odczuwaniu z Kościołem i w Kościele, co nierzadko oznacza również cierpienie w Kościele i z powodu Kościoła. Jest także sięganiem poza horyzont problemów, tak by z nieco dalszej perspektywy owe problemy rozwiązać. Jest wreszcie dostrzeganiem piękna wielokształtnego oblicza Kościoła. Centralna pozycja ewangelizacji i *sensus Ecclesiae* są wyznacznikami kościelnego DNA. Stąd też synodalność domaga się świadomego przyjęcia kościelnego sposobu bycia, w którym „całość jest czymś więcej niż część i czymś więcej niż ich prosta suma. Nie trzeba więc zbytnio upierać się przy sprawach szczegółowych. Trzeba zawsze poszerzać spojrzenie, by rozpoznać większe dobro, przynoszące korzyści wszystkim. Ale trzeba to czynić, unikając pokusy ucieczki, wykorzenienia. Należy zapuścić korzenie w urodzajnej ziemi i w historii własnego miejsca, będącego Bożym darem. Pracujemy w tym, co małe, bliskie, ale w szerszej perspektywie”. Franciszek wyraźnie podziela dążenie niemieckiego Kościoła. „Pragnę was wspierać i wam towarzyszyć”.

Czytanie listu

List papieża został przez Kościół w Niemczech przyjęty z radością. Jednak komentarze, a jeszcze bardziej komentarze do komentarzy, nasuwają pytanie: czy wszyscy otrzymali tę samą korespondencję? Kard. Marx i prezydent ZdK prof. Thomas Sterberg uznali zgodnie, że papieska korespondencja jest umocnieniem na drodze synodalnej. Stwierdzili, że papież wyznaczył kierunek wspólnych działań na drodze, która ma duchowe ukierunkowa-

nie i nie może wyczerpać się w debatach o problemach strukturalnych.

Nieco inaczej odczytał List kard. Rainer M. Woelki. Wydaje się on dostrzegać jedynie duchowy wymiar pisma, akcentując przy tym prymat ewangelizacji. Nie dostrzega, a na pewno o tym nie mówi, że Franciszek napisał do niemieckiego Kościoła z powodu podjętej drogi synodalnej. Komentatorzy związani z portalem kath.net mówią nawet o medialnej manipulacji, jakiej po Liście Franciszka mieliby dopuszczać się orędownicy synodalnej drogi.

Droga synodalna ma także krytyków, wśród których na pierwszym miejscu jest (chciałoby się powiedzieć: jak zwykle) kard. Gerhard L. Müller. Zarzuca niemieckim biskupom, że nie są świadomymi rzeczywistych problemów, że „mówią o moralności seksualnej, celibacie i kapłaństwie kobiet, a nie mówią o Bogu, Chrystusie, łasce, sakramentach, wierze, nadziei i miłości”. Porównuje Kościół katolicki do upadającego w środkowej Europie protestantyzmu, w którym funkcjonują żonaci pastorzy, zawierane są tzw. małżeństwa homoseksualne, i triumfalnie oznajmia, że mimo braku tego wszystkiego w Kościele katolickim jego sytuacja jest lepsza. Jednocześnie z dużą dozą rezygnacji mówi o niemożliwości głoszenia Ewangelii w Europie zachodniej, opływającej przez nihilizm. W swojej krytyce były prefekt Kongregacji Nauki Wiary posuwa się do argumentów *ad personam*, stwierdzając, że wśród reformatorów mało jest ludzi emanujących świę-

tością życia. Jeszcze dalej idą publicyści wspomnianego portalu kath.net, którzy (powołując się na anonimowe źródła watykańskie), mówią, że... kard. Marx czeka na konklawe, by zająć miejsce Franciszka, a papież toleruje Marksa, ponieważ potrzebuje niemieckich pieniędzy.

Działan rodaków wydaje się nie rozumieć także abp Georg Gänswein (sekretarz Benedykta XVI), kiedy pyta: „Co odróżnia synodalny Kościół, czy też synodalną drogę Kościoła od tego, co było do tej pory?” – i nie dostrzega różnicy. „Na synodalnych drogach – bez względu na to, jak się je nazywa – biskup lub konferencja episkopatu nie mogą podejmować ważnych kwestii doktrynalnych lub spraw, które mogą mieć wpływ na Kościół powszechny. A kto uważa, że Konferencja Episkopatu Niemiec musi pójść specjalną drogą, aby dać doskonały przykład innym konferencjom episkopatów, jest, jak sądzę, na złej drodze i się myli”. Abp Gänswein zapomina o tym, że w „Ewangelii gaudium” Franciszek ponawia prośbę Jana Pawła II o znalezienie nowej formy sprawowania prymatu, która łączyłaby się z autentycznym autorytetem doktrynalnym konferencji episkopatów.

Reakcja Kurii rzymskiej

13 września DBK opublikowała list prefekta Kongregacji ds. Biskupów kard. Marca Ouelleta, skierowany 4 września na ręce kard. Marksa. Prefekt, przypominając DBK o obowiązku działania w jedności z Kościołem powszechnym, załączył

ocenę protokołów Rady Stałej DBK, zawierających projekty prawnych regulacji synodalnej drogi, której dokonała Papieska Rada ds. Tekstów Prawnych. Rada otrzymała projekty 29 lipca, a swoje stanowisko przedstawiła już w piśmie z 1 sierpnia. Stwierdziła w nim, że cztery grupy tematyczne drogi synodalnej „dotyczą całego Kościoła i nie mogą – z niewielkimi wyjątkami – być przedmiotem decyzji i rozstrzygnięć Kościoła lokalnego, bez lekceważenia Ojca Świętego (...). W jaki sposób Kościół lokalny może podejmować wiążące decyzje, kiedy rozpoznawane tematy odnoszą się do całego Kościoła?”.

Pytanie ma oczywiście charakter retoryczny. Papieska Rada zarzuca także DBK, że faktycznie zwołuje partykularny synod, choć nie używa tego terminu. „Tymczasowy statut »synodalnej drogi« jest nie tylko podobny do statutu synodu partykularnego, lecz w znacznej części go kopiuje”, a to nie odpowiada powszechnemu kościelnemu prawodawstwu. Rzecz w tym, że na zwołanie takiego synodu należałoby uzyskać zezwolenie Stolicy Apostolskiej, co w przyjętej formule byłoby raczej niemożliwe, a na pewno poprzedzone zostałoby wieloletnimi debatami.

Jeszcze większą „winą” DBK jest to, że ta zrównała się z ZdK przez symetryczną liczbę uczestników forów, współprowadniczenie, równo liczone głosy. „Tego rodzaju parytet biskupów i świeckich nie ma kościelno-prawnego uzasadnienia” – stwierdziła Rada. Wszak Kościół nie jest strukturą demokratyczną i większość →

REKLAMA



**Chcę dla niej
lepszego świata.
Ty też?**

Wspieraj lepszy świat dla
każdej dziewczynki i kobiety

Wejdź na **femfund.pl**

**FEM
FUND**
fundusz
feministyczny

→ wierzących nie może rozstrzygać o znaczących kwestiach. „Odpowiedzialność biskupów różni się od odpowiedzialności kapłanów i świeckich”. To biskup diecezjalny jest jedynym prawodawcą synodu w diecezji, a wyniki prac synodu muszą być przedłożone papieżowi – przypominają watykańscy urzędnicy.

Papieska Rada powołuje się na wyjaśnienia Międzynarodowej Komisji Teologicznej, która stwierdziła – chciałoby się dodać: zupełnie słusznie – że „synod, zgromadzenie, rada nie może podjąć żadnego rozstrzygnięcia bez prawowitego pasterza. (...) Wypracowanie decyzji jest zadaniem synodalnym, decyzja jest kompetencją urzędu”. Rada zarzuca synodalnej drodze, że ta nie rozróżnia pomiędzy głosami doradczymi a decydującymi, i co więcej, wszyscy uczestnicy synodalnych posiedzeń mają jednakowo rozstrzygające głosy. „Jak to możliwe, że konferencja episkopatu pozwala zdominować się przez zgromadzenie, w którym większość członków nie jest biskupami?” – pytają obrońcy Kodeksu Prawa Kanonicznego.

Ponieważ decyzje synodalnej drogi mają być opublikowane, a te, które dotyczą problemów Kościoła powszechnego, przedłożone Stolicy Apostolskiej, Papieska Rada ma wątpliwości, czy w „przedłożeniu” nie chodzi tu aby tylko o informację, a nie konieczne uzyskanie aprobaty.

Ocena Papieskiej Rady paradoksalnie potwierdza słuszność decyzji niemieckiego Kościoła o podjęciu synodalnej drogi, zwłaszcza o tym, że pierwszym forum tematycznym jest władza w Kościele. Można zapytać, czy hierarchia, która ma władzę, nie może w sposób wiążący potraktować głosu doradczego? Może najwyższy czas, by cały Kościół zrozumiał, że prawdziwa odpowiedzialność zaczyna się tam, gdzie pojawia się współ-

Może najwyższy
czas, by cały Kościół
zrozumiał, że **prawdziwa
odpowiedzialność** zaczyna
się tam, gdzie pojawia się
współdecydowanie?
Dla watykańskich
urzędników to rzecz
niewyobrażalna.

decydowanie? Dla watykańskich urzędników to dziś rzecz niewyobrażalna.

Papieska Rada nie zwróciła uwagi na zasadniczy warunek ZdK, że weźmie on udział w synodalnej drodze, jeśli „zagwarantowana będzie pełna jawność debat i obowiązywalność podjętych rozstrzygnięć”. To wyraz tego, że niemieccy katolicy mają dość niezobowiązującego doradztwa. Poza tym Kodeks Prawa Kanonicznego ma służyć życiu Ludu Bożego, a jeśli do tego życia nie przystaje, to trzeba go zmienić. Synodalna droga może w tym pomóc.

Perspektywy

W ramach przygotowań w Fuldzie w dniach 13-14 września spotkała się Wspólna Konferencja (organ złożony z dziesięciu przedstawicieli DBK i dziesięciu przedstawicieli ZdK) poszerzona o zaproszonych gości. Kard. Marx raz jeszcze przypominał fundamentalne zadanie synodalnej drogi: ma ona odpowiedzieć na pytanie, jak najlepiej świadczyć o ewangelii Jezusa Chrystusa w różnych kulturowych i socjalnych uwarunkowaniach; jak świętować Eucharystię będącą zaproszeniem do spotkania z Bogiem. „Trzeba odzyskać utracone zaufanie, by wiarygodnie mówić o naszej wierze” – dodał prof. Sternberg.

Uczestnicy Konferencji podziękowali Franciszkowi za jego List i wyrażone w nim wsparcie. Zadeklarowali także, że drogę synodalną traktują jako proces duchowy. Ostatnim etapem przygotowawczym do niej będą zebrania plenarne DBK (23-26 września 2019) i ZdK (22-23 listopada 2019). 6 września ogłoszono również, że synodalna droga rozpocznie się z początkiem adwentu 2019.

Dwa synodalne zebrania plenarne odbędą się w katedrze we Frankfurcie (która była już miejscem synodu zwołanego przez Karola Wielkiego w 794 r.): pierwsze w dniach od 30 stycznia do 1 lutego 2020, drugie w roku następnym. „Rezolucje w kwestiach powszechnych regulacji kościelnych zostaną – wraz z wynikami głosowań – przekazane Ojcu Świętemu, by dalsze kroki podjął według własnego uznania”.

Odczytując właściwie intuicje Franciszka niemieccy biskupi podejmują ryzyko, mając jednocześnie świadomość, że robią to nie tylko dla swoich wiernych, ale dla całego Kościoła powszechnego.

Ryzyko to widzi kard. Woelki, który na początku września mówił wręcz o zagrożeniu, jakie niesie synodalna droga, przede wszystkim dla jedności Kościoła w Niemczech i zachowania więzi z Kościołem powszechnym. Szkopuł w tym, że on sam na posiedzeniu plenarnym DBK w Lingen nie głosował przeciwko idei drogi synodalnej.

Pracom synodalnej drogi będzie przyglądał się cały Kościół, choć w perspektywie Synodu dla Amazonii, który obradować będzie od 6 do 27 października, jej prace zyskają nieco medialnego spokoju. Jednocześnie nie sposób nie zauważyć, że trzecia część „Instrumentum laboris” zapowiedzianego synodu porusza zagadnienia podjęte przez niemiecki Kościół, mianowicie możliwość święcenia żonatych mężczyzn i docenienie w Kościele roli kobiet. Budzenie powołań spośród ludności tubylczej jest problemem nie tylko Amazonii.

Zapewne inicjatorzy synodalnej drogi uznają, że samo jej procedowanie było dobrym przykładem innego sprawowania władzy w Kościele, która dzieli rzeczywistą odpowiedzialność pomiędzy świeckich i biskupów. Być może problem obowiązkowego celibatu duchownych obrządku rzymsko-katolickiego rozstrzygnie Synod dla Amazonii. Być może sfera etyki seksualnej zostanie w większym stopniu oddana sumieniom i wrażliwości katolickich małżonków. W końcu być może i kobiety poczną, że Kościół jest ich domem, a nie będą tylko słyszeć, że się tak powinny w nim czuć.

Może się zatem okazać, że droga synodalna będzie drogą Kościoła przyszłości i drogą człowieka, który na zawsze już zostanie *homo viator*.

© KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Sprostowanie

Autorem fotografii pamiątek po kard. Franciszku Macharskim („TP”, nr 38/2019, str. 35 i 37) jest Adam Wojnar. Natomiast autorem fotografii Metropolity (str. 38) jest Marek Lasyk z Agencji Reporter. Przepraszamy za pomyłkę.



O. Stanisław Jaromi i wolontariusze w wiosce ekologicznej podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, lipiec 2016 r.

Parafie na zielono

MARCIN CHODUŃ

Październikowy Synod poświęcony Amazonii sprawi, że o ekologii będzie coraz głośniej. A jak jest w polskim Kościele?

PIERWSZEGO WRZEŚNIA OPUBLIKOWANE zostało orędzie Franciszka na Światowy Dzień Modlitw o Ochronę Stworzenia, w którym wezwał do „przyjęcia prostszego i bardziej pełnego szacunku stylu życia”. Kilka dni później, podczas pielgrzymki do Afryki, mówił na Mauritiusie o konieczności wprowadzenia w życie „ekologii integralnej”, która umożliwi wzrost gospodarczy „bez ryzyka katastrof ekologicznych lub poważnych kryzysów społecznych”. Papież konsekwentnie rozwija swoje nauczanie z ogłoszonej w 2015 r. „zielonej” encykliki „Laudato si” – pierwszego doktrynalnego dokumentu w całości poświęconego ekologii.

Czyńcie sobie ziemię kochaną

Od 6 do 27 października obradować będzie w Watykanie synod poświęcony

Amazonii: „Amazonia – nowe drogi dla Kościoła i na rzecz ekologii integralnej”. Polscy hierarchowie na jego temat na razie się nie wypowiadają. A jakie jest ich zaangażowanie w ochronę środowiska?

Mamy własny dokument. – Polscy biskupi w ubiegłym roku ogłosili świetny list o tematyce ekologicznej w dzień Patrona Ekologów św. Franciszka z Asyżu – mówi franciszkanin o. Stanisław Jaromi, który sprawami ochrony przyrody zajmuje się już od ponad 30 lat. – Ostatnio w związku z katowickim szczytem klimatycznym szczególnie aktywne na tym polu były diecezje katowicka i sosnowiecka. Poza tym jest różnie.

Diecezja sosnowiecka wydała w minionym roku parafialny przewodnik ekologiczny „Ziemia wspólnym dobrem”, który zawiera praktyczne wskazówki wynikające z treści „zielonej encykliki” Franciszka, skierowane do duszpasterzy i liderów wspólnot parafialnych w całym kraju.

Wezwanie Franciszka do wdrażania w życie założeń ekologii integralnej stara się realizować Caritas Polska. Powstało specjalne biuro do tych spraw, które organizuje kampanie medialne, warsztaty dla wolontariuszy w diecezjach, szkołach oraz zespołach parafialnych, a także konkursy na projekty ekologiczne. Od maja tego roku jeździ po Polsce mobilna ambasada „Laudato si” – elektryczny bus, który promuje proekologiczne nauczanie Kościoła. Projekt jest sponsorowany przez... Jastrzębską Spółkę Węglową.

Z organizacji kościelnych aktywne jest Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Oprócz działań edukacyjnych – szkoleń,

seminariów oraz aplikacji na urządzenia mobilne – stowarzyszenie podejmuje praktyczne działania. Ot, choćby spływy kajakowe rzekami Podlasia i Roztocza, połączone ze sprzątaniem śmieci.

Są także franciszkanie. Historia ich zaangażowania w działania proekologiczne w Polsce sięga początku lat 80. ubiegłego wieku. W Krakowie powstał wtedy Ruch Ekologiczny św. Franciszka z Asyżu (REFA), któremu obecnie przewodzi o. Jaromi. Członkowie organizacji chcą „być głosem ekologów w strukturach Kościoła katolickiego i chrześcijańskim głosem wśród ekologów” i monitorować kościelne inicjatywy ekologiczne. REFA prowadzi portal „Święto stworzenia”.

Pośród ostatnich projektów zrealizowanych przez tę organizację warto wymienić choćby „Ogrody św. Franciszka”, czyli formę wsparcia dla prywatnych rezerwatów przyrody, Szkołę Liderów Ekologii Integralnej (w 2019 r. szkolenie ukończyło 45 osób) czy też kampanię „Czyńcie sobie ziemię kochaną!”, próbującą zmienić paradygmat mający źródło w nakazie biblijnym „Czyńcie sobie ziemię poddaną”, opacznie rozumianym jako prawo do nieograniczonej eksploatacji zasobów naszej planety.

Wezwanie Franciszka do działania na rzecz ekologii podejmuje w Polsce od 2018 r. także krajowe przedstawicielstwo Światowego Ruchu Katolików na rzecz Środowiska (Global Catholic Climate Movement) współpracującego z watykańską Dykasterią ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. – Staramy się szerzyć przesłanie encykliki „Laudato si” i zachęcać do jego wprowadzania w życie w trzech wymiarach: duchowym, stylu życia i polityki publicznej – tłumaczy prezes polskiego przedstawicielstwa tej organizacji, Piotr Abramczyk. – Naszą najbliższą inicjatywą, organizowaną wspólnie z Caritas Polska, jest „ekologiczne przebudzenie” z okazji Niedzieli św. Franciszka w dniu 6 października, czyli ogólnopolska akcja modlitwy i działania, organizowana w parafiach, szkołach i lokalnych społecznościach.

Traktor w rzece

A na poziomie parafii? Tu i ówdzie podejmuje się działania ekologiczne – choćby w parafii przy Sanktuarium Najświętszej Rodziny w Krakowie, która na początku tego roku zorganizowała akcję wiosennych porządków, polegającą głównie na →

⇒ zbiorce makulatury. Są to jednak przykłady nieliczne.

Czasami pod szyldem aktywności ekologicznych kryją się działania nieco zaskakujące – na przykład w koniecpolskiej parafii „grupa ekologiczna” skupia się głównie na... porządkowaniu kościoła. Na parafialnych portalach można znaleźć wypowiedzi proboszczów, którzy chwalą się działaniami polegającymi na wymianie dachów czy starych pieców na nowe, ale wciąż opalane węglem.

Proboszczowie różnie też reagują na inicjatywy chrześcijańskich ekologów. – Spotykamy zarówno entuzjastów chętnych do współpracy, jak i kapłanów bardzo ostrożnych – mówi Piotr Abramczyk. – W konserwatywnych środowiskach działania ekologiczne kojarzą się z – jak to bywa określane – światopoglądowym „lewactwem”. Do zmiany nastawienia wystarczy jednak zwykle dłuższa rozmowa, pokazująca, że przesłanki do ochrony przyrody są przecież w naszej wierze i że mówimy o całościowej trosce o życie, w tym życie człowieka.

– Cóż, teorię mamy świetną, natomiast praktyka bywa różna – mówi o. Jaromi. – Jednak wrażliwych, dobrych gospodarzy z pewnością nie brakuje. W wielu miejscowościach to kościół parafialny i jego najbliższe otoczenie są najładniejszymi przyrodniczo terenami.

Czy jego zdaniem z ambony nie powinno się więcej mówić o konieczności ochrony przyrody? – To się dzieje przy okazji dnia św. Franciszka, dożynek czy postnej wstrzemięźliwości – uważa duchowny. – Ale ambona nie jest wprost miejscem dla edukacji ekologicznej. Rola tę spełniają spotkania wspólnot czy katecheza, gdzie często inicjuje się działania, które powinna realizować szkoła czy urzędy gminne. Czasem duszpasterz mimo najlepszych chęci natyka się na mur. Gdy mój znajomy proboszcz zwrócił uwagę parafianom, miejscowym gospodarzom, żeby nie myli traktorów w rzece, bo do wody dostają się smary i oleje, w odpowiedzi usłyszał: „Księżu proboszczu, ty się znasz na Panu Bogu, ale jak pracować w polu i pielęgnować narzędzia rolnicze to my już lepiej wiemy”.

Z kolei Piotr Abramczyk uważa, że w kościołach powinno się częściej poruszać temat ekologii. Kapłani mogliby bardziej podkreślać moralny wymiar naszych wyborów konsumenckich

i zachęcać do umiarkowania, również w kwestii spożycia mięsa. – Chodzi nie tyle o nakłanianie do wegetarianizmu czy weganizmu, co o zachętę do dobrowolnego postu w intencji troski o nasz wspólny dom. Gdy zyskujemy świadomość i wrażliwość ekologiczną, takie wyrzeczenie staje się konkretnym gestem miłości i wyrazem naszej ludzkiej godności – mówi Abramczyk.

– Problemem jest to, że słowa wygłaszane z ambony są u nas traktowane w kategoriach politycznych – twierdzi o. Jaromi. – Jedni odmawiają księżom prawa do zabierania głosu w sprawach społecznych. Inni twierdzą, że takich wypowiedzi jest za mało. Często kazania naruszające pewien konsensus są od razu nagłaśniane i piętnowane. Kaznodzieje starają się więc nie wychodzić poza tematy ewangeliczne.

Czasem zawodzi też po prostu komunikacja. – Gdy w październiku minionego roku Episkopat Polski wystosował list pasterski w liturgiczne wspomnienie św. Franciszka z Asyżu, swoiste „Laudato si” w pigułce, pytałem znajomych, co o nim sądzą. Okazało się, że na pięć kościołów został on odczytany tylko w jednym – opowiada Piotr Abramczyk.

Duchowni boją się też kompromitacji. – Tematyka ekologiczna stała się tak skomplikowana, że łatwo narazić się na zarzut dyletanctwa – tłumaczy o. Jaromi. – Duchowni są więc bardzo ostrożni. To samo dotyczy także polskich hierarchów. Nie brak jednak dobrych kazań. Na naszym portalu znajdziemy kazania wygłoszone przez Wojciecha Polaka, Wiktora Skworca, Grzegorza Rysia czy Damiana Muskusa. A kard. Stanisław Dziwisz zawsze mówi: „Jesteście w tym temacie na pierwszej linii. Działacie w imieniu Kościoła i my się z tego cieszymy”.

Wspólny dom

O. Stanisław Jaromi: – Kościół polski próbuje odpowiedzieć na papieski projekt ekologii integralnej, ale idzie to opornie. Jakoś ogarniamy nasze własne podwórko, ale kwestie odpowiedzialności np. za Amazonię, Afrykę czy Oceanie pojawiają się niezmiernie rzadko. Cenny wkład stanowią tu głosy polskich misjonarek i misjonarzy. Powoli i my się uczymy, że jest to troska obejmująca cały świat jako nasz wspólny dom.

Święta prawda. © MARCIN CHODUŃ

Dzieci trudnych czasów

O. JÓZEF PUCIŁOWSKI OP

To postaci, bez których współczesne dzieje wiary – judaizmu i chrześcijaństwa – byłyby mniej barwne. Nie tylko na Węgrzech.

CZTEREJ WĘGIERSCY ŻYDZI: LÁSZLÓ Paskai, Endre Sík, Sándor Sík, Géza Vermes – stracili rodziców w Holokaulu. W Polsce raczej nieznani, poza Vermesem, którego kilka książek o Jezusie ukazało się także u nas. Paskai kojarzony może być w „kręgach kościelnych”. Nazwisko braci Sík pewnie nic nikomu nie mówi, poza nielicznym gronem literaturoznawców – hungarystów, politologów i historyków najnowszych dziejów Węgry.

Zamiłowany kierowca

László Paskai urodził się w Segedynie w roku 1927 z rodziców Żydów-katolików. Ojciec Adám był oficerem żandarmerii. Oboje rodzice przed wywózką do obozu zagłady zapewnili kilkunastoletniemu synowi schronienie u odważnych karmelitów w Keszthely nad Balatonem. László maturę zdał w roku 1949 w gimnazjum pijarów. Ale nie do nich wstąpił, tylko do franciszkanów, gdzie otrzymał imię Pacifik.

Na Węgrzech przed wojną działało około 20 zakonów męskich i około 30 żeńskich z ogromną liczbą klasztorów, często prowadzących szkoły. W okresie stalinowskim ostały się cztery zakony: benedyktynów, franciszkanów, pijarów i sióstr Notre Dame – każdy po dwa domy i oczywiście z ograniczoną liczbą członków. Skazało to zwłaszcza wiele sióstr dosłownie na żebractwo. Kapłanom zakonnym niekiedy udawało się przejść do którejś diecezji, ale często zmuszani byli do pracy fizycznej; wszędzie pracując pod

czujnym okiem władz pilnujących, czy aby nie katechizują.

Ojciec Paskai od święceń w 1951 r. pełnił wiele funkcji, m.in. kierował katedrą filozofii w Akademii Teologii. Karierę kościelną rozpoczął w roku 1978 od nominacji na biskupa Veszprém, potem został arcybiskupem-koadiutorem w Kalocsa, następnie arcybiskupem-koadiutorem stolicy prymasowskiej w Ostrzyhomiu, a po połączeniu diecezji z Budapesztem – arcybiskupem obu miast, kardynałem i prymasem Węgier.

Do najbardziej spektakularnych wydarzeń związanych z posługą kard. Paskaia należało sprowadzenie z Austrii do kraju prochów prześladowanego przez komunistów kard. Józsefa Mindszentyego i jego uroczysty pochówek w roku 1991 w prymasowskiej bazylice w Ostrzyhomiu oraz dwukrotne przyjęcie na Węgrzech – w latach 1991 i 1996 – papieża Jana Pawła II.

Na pewno kardynał był „kontaktem osobowym” dla węgierskiej bezpieki, ale nawet najbardziej zażarci tropiciele tych kontaktów nie mogą zarzucić mu niczego, co by szkodziło ludziom czy instytucjom Kościoła. A spotykać się musiał! Bo – i to jest bardzo istotne – warunków życia Kościoła katolickiego i innych Kościołów na Węgrzech w żadnym wypadku nie należy porównywać z sytuacją Kościoła w Polsce.

Właśnie za czasów prymasostwa Paskaia (i jego poprzednika, kardynała László Lékai) Kościół zaczął – metodą „małych kroków”, jak mawiał Lékai – wstawać z kolan, a wybór Karola Wojtyły na papieża to wstawanie ułatwił.

László Paskai był – warto to zauważyć – znakomitym, wręcz „rajdowym” kierowcą: kochał szybką jazdę. Do Rzymu wolał jechać, sam prowadząc, niż lecieć samolotem. Miał też niewyparzony język; zwłaszcza podczas kazania, gdy zanosił się od kaszlu (nałogowy palacz!), asysta pilnowała mikrofonu, by mocne słowo – Węgrzy z tego słyną – które wyrывało mu się z piersi, nie doszło do pobożnych uszu.

W grudniu 2002 r. przeszedł na emeryturę i zamieszkał w domu księży emerytów w Ostrzyhomiu, gdzie zmarł w 2015 r., przeżywszy 88 lat. Spoczął w grobowcu prymasowskiej bazyliki.

Minister negocjator

Endre Sík. Wprawdzie o nim tu będzie, ale od razu trzeba wymienić jego brata



Abp László Paskai na dziedzińcu pałacu biskupiego w Budapeszcie, lata 80. XX w.

– Sándora; obaj urodzili się w Budapeszcie: Endre w roku 1891, Sándor dwa lata wcześniej. Oboje żydowskie rodziny – Sándor i Flóra z d. Winternitz – jeszcze przed przyjściem na świat synów przyjęli chrzest w Kościele katolickim.

Obaj chłopcy wstąpili do nowicjatu pijarów, z tym że Endre szybko wystąpił, skończył prawo na stołecznym uniwersytecie i związał się z ruchem socjalistycznym, a w czasie I wojny światowej – dostawszy się do niewoli rosyjskiej – w 1920 r. wstąpił do węgierskiej sekcji Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), skończył w Rosji sowieckiej studia z etnografii Afryki, został członkiem Akademii Nauk ZSRR. W czasie wojny pracował

w redakcji radia Kossuth, nadającego z Moskwy.

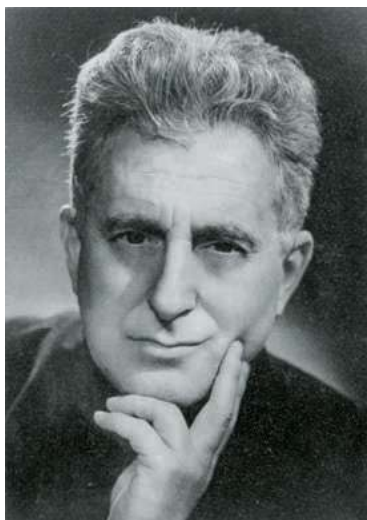
Po powrocie na Węgry w 1945 r. pełnił wysokie urzędy państwowe, m.in. był ambasadorem Węgierskiej Republiki Ludowej w Waszyngtonie; w latach 1958-61 sprawował funkcję ministra spraw zagranicznych, nie mówiąc oczywiście o członkostwie w KC Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (której – jak wiadomo – I sekretarzem był umocowany we krwi powstańców 1956 r. János Kádár).

W roku 1970 ogłosił pamiętniki, które – z racji demaskowania zbrodni stalinowskich na ludziach z komunistycznej emigracji węgierskiej w ZSRR – zostały szybko wycofane z księgarń. Powtórnie ukazały się dopiero w 1988 r.



KEYSTONE / HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

Endre Sík



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA.ORG

Sándor Sík



GERAINT LEWIS / BEW

Prof. Géza Vermes

⇒ Niewątpliwie Endre Sík nie ma prostej biografii: nowicjusz u pijarów, działacz komunistyczny, polityk, uczony, krytyk stalinizmu (a przecież wiele lat mieszkał w Rosji sowieckiej; synowi dał na imię Igor). Zmarł w Budapeszcie w roku 1978, w wieku 87 lat.

Wiele razy, mieszkając i pracując w stolicy, będąc prominentnym funkcjonariuszem partyjno-państwowym, odwiedzał brata, prowincjała pijarów – Sándora Síka. Należał do czterech najważniejszych negocjatorów rozmów węgiersko-watykańskich, które skończyły się nawiązaniem stosunków dyplomatycznych w 1963 r.

Prowincjał poeta

Starszy z braci, Sándor Sík, został kapłanem – pijarem, jednym z najbardziej do dziś cenionych poetów węgierskich XX w., profesorem uniwersyteckim, członkiem korespondentem (do czasu!) Węgierskiej Akademii Nauk, prowincjałem swego zakonu. Ale przede wszystkim – w trudnych czasach komunizmu – pozostał oddany ludziom, wrażliwy na ich potrzeby. Usunięty z WAN, nie poszedł na żadne ustępstwa wobec reżimu (w którego ramach rodzony brat odgrywał jednak wielką rolę!).

Był świadkiem uszczuplenia stanu osobowego i materialnego swego zakonu: pijarzy podzielili los innych zgromadzeń. Sándor Sík nigdy nie związał się, mimo nacisków, z organizacją Opus Pacis (węgierskich „księży patriotów”). Nie był naiwny; w utworze „Cicha msza” (1947) pisał: „Jak wyspa na oceanie / samotny w bezlitosnych czasach / stoi kielich na ołtarzu / Jestem samotny. Ale niczym pochodnia / rozpala się we mnie płomień słowa”. To poezja. A prozą – w roku 1949 – pisał do ministra oświaty: „Nie mogę utożsamiać się jako człowiek wierzący i kapłan katolicki z programem (...), gdy szerokie warstwy społeczne wydane są na takie wpływy polityczne, by rosły bez znajomości Boga”.

Napisał wiele i o nim wiele napisano – ponad dziesięć sążnistych pozycji naukowych. On sam, nie licząc dzieł z dziedziny krytyki literackiej, pozostawił po sobie piętnaście tomów poezji.

Tropiciel Jezusa

Géza Vermes jest postacią niezwykle złożoną. Urodził się w roku 1924 w Makó na południu Węgier w rodzinie żydow-

skiej. Oboje rodzice byli dziennikarzami. Na początku lat 30. Vermesowie – a więc i młody Géza – przyjęli chrzest w Kościele katolickim. Rodzice zostali w czasie wojny wywiezieni do obozu zagłady; zginęli w komorze gazowej. Kilkunastoletniego chłopca uratował proboszcz ks. Vilmos Apor (arystokrata – nosił tytuł barona; od roku 1941 biskup ordynariusz Győr, zmarł w 1945 r. postrzelony przez sowieckiego żołnierza, beatyfikowany w 1997 r.).

Géza Vermes po wojnie przyjął święcenia kapłańskie na Węgrzech, po których wyjechał na studia do Belgii i Anglii. Niedługo po obronie doktoratu (1953 r.) w Leuven – praca dotyczyła zwojów znad Morza Martwego (których stał się wnet najlepszym znawcą) – odszedł od Kościoła, ożenił się. I – co istotne – zadeklarował się jako ortodoksyjny żyd.

Vermes jest autorem wielu wybitnych prac naukowych, które ukazały się głównie w Wielkiej Brytanii i USA, a potem – niektóre – także na Węgrzech. Odkrył m.in. „Jezusa historycznego”, czyli zapoczątkował badania nad żydowskim kontekstem życia Rabina z Nazaretu. Zmarł w 2013 r. w Oksfordzie (gdzie był profesorem od 1965 r.) w wieku 88 lat. Wiele uczelni na świecie przyznało mu doktorat *honoris causa*, posiadał też liczne odznaczenia za zasługi dla nauki.

Czterech węgierskich Żydów, którzy wzbogacili świat wiary, nauki i kultury, a przede wszystkim dowiedli, że nawet w najtrudniejszych czasach można być przyzwoitym człowiekiem, bo się spotkało przyzwoitych ludzi.

© O. JÓZEF PUCIŁOWSKI OP

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 95/19 postępowanie z wniosku Katarzyny Kobylskiej, o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Ludwiczak, zm. 19 lutego 2019 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo do lokalu mieszkalnego położonego w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

SZYMON

Hołownia: *To już walka o życie*



W MINIONY PIĄTEK, W RAMACH MŁODZIEŻOWEGO STRAJKU KLIMATYCZNEGO, UCZNIOWIE próbowali zmusić nas – czyli tych, którzy dziś okradają ich z ich wody, powietrza i ziemi – do rachunku sumienia i natychmiastowego działania. Demon-

strowali na ulicach kilkudziesięciu polskich miast. Na całym świecie miejsc, w których młodzież upomniała się o swoje, były tysiące. Tego ruchu nie da się już zatrzymać. Jest w nim świeżość, siła, czysta społeczna energia, której nie wygeneruje dziś z siebie żadna partia czy ideologiczna frakcja. Tu naprawdę nie ma znaczenia, jakie kto ma poglądy w sprawie żołnierzy wyklętych, luki VAT-owskiej, kto jest lesbijką, heterozykiem, wyborcą KO czy Konfederacji – to walka o życie dla następnego pokolenia ludzkości.

Czy nie jest przerażające, że doprowadziliśmy do sytuacji, w której o to w ogóle trzeba walczyć? Albo że o prawo do oddychania, picia, jedzenia – słowem: do rzeczy absolutnie podstawowych – muszą, wraz z rodzicami, walczyć ich dzieci. Najgorsze byłoby jednak dziś pograć się w kolejnych rozliczeniowych debatach. Organizatorzy Młodzieżowego Strajku Klimatycznego są, właśnie z powodów metrykalnych, organicznie niezdolni do snucia historycznych rewindykacji. Szesnastolatki mają tylko przyszłość. Wzywają więc do działania, prezentują konkretne postulaty (wśród nich m.in. ogłoszenie przez rząd stanu kryzysu klimatycznego, powołanie przez Sejm sprawczej, a nie tylko doradczej Rady Klimatycznej, wprowadzenie tzw. priorytetu środowiskowego do mediów i edukacji). A ja zgadzam się z nimi w stu procentach: czas na jałowe pitolenie i hamletyzowanie nad tym, skąd wzięła się klimatyczna katastrofa (bo na paru prawicowych forach ktoś miał w tej sprawie wątpliwości), był dwie czy trzy dekady temu. Dziś, gdy dzień długu ekologicznego (umowna data, do której ludzkość zużywa zasoby Ziemi tak, że mogą się odnowić, a od którego po prostu kradnie je następne pokolenie) wypada dla Polski już 15 maja (dla całego świata – na początek sierpnia), trzeba powiedzieć jasno: nieuczynienie z naprawy relacji człowieka z jego środowiskiem „numeru jeden” wszelkich debat i programów oznacza zgodę na ludobójstwo.

Cieszę się z tego, że na młodzieżowym strajku w Warszawie obok haseł pokazujących, jak robić rewolucję nie rezygnując z luzu („Ziemia jest bardziej gorąca niż młody Leonardo Di Caprio”, „Ratujmy Ziemię – to jedyna planeta, na której jest piwo”), są i takie, które dowodzą, że MSK to nie grupa nakręconych przez Sorosa i inne lewactwo radykalnych oszołomów (jak próbują odmalować ich niektóre prorządowe media), lecz ludzie świadomi tego, z jakimi kosztami wiązać się będzie musiela postulowana przez nich zmiana. „Solidarni z górnikami, ale nigdy z kopalniami” – to hasło mogą wnieść tylko ludzie zdający sobie sprawę, że za odejście od węgla trzeba będzie

zapłacić solidarną zrzutką na pomoc dla tych, którzy z węgla utrzymują dziś swoje rodziny. To oczywiste, że od węgla trzeba odejść. Równie oczywiste jest, że uratowanie w ten sposób moich dzieci nie może oznaczać wpędzenia w biedę dzieci górników. Analogiczną sytuację mamy z rolnictwem przemysłowym, a zwłaszcza z – coraz powszechniejszym w Polsce i mocno wspieranym przez rząd – przemysłowym chowem zwierząt rzeźnych, generującym olbrzymie straty dla środowiska (zużycie wody, koncentracja odpadów-odchodów, zepsucie jakości powietrza, emisja gazów cieplarnianych). Nie chodzi o to, by puścić wszystkich rzeźników i hodowców z torbami, lecz – znów solidarnie się na to zrzucając i ponosząc koszty związane ze zmianą naszych postaw (choćby tych przy sklepowej półce) – pokazać im, że potrzebujemy czegoś innego; że chętnie damy im pracę, kupując od nich inne produkty, inaczej organizując system produkcji żywności, który dziś zamiast żywić planetę, zabija ją.

Nie da się wprowadzić ustawy, która sprawi, że od jutra wszystko będzie lepiej. Już dziś trzeba jednak zacząć przestawiać koło sterowe państwowej maszyny, by za dziesięć lat zaczęła rzeczywiście płynąć w inną stronę. Żadna z polskich partii nie jest na to gotowa. PiS ma w swoim portfolio parę naprawdę niezłych proekologicznych pomysłów, ale nie wdroy ich przecież w życie, mając taką dogmatykę energetyczną czy rolniczą, jaką ma. Opozycja zna zaś tylko jedno zagrożenie dla ludzkości – rządy PiS – i konia z rzędem temu, kto z odpustowego koncertu życzeń, w jaki zamieniono program wyborczy KO, wyłapie spójną i konsekwentną odpowiedź na pytanie: co i jak zrobić, żeby rozdawane dziś 500 plus za 10-15 lat nie musiało być wydawane na powietrze i wodę.

W siedzibie ONZ w Nowym Jorku trwają w tych dniach rozmowy klimatyczne. Ciekaw jestem, czy prezydent Andrzej Duda, który będzie wtedy w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, zawita na którekolwiek z klimatycznych wydarzeń? Czy pokaże, że rozumie to, co rozumie już, jak pokazują badania, zdecydowana większość Polaków? To nie jest XVIII wiek, w którym powstawały ekscytujące nas dziś pojęcia lewicy i prawicy. To nie jest wiek XX, gdy walczyło się z systemem. Mamy wiek XXI, który jak na tacy podaje nam tematy w nowej rzeczywistości najważniejsze. Ktoś, kto wyśmiewa dziś Młodzieżowy Strajk Klimatyczny albo go nie docenia, mocno zdziwi się za parę lat, gdy w powybiorczy poranek ze zdumieniem odkryje, że świat mu odjechał i że jego miejsce będzie od tej pory w muzeum. W szufladzie z napisem: „Nie zapobiegli nieszczęściu. Choć mogli”. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 54/19 postępowanie z wniosku Gminy Jarocin, o stwierdzenie nabycia przez Skarb Państwa własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Siedleminie, o powierzchni 1,51,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 59, arkusz mapy 3, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

PRACA JAK KAŻDA INNA

PAWEŁ GRABOWSKI,

CHIRURG, SZEF HOSPICJUM NA PODLASIU:

Konstytucja daje wszystkim równe
prawo do służby zdrowia.

Ale na wsiach jest łamana:

dostęp jest 2,5 raza mniejszy niż w mieście.

W przypadku opieki paliatywnej jest jeszcze gorzej.

ZDJĘCIA **PIOTR MOJSAK**



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Gratulacje!

DR PAWEŁ GRABOWSKI: Dziękuję, choć trochę się buntuję.

Przeciw nagrodom?

Tak, bo te laury – przyznane mi kilka dni temu „Okulary księdza Kaczkowskiego” i inne – to nagrody za normalność.

W jednym z wykładów mówił Pan:

„Jestem po dwóch fakultetach, dwóch specjalizacjach, doktoracie, studiach podyplomowych, a jak trzeba komuś umyć tyłek, to po prostu to robię”.

I to właśnie ta normalność, o której zapomnieliśmy, że jest normalnością. Gdy

jeden z naszych pacjentów – człowiek ubogi – poszedł do hospicjum stacjonarnego kilkadziesiąt kilometrów stąd, pracująca u mnie pani doktor pojechała do niego ze szlafrokiem.

Innym razem zatrudniona u nas pielęgniarka zawiozła do domu dwójki starszków własny rosół. Za to NFZ nie zapłaci, bo szlafroka i rosołu nie ma w żadnej procedurze.

Tylko że ja składałem przysięgę Hipokratesa, a nie NFZ-tosa. Jestem lekarzem, to lecę. Zdecydowałem się przyjechać na wieś, to lecę na wsi.

Zanim Pan przyjechał, to podobno Pan umarł. Na 45 sekund.

Opowiem tę historię, tylko ostrzegam: to nie jest łzawa opowieść o tym, że pan

doktor z Warszawy otarł się o śmierć, w efekcie czego „rzucił to wszystko” i pojechał na podlaską wieś, by leczyć umierających ubogich.

Nic nie szkodzi.

Byłem w okolicach czterdziestki, już wcześniej zdarzały mi się utraty przytomności. No i gdy te epizody stały się dokuczliwe, koledzy postanowili zrobić mi tzw. test omdleniowy. Chcieli sprawdzić, co się takiego ze mną dzieje, gdy „odjeżdżam”. Test przeprowadzono w warszawskim szpitalu na Banacha. Zna pan dowcip o tej placówce?

Proszę opowiedzieć.

Siedzą trzy dusze w raju, i każda mówi, na co umarła. „Ja na serce” – powiada



Z wizytą u pacjentów, styczeń 2016 r.

pierwsza. „Ja na raka” – mówi druga. „A ja na Banacha” – odpowiada trzecia.

Z Panem na Banacha było przeciw- nie.

Tak, choć nie mogli do końca przewidzieć reakcji mojego organizmu. Gdy się ocknąłem, powiedzieli: „Stary, musieliśmy zacząć akcję reanimacyjną, bo nie tylko zemdlełeś, ale zatrzymało ci się serce”.

Co to z Panem zrobiło?

Jako człowiek, chrześcijanin zdawałem sobie sprawę, że „jesteśmy tylko przechodniami”. A tu nagle się okazuje, że to mnie dotyka osobiście, i że naprawdę może się zdarzyć w każdej chwili. Z początku, gdy się wybudziłem,

pomyślałem: „Znowu to samo”. Ale to nie było to samo.

Wtedy był Pan już lekarzem, chirurgiem.

Studia skończyłem i zacząłem pracę w Krakowie, później przenieśliem się do Warszawy. Byłem akurat w trakcie specjalizacji z medycyny paliatywnej, pracowałem w Centrum Onkologii w Klinice Nowotworów Głowy i Szyi na Ursynowie.

Co Pan operował?

Niech pan tak nie mówi, na litość boską! Nie leczy się czegoś, tylko kogoś. Operowałem ludzi z rakiem języka, dziąsła, podniebienia, na skórze twarzy, w jamie nosowej. Czasami trzeba było odjąć część gardła, ucha, oko.

Co Pan uważał za sukces?

Definiowałem go nieco szerzej, niż się to zwykle czyni: sukces to zdrowy, uwolniony od nowotworu pacjent, ale równocześnie ktoś, kto nie został zmiażdżony psychicznie. Np. tekstami, jak ten znany z filmu „Pora umierać”, w którym odgrywana przez Danutę Szaflarską staruszka na uwagę lekarki: „Niech się rozbierze i położy”, odpowiada: „Niech się pocałuje w dupę!”.

Ks. Kaczkowski na słowa lekarki: „Rozbieramy się” odpowiedział: „Pani pierwsza”.

Bardzo ładnie odpowiedział (śmiejch). No więc sukces to był też dla mnie pacjent nieponiżony. Musiało być tych sukcesów trochę, skoro bywali pacjenci, ⇨

→ którzy po latach przyjeżdżali do mnie ze stolicy tu, na Podlasie, by skonsultować jakiś swój problem.

Co Pana skusiło, by z dyscypliny, która gwarantuje co drugiemu pacjentowi trwałe wyleczenie, przejść do dziedziny, w której trwałych wyleczeń nie ma?

Albo mnie pan prowokuje, albo jest pan człowiekiem niemądrym.

Chcę rozmawiać o różnym rozumieniu słowa „sukces” w medycynie.

Pan doskonale wie, że wszyscy umrzemy, także ci „trwale wyleczeni”. A czy perspektywa wynosi pięć dni, pięć miesięcy czy pięć lat – jakie to ma w danej chwili znaczenie?

Ale niech panu będzie: istnieją różnice. Odpowiem więc tak: jako humanistę pociągało mnie to, że medycyna paliatywna to jedyna dziedzina, która tak szeroko traktuje człowieka: w kontekście rodziny, przyjaciół, sfery duchowej, emocjonalnej, fizycznej. Tak – pomyślałem – taką medycynę chcę uprawiać!

Równocześnie wiedziałem, że nowotwory głowy i szyi to są choroby o tzw. średnim stopniu wyleczalności. Czyli takie, w których – statystycznie – tylko połowa chorujących przeżywa pięć lat. Reszta w tym okresie umiera.

Coraz bardziej interesowali mnie ci drudzy. Co się z nimi dzieje? Co przeżywają? Na to nałożył się ów test omdleńowy, który pomógł mi podjąć decyzję.

W 2011 r. ruszył Pan z domowym Hospicjum Proroka Eliasza. Tu, czyli w Michałowie, ponad 30 kilometrów na wschód od Białegostoku, blisko białoruskiej granicy.

Gdy wiedziałem już, że założę fundację i hospicjum, podjąłem na SGH studia z zarządzania opieką zdrowotną. Równocześnie jako nauczyciel akademicki w stolicy spotykałem wiele osób z Podlasia, m.in. studentów. Rozmawiałem z nimi, poznałem też ks. Józefa Paprockiego, prawosławnego duchownego. Coraz bardziej interesowałem się prawosławiem, którego wyznawcy stanowią w Michałowie około połowę populacji.

No i najważniejsze: wiedziałem, że właśnie tu istnieje realna potrzeba pomocy.

Bo to jedna z „białych plam” polskiej opieki hospicyjnej.



Dr Paweł Grabowski przy łóżku chorego, listopad 2018 r.

Sporo ich nadal jest. Koleżanka, która jeździ do pacjentów na Mazowszu, powiedziała mi niedawno, że przez jeden rok 190 osób nie doczekało się na ich terenie pomocy...

Gdyby w mediach poszła informacja – mówiła – że 190 kobiet urodziło na ulicy, nie doczekawszy przyjęcia na oddział, mielibyśmy aferę.

Podobne potrzeby są na Podlasiu. Ktoś może powiedzieć, że zanim się tu pojawiliśmy, byli lekarze rodzinni, którzy opiekowali się ludźmi najlepiej, jak potrafili. I kierowali do hospicjów stacjonarnych w miastach, czyli w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

Dla kogoś, kto spędził życie na podlaskiej wsi, taki wyjazd może być nie do pomyślenia.

To raz, a dwa, że ci ludzie czekali na miejsce w hospicjum po kilka, kilkanaście tygodni. Dla niektórych to było całe życie. A ja wiedziałem, że otwierając tu hospicjum domowe, pomogę im szybciej i ekonomiczniej.

A wracając do „białych plam”: konstytucja daje wszystkim równe prawo do służby zdrowia. Ale na wsiach jest łamana. Dostęp jest 2,5 raza mniejszy niż w mieście. W przypadku opieki paliatywnej jest pewnie jeszcze gorzej. Zanim się tu pojawiliśmy, rzadko ktokolwiek do tych domów zajeżdżał. Zapewne niektórzy umierali w cierpieniu.

Ks. Jan Kaczkowski, założyciel hospicjum w Pucku, wiele lat temu też będącego „białą plamą”, wspominał, że Kaszubi prosili go na początku: „Niech ksiądz nie podjeżdża hospicyjnym samochodem pod dom”.

Tu też ludzie nas się z początku bali, ale chyba nie z powodu stygmatu związanego ze słowem „hospicjum”. Powodował nimi lęk: „Ludzie powiedzą, że nie dają rady”. Pewna pani, która sama była już w zaawansowanym wieku, ale musiała się opiekować chorą mamą, powiedziała mi: „Jak byłem malutka, to mamusia mnie karmiła i myła mi dupkę. Ja teraz robię to samo”. Tyle że ta mamusia miała wtedy 25 lat i myła 3-kilowego niemowlaka. A tu 70-letnia kobieta musiała dźwigać ciężką mamę, i nawet nie przyszło jej do głowy, że ma prawo do bezsilności.

To częsty polski obrazek: tysiące chorych, niepełnosprawnych zdanych na rodziny. Alibi dla państwa, by niewiele robić.

Pokażę panu zdjęcie: ta pani, z podkrążonymi oczami, smutna, patrząca w podłogę, to opiekunka umierającego męża. Jest na granicy wytrzymałości. A tutaj drugie zdjęcie.

Zadbanej, uśmiechniętej kobiety.

To jest ta sama osoba! Odżyła, gdy otrzymała wsparcie. Tłumaczenie, że to

żaden wstyd skorzystać z pomocy, zajęło nam trochę czasu.

W hospicjum domowym pomogliście już setkom osób. Teraz budujecie placówkę stacjonarną.

Ośrodek hospicyjno-opiekuńczo-edukacyjny. W Polsce w zależności od choroby i stanu można leżeć w różnych instytucjach: DPS-ach, Zakładach Opiekuńczo-Lecznicznych, hospicjach. Są różne rodzaje „leżenia” – za każde kto inny płaci. My chcemy, by w naszym ośrodku było miejsce dla wszystkich, którzy chorują, są zależni i potrzebują pomocy.

Na jakim etapie jest budowa?

Jeśli do wiosny zbierzemy półtora miliona, to będziemy mieli stan surowy. Później będziemy potrzebowali już tylko kolejnych 10 milionów (śmiech).

Jak by Pan zachęcił do wpłacania datków?

Tu mam dylemat, bo najbardziej znane techniki fundraisingowe mają pewien schemat, o którym mówił często żartobliwie Jaś Kaczkowski. Najpierw odwołać się do emocji, najlepiej nimi manipulując i epatując ludzkim dramatem, potem odwołać się do sumienia. Generalnie rozpacz. Ja nie potrafię się na to zdobyć.

Powiem tak: żyjemy w świecie, w którym leczenie traktuje się jak biznes, gdzie medycyna i lekarze zostali przez system zgwałceni papierologią, procedurami, przelicznikami. No więc jeśli chcecie, by rozwijało się przy białoruskiej granicy miejsce, gdzie lekarz leczy, a pielęgniarka pielęgnuje bez względu na to, co sądzi na ten temat NFZ, to pomóżcie. Zrzućcie się na pomnik dla normalności.

Finansowanie nie jest łatwe: za niektórych pacjentów nie dostajecie refundacji.

Widzi pan tę tablicę korkową? To nasi podopieczni. Na czerwono są ci, za których płaci NFZ. Za „białych” już nie. Ci drudzy stanowią zdecydowaną większość. Wszystko dlatego, że zgodnie z polskimi przepisami w hospicjum wolno umrzeć tylko wtedy, gdy ma się nowotwór, odleżyny lub kilka innych schorzeń, które są bardzo rzadko spotykane w hospicjum. Na Białorusi w hospicjum można umrzeć na każdą chorobę, podobnie jak w USA, Niemczech czy Rumunii. Owszem, u nas dla tych „innych” jest

Miałem taką wolontariuszkę:

siała tę miłość niezależnie od tego, czy ktoś miał z nią ochotę rozmawiać, czy nie. W efekcie jak przychodziła na oddział, to jedna część chorych udawała, że śpi, a druga – że nie żyje.

zorganizowana np. pielęgniarska opieka długoterminowa i jeszcze kilka „furtok”, które jednak na wsiach nie działają.

Pamiętam naszą pacjentkę, do której pojechałem na odległą wieś. Miała tylko opiekę lekarza rodzinnego. Po ciężkim udarze, przykuta do łóżka, z pijącym mężem i synem w szpitalu psychiatrycznym. Mam cały zespół profesjonalistów, którzy mogli tej pani pomóc, ale zgodnie z przepisami powinienem był czekać, aż tej pani zrobi się odleżyna... Oczywiście pomogliśmy – bez nas mogła umrzeć.

„Wszyscy nas podziwiają, że tyle dajemy pacjentom. A zobaczcie, kto tu kogo trzyma za rękę” – powiedział Pan na wykładzie, pokazując zdjęcie, na którym pacjentka ściska wolontariuszkę. Co ci ludzie Wam dają?

Czasem 10 jajek, choć mówimy im, że nam nie wolno od nich czegokolwiek brać. A na serio: mamy możliwość towarzyszenia człowiekowi, który dożywa swoje życie. Robi to bardzo często świadomie. Mądrze.

Mawia Pan, że spotkał tu kilkudziesięciu świętych.

Np. Aniela i Antoni, święty Antoni. Byli ze sobą 73 lata. Jak do nich zajeżdżałem, ona była bez kontaktu. A on stał nad tym łóżkiem, gładził ją po buzi i mówił: „Moja śliczna, moja szczupłutka, kiedy to wszystko minęło, kochana”. Tak mówił do kobiety, z którą spędził prawie wiek, i która teraz nie była w stanie mu odpowiedzieć.

Inna historia. On pracował intelektualnie, dużo pisał. Zachorował na nowotwór, który „zjadał” mu głowę. Zobaczyłem świętość żony, patrzącej na męża, który żył z pracy intelektu, a teraz był zmieniony nie do poznania.

Albo Zdzisław. Żoną zajmuje się od kilkunastu lat, z przerwą na własny zawał. Ona jest w pogłębiającej się demencji. →

Systemowa zapaść

DZIESIĄTKI TYSIĘCY PACJENTÓW

TERMINALNYCH nie ma dostępu do finansowanej przez państwo opieki hospicyjnej i paliatywnej – wynika z opublikowanego w zeszłym tygodniu raportu Najwyższej Izby Kontroli. Problem ma kilka przyczyn. Najistotniejszą jest ograniczenie przez ministerialne rozporządzenia zakresu chorób umożliwiających staranie się o tę opiekę. Należy się ona właściwie tylko chorym na raka; pacjent z chorobą nerek czy serca ma na nią w ostatnim okresie życia zniko-

me szanse. W rezultacie – jak czytamy w raporcie – corocznie umiera 45 tys. pacjentów z chorobami terminalnymi, które nie kwalifikują do opieki hospicyjnej. NIK wskazuje też na trudności w dostępie do opieki – w większości województw nie zapewniono nawet minimalnej liczby łóżek zalecanej przez Europejskie Towarzystwo Opieki Paliatywnej (80-100 łóżek na 1 mln mieszkańców). To wyjątkowo nisko finansowana dziedzina opieki zdrowotnej. W dodatku ośrodki nie mogą starać się o wy-

równanie przez NFZ tzw. nadwykonań, czyli świadczeń wykonanych ponad limit wyznaczony w kontrakcie (dopuszczalne jest to jedynie dla świadczeń ratujących życie – co zakrawa na ponury paradoks). Ministerstwo Zdrowia – punktuje Izba – w ostatnich latach zaniedbało opracowanie standardów oraz strategii rozwoju opieki hospicyjnej i paliatywnej. Powoduje to nierównomierny jej rozwój, chaos organizacyjny, a także niepewność hospicjów co do zasad ich działania w przyszłości.

© MACIEJ MÜLLER

→ Najpierw stracił z nią kontakt, potem „zapomniała”, jak się połyka, więc zaczął ją karmić. Nie chciał pomocy, jak wiele osób tutaj. „Bo sobie radzę”. A nagle się okazało, że hospicyjna opiekunka mu pomaga, że ma z kim pogadać.

Świętość w relacjach.

Często trudnych. Spotkaliśmy wiele dzieci w domach, gdzie umierali dorośli.

Napisał Pan dla takich dzieci bajkę „Dziadek Franek”.

Historia o chłopczyku, który opowiada, jak umiera mu dziadek. Ten chłopiec uczy się, że człowiek jest do końca. I że prawda jest najważniejsza.

Ale dzieciom trzeba ją podać inaczej.

Mądrze powiedziała kiedyś prof. Krystyna de Walden-Gałuszko, psychoonkolog i psychiatra, że prawda jest jak lekarstwo. Trzeba ją podać w odpowiedni sposób, w odpowiednim czasie i w odpowiedniej dawce.

Widzimy, jak rodzice mądrze towarzyszą dzieciom przy umieraniu ich dziadków. Ale bywa też inaczej: w dużych miastach dziadek często po prostu znika.

Mieliśmy taką historię. Umierała młoda kobieta, mająca 3-letnią córeczkę. Babcia uznała, że ta sytuacja jest dla dziecka za trudna. Na piąterku, na którym leżała kobieta, ustawili specjalną barierkę, której dziecko miało nie przekraczać... Tata chodził do góry, przynosił jedzenie, prowadził żonę do łazienki. Dziewczynka słyszała kroki, być może nawet rozmowy, ale oficjalny komunikat brzmiał: mamy nie ma.

I ta dziewczynka powiedziała tacie: „Mamusia mnie nie kocha, ma inną Zosię”. Bardzo mocno ich namawialiśmy, by dziecko mogło się z tą mamą spotykać. Któregoś dnia ten pan, mąż chorej, zadzwonił do mnie z płaczem. Córka mu powiedziała, że wie, dlaczego mama ją opuściła: gdy była mniejsza, wyrzuciła okulary z wózka...

Udało się wreszcie odstawić teściową na bok, dopuścić dziecko do mamy. Pan przysłał potem zdjęcia, przy których ryćzeliśmy. Mama, wyniszczona, chudziutka, dziecko wpatrzona w nią jak w obraz, pokazujące coś na tablecie. Weszły we wspólną relację.

Jak się żyje z cudzym cierpieniem na co dzień? Gdy się umawialiśmy



Z wizytą u pacjentów, styczeń 2016 r.

DR PAWEŁ GRABOWSKI jest chirurgiem szczękowo-twarzowym, specjalistą medycyny paliatywnej. Założyciel Hospicjum Proroka Eliasza w Michałowie. Został pierwszym laureatem nagrody „Okulary księdza Kaczkowskiego. Nie widzę przeszkód”, lauru przyznawanego przez działającą w Sopocie fundację imienia zmarłego ponad trzy lata temu duchownego.

na spotkanie, powiedział Pan, że na tydzień wyjeżdża, bo jak nie, to pozabija współpracownicy.

Ale ja nie miałem na myśli tego, co pan. Oddech jest potrzebny od każdej pracy.

Niektórzy mówią: na wsi żyjesz, masz pewnie spokój.

A Pan żyje w sprincie. Nawet mówi Pan tak szybko, jakby Pan bił jakiś rekord.

Jaś Kaczkowski powiedział kiedyś, że złożył sobie trzeci czy któryś tam z kolei ślub: nie będzie miał jako kapłan czasu dla siebie, tylko dla innych. Ja złożyłem sobie dokładnie odwrotny: że wywalczę trochę czasu dla siebie.

Znowu się Pan obruszy, ale to powiem: to nie jest praca jak każda inna.

Jest. Jakbym ileś metrów pod ziemią rąbał węgiel albo prowadził tramwaj w Krakowie, nie odpoczywając, to umarłbym tak samo, jak pracując z chorymi i nie robiąc sobie przerw.

Tramwajarz nie obcuje z cierpieniem.

Każdy ma predyspozycję do czegoś innego.

Często mówię paniom z mojego biura, że gdybym musiał pracować tak jak one, to popęłiłbym samobójstwo przy pomocy segregatora. Bo się do tego nie nadaję. Za to nadaję się do tego, by leczyć ludzi, by z nimi rozmawiać, by bez obrzydzenia zająć się ich wydzielinami, by towarzyszyć przy ich cierpieniu. Tak, to jest praca jak każda inna.

Praca czy wolontariat w hospicjum tak są często postrzegane. Jako heroizm.

Niesłusznie. Miałem kiedyś wykład, podczas którego oburzyło się chyba wielu księży i innych uduchowionych osób. Powiedziałem, że wolontariat w hospicjum może być grzechem.

Grzechem?

Tak, jeśli służy do ucieczki. Dzieje się tak zwykle, gdy ta działalność jest zamiast czegoś, a nie obok czegoś. Jeśli rzucam się w wolontariat, nie potrafiąc sobie poradzić ze sobą, z dziećmi, z mężem, to nie jest to najlepsza motywacja.

Mówi Pan też często o „zepsutym wolontariacie”.

Np. dzieci zbierają punkty w szkole do oceny z zachowania, panie nauczycielki zbiorowo się podpisują, bo to daje punkty do awansu. Trochę jak czyn społeczny w PRL-u.

Co nie znaczy, że ludzie przychodzą tylko interesowanie. Powoli dorabiamy się młodej kadry dobrych wolontariuszy. Jestem np. po rozmowie z prezesem Bractwa Młodzieży Prawosławnej. Fajni ludzie, z których wyrzeźbimy chyba oddanych wolontariuszy. Muszą mieć ukończone 18 lat i wiedzieć, że tak jak nie wyrzuca się po tygodniu pieska, tak nie można rozstać się nagle z byle powodu z kimś, do kogo zaczęło się przychodzić i z nim rozmawiać. I że nie wolno nikogo zbawiać na siłę: nawracać na swoją wiarę albo – jak ja to mówię – rozsiewać miłość, nie bacząc na konsekwencje.

Miałem taką wolontariuszkę: siała tę miłość niezależnie od tego, czy ktoś miał z nią ochotę rozmawiać, czy nie. W efekcie jak przychodziła na oddział, to jedna część chorych udawała, że śpi, a druga – że nie żyje.

Ten Pana wisielczy humor – jakbym słuchał ks. Kaczkowskiego.

Poznaliśmy się, gdy myślałem o zakładaniu hospicjum. Kilka razy byłem w Pucku, „wisieliśmy” też często na telefonie. Rozmawialiśmy na tematy ważne, duchowe, ale najczęściej te do bólu praktyczne: budowlane, organizacyjne. Numer do Jasia wyrzuciłem ze swojej skrzynki dopiero niedawno.

Jak go Pan zapamiętał?

Muszę wrócić do początku rozmowy. Do tej normalności.

Czułość, opieka, leczenie bez względu na procedury ludziom się należą, a my im to mamy dać. Jan podkreślał zyczajność działań, którym wszyscy przypisują jakieś metafizyczne znaczenie. Trochę się śmiał ze zdań typu: „To taka święta praca, że grzech wykonywać ją za pieniądze”.

Pokazał się też z ciężką chorobą.

I znowu: zaakcentował normalność choroby. Tłumaczył: taki człowiek potrzebuje tego samego, co ktoś, kto umrze dopiero za 50 lat. Pogadać, napić się her-

batki, przytulić. Pokazywał, że hospicjum to część ludzkiego życia, jak każda inna.

Pan się boi swojego odchodzenia?

Śmierci nie – umierania tak. Tego, na jaką pomoc będę zdany. Mam nadzieję, że nie na panią pielęgniarkę, o której kiedyś usłyszałem, że powiedziała do pacjenta: „Nie po to się tyle lat uczyłam, by teraz myć pana brudną dupę”. Boję się, że nie sprostam sytuacji, w której będę pozbawiony godności.

A reszta? Tak jak mówił Jasio: nie mogę się doczekać, aż zobaczę, co jest po drugiej stronie. © P

Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Imiona pacjentów zostały zmienione.

■ Datki na budowę stacjonarnego ośrodka hospicyjno-opiekuńczo-edukacyjnego w Makówce koło Michałowa można wpłacać na konto:

81 1050 1953 1000 0090 3150 6141,
ING Bank Śląski, oddział w Białymstoku.

REKLAMA

JEZIORO ŁABĘDZIE

THE ROYAL MOSCOW BALLET

JEDEN Z NAJLEPSZYCH ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE

4 listopada - ICE Kraków
5 listopada - DMIT Zabrze
6 listopada - Hala Stulecia Wrocław
7 listopada - COS Torwar Warszawa

8 listopada - EXPO Mazury Ostróda
9 listopada - Gdynia Arena
10 listopada - Klub Wytwórnia Łódź
11 listopada - Sala Ziemi Poznań Congress Center

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MIM

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost
cgm.pl

RZECZY
Multikino

GAZETA BANKOWA
STRÓER

WP
VIXION

trojmiasto.pl
PRESS SERVICE

pap

KRAJ MARZEŃ WUJKA XI

Siedemdziesięciolecie Chińskiej Republiki Ludowej to dla rządzących rocznica prestiżowa. Przygotowania do celebry trwają od miesięcy. Jednak „chiński model” natrafia na coraz to nowe trudności.

PIOTR BERNARDYN Z PEKINU



MIASTO SHENZHEN ZAJMUJE SYMBO-
liczne miejsce w najnowszej hi-
storii Chin. W 1992 r. wybrał się tam ów-
czesny przywódca kraju Deng Xiaoping
i przesądził o rynkowym kursie reform.
„Socjalizm nie oznacza biedy” – mówił.
Dalsza historia jest znana: po kilku de-
kadach spektakularnego wzrostu Chin
stały się obok USA jednym z dwóch mo-
carstw światowych.

Pozycja Denga jako „ojca reform” wy-
dawała się dotąd niepodważalna. Jednak
nowa narracja historyczna wydaje się to
kwestionować. Muzeum Historii i Kul-
tury Ludowej w Shenzhen kilka razy mo-
dyfikowało ostatnio swoją główną wy-
stawę, poświęconą reformom. Najpierw
zwiedzających witała wielka rzeźba
Denga. Potem ją usunięto i na ścianach
pojawily się cytaty z obecnego przywódcy
Xi Jinpinga. Po miesiącu znowu doko-
nano zmiany: przy wejściu stali współ-

nie Deng i Xi. Teraz, wedle najnowszych
doniesień, wrócono do pierwotnej wersji.

Natomiast Pekińskie Narodowe Mu-
zeum Sztuki w centrum ekspozycji po-
święconej reformom w ChRL umieściło
obraz, na którym dominuje postać Xi
Zhongxuna – ojca obecnego przywódcy,
który po tym, jak zasłużył się w komu-
nistycznej partyzantce, po powstaniu
ChRL w 1949 r. pełnił różne funkcje pań-
stwowe. W postawie stojącej, Xi senior
(zmarły w 2002 r.) przedstawiał wizję
nowych Chin, a przy stole siedzieli za-
słuchani towarzysze – wśród nich Deng
Xiaoping. Tę ekspozycję również zmie-
niono: gdy kilka tygodni temu zwiedza-
łem to muzeum obrazu już nie było. Nad
wystawą dominuje teraz Xi Jinping.

Czytanie z rosząd

W kraju, w którym nie ma otwartej de-
baty politycznej, takie rosządy pełnią
ważną funkcję zastępczą. Pokazują układ
sił, napięcia w obozie władzy i tworzenie
obowiązującej wersji historii.

Jest to istotne zwłaszcza w tym roku,
kiedy kumulują się ważne dla Chin rocz-
nice. Od stulecia Ruchu 4 Maja (czyli de-
monstracji studentów za reformami w du-
chu „demokracji i nauki”), poprzez prze-
milczaną i oficjalnie niebyłą masakerę na
placu Tiananmen (w czerwcu minęło
30 lat), aż po 70. rocznicę powstania ChRL.
To ostatnie wydarzenie, przypadające
1 października, jest rzecz jasna dla władz
najważniejsze. Przygotowania do obcho-
dów trwają od miesięcy. Na różnych po-
lach: zmobilizowano 190 tys. policjantów,
telewizja emituje we wrześniu filmy i wi-
dowiska o patriotycznej treści, cenzura ze
zdwojoną uwagą wyłapuje niepoprawne
treści z internetu, a protestujący w Hong-
kongu nie mogą liczyć na wyrozumiałość
(o realizacji ich wolnościowych postula-
tów już nawet nie mówią).

W samą rocznicę, we wtorek 1 paź-
dziernika, Xi Jinping odbierze na placu
Tiananmen (tym samym) wielką defila-
dę wojskową i wygłosi przemówienie.
Od ostatniej okrągłej celebry w 2009 r.
Chiny urosły gospodarczo blisko trzy-
krotnie, kolejne miliony obywateli wy-
szły z biedy, a pozycja międzynarodowa
kraju jest dużo silniejsza. Wszystko to
powinno być dla władz powodem do
dumy i potwierdzać słusność obranych

reform. A jednak Chiny znalazły się dziś
w najtrudniejszym dla siebie momencie
od czasu przełomu 40 lat temu. Odpowie-
dzialność za to w dużym stopniu obciąża
Xi Jinpinga, który skupił w ręku całą wła-
dzę – w skali porównywalnej jedynie
z Mao Zedongiem, twórcą ChRL.

„Tygrysy” aresztowane

Początki Xi jako przywódcy zapowiadały
raczej kontynuację dotychczasowej drogi.
Tuż po objęciu władzy w 2012 r. pojechał
do Shenzhen, by pokłonić się przed po-
mnikiem Denga. Wkrótce na plenum
partyjnym podkreślił „decydującą rolę
rynku” w rozwoju gospodarki. Nawet gdy
ogłaszał „chińskie marzenie” jako swą
sztandarową wizję odnowy kraju, wyda-
wało się to – mimo jej nacjonalistycznego
zabarwienia – naturalnym potwierdze-
niem aspiracji wielkiego narodu, który
zasługuje na dobrobyt i szacunek. Skoro
jest *American dream*, dlaczego nie może
być jego chińskiej wersji?

Ale potem nastąpiła sekwencja zdarzeń
wskazujących, że wymarzone Chiny Xi
będą jego programem autorskim. Dzwon-
kiem alarmowym dla tego, co wkrótce na-
stąpi, powinna stać się już jego poufna wy-
powiedź z pierwszej wizyty w Shenzhen,
której przeciek trafił do internetu: „Prze-
kreślić historię Związku Sowieckiego
i Komunistycznej Partii Związku Sowiec-
kiego to przekreślić Lenina i Stalina, to
przekreślić wszystko inne, to historyczny
nihilizm. Burzy to nasze myśli, podmi-
nowuje organizację partyjną na każdym
szczeblu”. Xi będzie wielokrotnie wracał
do upadku Związku Sowieckiego. Dla
niego morał z tej lekcji jest jasny: chińscy
komuniści nie tylko nie mogą dokonać
żadnej rewizji historycznej, lecz rola partii
musi jeszcze ulec wzmocnieniu.

Xi zabrał się do rządzenia od walki z ko-
rupcją wśród elit władzy. Problem istniał,
ostrzegał przed nim już poprzedni przy-
wódca Hu Jintao. Ale wyjątkowość działań
Xi polega na ich intensywności. Kampania
antykorupcyjna trwa nieprzerwanie. Za-
angażowano w nią 800 tys. urzędników,
dochodzenie wszczęto wobec 2,7 mln lu-
dzi, z czego 1,5 mln aresztowano. Wśród
nich jest kilkuset tzw. tygrysów: ludzi
o najwyższym państwowym statusie (np.
20 generałów, z których dwóch stracono).
Nowe przepisy regulują dopuszczalną
wielkość domu dla urzędników, długość
zagranicznych podróży służbowych, a na-
wet liczbę dań na kolacjach biznesowych. →



JU PENG / XINHUA / AFP / EAST NEWS

Przewodniczący Xi Jinping wśród dzieci
z prowincji Guangdong, październik 2018 r.

⇒ Społeczeństwo zdaje się wspierać ten twardy kurs. Wątpliwości budzi jednak, że prawie nigdy o korupcję nie są oskarżani ludzie powiązani politycznie z Xi. Oznacza to, że celem kampanii jest też konsolidacja władzy, zbudowanie wokół przywódcy lojalnego obozu poparcia. Jest to o tyle łatwe, że do walki z korupcją i dyscyplinowania urzędników służą instytucje partyjne, wyłączone z władzy sądowniczej. Pracę można więc stracić za posiadanie kochanki czy kochanka, na co nie ma paragrafu w kodeksie karnym.

Słusznie czy nie, swoją pozycję utraciło zatem wielu VIP-ów, również na prowincji, często osadzonych w gęstej lokalnej sieci powiązań. „Xi zniszczył miliony ludzi z elit, którzy teraz palają żądzą osobistej zemsty” – pisze znawca tematu, australijski publicysta Richard McGregor.

Szczególny status

„Dość już z tymi starcami, którzy sprawują władzę do śmierci, dość z dożywotnimi przywódcami” – mówił Orianie Fallaci w 1980 r. Deng Xiaoping. Krytykował też kult jednostki, podkreślając zalety kolektywnego przywództwa.

Xi złamał oba dogmaty Denga. Nie tylko objął wszystkie najważniejsze funkcje w państwie i obsadził Biuro Polityczne partii swoimi ludźmi. Zniósł też limit dwóch kadencji dla przewodniczącego (to odpowiednik prezydenta) – dziś 66-letni, może więc rządzić do śmierci. Status swój przypieczętował wpisaniem własnej myśli do konstytucji, jako pierwszy przywódca od czasów Mao.

Omniprezencja Xi każe pytać, czy nie rodzi się nowy kult jednostki. Za wcześniej, by o tym przesądzać, szczególny status Xi stwarza jednak ku temu możliwości. Z jednej strony jest on głową współczesnej dynastii, dzierżącą monopol na władzę, patriotyzm, prawdę i moralność. Z drugiej, za sprawą swych działań antykorupcyjnych przeciwko elitom cieszy się uznaniem Chińczyków. I korzysta z tego: potrafi wyjść do nich, porozmawiać jak „Xi Dada” (wujek Xi), stanąć w kolejce po jedzenie. Jest nie tylko formalnym przywódcą, ale też kimś w rodzaju przywódcy ludowego. Taki jego obraz kreują też media.

Jak najwięcej kontroli

A przede wszystkim: wyjątkowa pozycja umożliwia „wujkowi Xi” forsowanie własnej wizji Chin, czyli kontrolowanie

Jest paradoksem, że to krytykowany za unilateralizm i rzekome sympatie dla autokratów **Trump stał się główną przeszkodą** mogącą pokrzyżować Xi budowę Chin jego marzeń.

za pomocą partii jak największych obszarów życia. 70 proc. prywatnych firm w Chinach, także zagranicznych, ma zakładowe komórki partyjne. „Te firmy również mają obowiązek samodoskonalenia” – mówił Xi. Plakaty z sierpem i młotem spotkać można w takich korporacjach jak L’Oreal, Disney czy Walmart (w USA ta sieć supermarketów nie ma nawet organizacji związkowej).

O ile wcześniej rolą sekretarzy partyjnych w firmie było polityczne dyscyplinowanie pracowników albo organizowanie kampanii społecznych, w erze Xi coraz częściej angażują się oni w decyzje biznesowe. Partia „sugeruje” firmom inwestycje w region lub branżę, które chce dla dobra kraju rozwijać, co niekoniecznie musi być opłacalne dla przedsiębiorstwa. „Podważa to autorytet kadry zarządzającej” – skarży się Izba Handlowa Unii Europejskiej w Chinach.

Dużo łatwiej jest partii kontrolować rodzime firmy prywatne. Nie dziwią laurki dla władz od szefów wielkich korporacji, którzy wiedzą, że w razie nieposłuszeństwa ich biznes albo oni sami znajdą się w tarapatach.

Dla zagranicy istotne jest, że nawet w przypadku prywatnych chińskich inwestorów nie zawsze łatwo rozróżnić, czy kierują się oni tylko chęcią zysku, czy realizują też wolę państwa. Wielu kapitalistów jest zresztą członkami partii, jak miliarder Jack Ma, który kilka lat temu kupił znany dziennik z Hongkongu „South China Morning Post”. Gazeta publikuje teraz więcej artykułów przyjaznych Chinom – to niezależna decyzja czy ręka Wielkiego Brata?

Mimo zwiększonej kontroli nad sektorem prywatnym Xi wyraźnie faworyzuje firmy państwowe, np. dostępnością kredytu. Blisko połowa z nich jest nierenowna. Duszą one wzrost gospodarczy, ale stabilizują rynek pracy i umożliwiają

realizację strategicznych projektów, jak Nowy Jedwabny Szlak. Nie jest też tajemnicą, że część z tych firm kontrolują rodziny partyjnych notabli. Inaczej trudno byłoby im za pensję o równowartości 20 tys. dolarów rocznie (tyle zarabia członek Biura Politycznego) posyłać dzieci na elitarne uczelnie USA.

System wartości społecznej

„Media muszą kochać partię, chronić ją i blisko współdziałać z przywództwem partyjnym” – mówił Xi w 2016 r. po odwołaniu kilku redakcji. Oznacza to, że za jego czasów cenzura, w której pracuje ok. 2 mln ludzi, została nie tyle zastrzeżona, co sprofilowana, by ukazujące się w mediach i internecie polityczne treści miały jednoznacznie propartyjny przekaz.

Chiny blokują dostęp do Twittera, Google czy Facebooka (choć Xi ma tu profil przeznaczony dla zagranicy), forsują jednak rozwój internetu i nowoczesnych technologii komunikacji do słusznych (dla władz) celów, np. biznesowych. Albo do kontrolowania ludzi.

Xi Jinpinga kojarzy się tu głównie z tzw. systemem *social credit*, który za pomocą kamer zainstalowanych w całym kraju będzie miał możliwość rozpoznania każdego Chińczyka, odczytania na miejscu jego życiorysu i jego „wartości społecznej”. Program jest wciąż w fazie pilotażu, ale już dziś 10 mln Chińczyków nie może wsiąść na pokład samolotu czy superszybkiej kolei, system wykazuje bowiem, że np. zalegają z długami. Obawy rodzi rzecz jasna stosowanie takich metod do politycznej inwigilacji czy ingerowania w prywatność. Ma to już zresztą miejsce w prowincji Xinjiang, gdzie tamtejsza ludność islamska jest poddana ścisłej kontroli i brutalnej „reedukacji” za pomocą nowoczesnych technologii.

Błędem byłoby jednak sądzić, że nowe formy kontroli społecznej budzą wśród Chińczyków gwałtowny opór, że robią wszystko, by się z niej wymknąć. Nie ma rzetelnych przekrojowych danych, ale z wycinkowych badań, publikowanych również w zachodnich mediach, wynika, że wielu obywateli dostrzega zalety systemu w zwalczaniu przestępczości, zaprzestania oferowania wybrakowanych produktów czy w budowaniu zaufania społecznego, np. przez ograniczenie nagminnego zwyczaju wyłudzenia pieniędzy.

Głosy protestu

Jeśli coś budzi sprzeciw w programie Xi, zwłaszcza u części elit, to jego totalność, powszechna penetracja i skupienie wielkiej władzy w jednym ręku. Dziś można już zapomnieć o dysydentach z lat 90., ich żądaniach wprowadzenia liberalnej demokracji. Nawet w porównaniu z początkiem XXI w. istnieje poczucie, że przestrzeń na swobodniejszą wymianę politycznych poglądów jest dużo węższa.

Na kongresie partii dwa lata temu pojawił się anonimowy list dwudziestu kilku osób, krytyczny wobec Xi i wzywający do jego ustąpienia. W zeszłym roku serię petycji do władz, stylizowanych na czasy cesarstwa, skierował zaś profesor uniwersytetu Tsinghua Xu Zhangrun. Wymienia tam powody sukcesu modernizacji Chin w ostatnich dekadach. Obok przywrócenia własności prywatnej i zachowania „pewnych” swobód politycznych, petycje uderzają wprost w Xi – mowa jest w nich, że limit dwóch kadencji dla przywódcy był słuszny i ostrzegają, że zacieśniająca się kontrola doprowadzi kraj do upadku. Pojawia się też postulat ujawnienia majątków notabli partyjnych, zniesienia ich przywilejów i odejścia od kultu jednostki.

Profesor Xu został zawieszony w pracy i jest przesłuchiwany, mimo wsparcia kilkudziesięciu intelektualistów. Jednak jesienią tego samego roku pojawił się kolejny krytyczny głos. Syn Deng Xiaopinga, Deng Pufang, wezwał – nie wprost, ale jednak – aby wrócić do bardziej koncyliacyjnego stylu rządzenia swojego ojca, który powtarzał, aby budować siłę Chin po cichu i nie zadzierać z zagranicą. Wypowiedź młodego Denga oceniono.

Wobec siły Xi Jinpinga i jego popularności w społeczeństwie można by te głosy zlekceważyć – gdyby nie to, że gospodarka wyraźnie zwalnia i coraz więcej krajów z niepokojem przygląda się zachowaniu Chin za granicą.

Wreszcie, być może pierwszy raz w swojej karierze, Xi Jinping napotkał rywala wagi superciężkiej – Donalda Trumpa.

Nowe starcie mocarstw

Jest paradoksem, że to Trump, krytykowany za unilateralizm („*America First*”) i za rzekome sympatie do autokratów, stał się dziś główną przeszkodą mogącą pokrzyżować Xi budowę Chin jego marzeń.

Prezydent USA nie tylko definitywnie porzucił ideę, że bogacenie się i aktywny

udział Chin w świecie doprowadzą je do wolnościowych przemian. Uznał, że trzeba się im przeciwstawić już teraz, gdy nie jest na to jeszcze za późno. Co więcej, pogarszające się wyniki chińskiej gospodarki, także na skutek twardej polityki USA, każą na nowo pytać o granice rozwoju chińskiego modelu.

Tuż po zaprzysiężeniu Trumpa Xi przyjechał na forum gospodarcze do Davos, gdzie przekonywał o zaletach globalizacji, w tym wolnego handlu, próbując wbić klin między USA a resztę Zachodu. Pojawiły się nawet głosy, że oto wystąpił nowy lider globalnego świata.

Chiny, owszem, wspierają globalizację, ale na swoich warunkach. Przez wiele lat, a zwłaszcza po wstąpieniu do Światowej Organizacji Handlu w 2011 r., korzystając z liberalnych reguł światowej gospodarki, mogły bez ograniczeń eksportować towary, inwestować za granicą i zaopatrywać się tam, nie zawsze legalnie, w najnowsze technologie. Równocześnie stawały bariery na własnym rynku, blokując wejście obcym firmom albo wypychając je, np. przez dumping, gdy po przekazaniu technologii nie były już potrzebne.

Trump nie krytykuje Chińczyków za takie zachowanie – zarzuca raczej naiwność poprzednim prezydentom USA, którzy np. hołdując dewizie handlu wolnego, ale niekoniecznie sprawiedliwego (*fair*), przyczynili się do zbudowania chińskiej potęgi. Cła na towary z Chin tylko nieznacznie obniżył ich stopę wzrostu. Dużo bardziej szkodliwe dla Pekinu może być opuszczanie kraju przez zagraniczne firmy i ogólne tąpnięcie nastrojów gospodarczych. A wszystko to przy długu wewnętrznym na poziomie 300 proc. PKB.

Strach przed Pekinem

Czy Chiny są jednak gotowe, by wypełnić pustkę po USA i stać się odpowiedzialnym liderem, na początek choćby w Azji? Można mieć wątpliwości. Co sądzić bowiem o zlekceważeniu przez nie niekorzystnego dla siebie werdyktu Trybunału w Hadze, który Filipinom przyznał sporną część Morza Południowochińskiego? Mimo sprzeciwu okolicznych państw, Pekin tworzy tam sztuczne wyspy, stawiając na nich bazy wojskowe.

Dalej: chińskie kredyty i inwestycje bez wątplenia wspierają rozwój wielu biedniejszych krajów Afryki i Azji. Chińczycy mają pieniądze, działają szybko, nie zważając, co lokalny partner sądzi o demokra-

cji czy prawach człowieka. Podobnie jak w czasach cesarstwa, gdy Chiny zwasalizowały większość sąsiadów, potrafią teraz przekupywać lokalne elity, oferując im prezenty i gotówkę. Kłopot w tym, że często robią to zbyt szczerze, wiedząc, że druga strona nie jest w stanie się wypłacić, i stąd tylko krok do trwałego uzależnienia od Pekinu. To dlatego premier Malezji Mahathir po objęciu stanowiska zaciągnął hamulec na chińskie inwestycje.

Jeśli „chińskie marzenie” Xi przewiduje zatem również odbudowę sinocentrycznego ładu, to może on mieć z tym kłopot. Inaczej niż kiedyś, w Azji rozbudzone są dziś nacjonalizmy, często zwrócone przeciwko Chinom. Wiele krajów regionu ma też demokrację, może niedoskonałą, ale gwarantującą swobody polityczne, o których w Chinach pod rządami Xi można tylko marzyć. Trudno się więc dziwić, że większość krajów Dalekiego Wschodu widzi na razie w USA gwaranta swojego bezpieczeństwa.

Strach przed Chinami sięgnął także Europy, nawet Niemiec, które na rozwoju chińskiej gospodarki bardzo skorzystały (np. Volkswagen sprzedaje tam 40 proc. swoich aut). Dzwonki alarmowe w Berlinie włączyły się w 2016 r., gdy okazało się, że Chiny przejmują niemieckiego producenta robotów Kuka, a Niemcy nie mają nawet ustawy, by się przed tym obronić. W latach 2011-16 wartość chińskich inwestycji w Niemczech, głównie w zaawansowane technologie, wzrosła dziesięciokrotnie, do 7 mld euro. W 2018 r. tylko za udziały w Mercedesie chiński producent aut Geely zapłacił 9 mld dolarów.

Berliński think tank Mercator opublikował w tym czasie raport, ostrzegając, że na ekspansji Chin w nowoczesne branże za granicą i na wypychaniu obcych konkurentów ze swojego rynku najbardziej ucierpią właśnie Niemcy i Korea Południowa. Berlin w pośpiechu przystąpił do zmiany prawa, by utrudnić Chinom przejmowanie swoich firm.

Niepokoje o przyszłość

Zapewne o takiej ostentacyjności, która przysporzy Chińczykom wrogów, mówił syn Deng Xiaopinga, krytykując obecne władze. Jednak zmianę mentalną w Chinach, na bardziej asertywną wobec granicy, dało się wyczuć już za rządów Hu Jintao. Istotne były lata 2008-09: Pekin najpierw perfekcyjnie zorganizował olimpiadę, a potem USA i Europa →

→ popadły w kryzys, którego Chiny uniknęły. Coraz więcej głosów zaczęło wieścić schyłek Zachodu i nastanie ery chińskiej hegemonii. Autorzy nacjonalistycznych książek w Chinach („Chiny, które powiedzą: nie”, „Nieszczęśliwe Chiny”) przekonywali, że rodzimy model rozwoju jest lepszy od zachodniego i to Chiny powinny narzucać światu swoje wartości. Xi przynajmniej część z tych nastrojów skanalizował.

Pytanie, czy postąpił słusznie? Czy w polityce wewnętrznej i zagranicznej nie poszedł za szybko, za ostro, czy Chiny pod jego przywództwem nie przecenili swojej siły i wpływów?

Głównym filarem, na którym partia komunistyczna od czasów Denga opierała swój mandat do władzy, były sukcesy gospodarcze. Tymczasem wzrost PKB jest najslabszy od 27 lat, a niepokoje o przyszłość rosną. Chiny mają wciąż duży wewnętrzny potencjał rozwoju, ale uwolnienie go wymagałoby prorynkowych reform. To z kolei kłóci się z instynktowną wręcz, zwłaszcza u obecnego przywództwa, chęcią kontrolowania gospodarki.

Drugim filarem był i jest nacjonalizm. W Chinach obejmuje on dumę z wielkiej historii, utrzymanie integralności granic (w tym Hongkongu) i godnościową kompensację za krzywdy doznane od obcych w wiekach XIX i XX. Z definicji nacjonalizm zakłada jednak uczucie, nawet fanatyczne, do narodu, a nie do władz, choć te obecne próbują stawiać tu znak równości. Znaczy to, że są okoliczności, gdy lud, kierując się nacjonalizmem, może zwrócić się przeciw rządzącym.

Xi musi mieć pełną głowę tych dylematów. Mówi teraz o czekającym kraj 30-letnim trudnym marszu. I to w sytuacji, gdy 1 października przemówi do narodu jako absolutny przywódca najpotężniejszych Chin od 200 lat.

W innych perspektywach

Chiny nieraz potrafiły zaskoczyć świat. Operują w innych perspektywach czasowych niż kraje, gdzie mandat do rządzenia wymaga ciągłego odnawiania w demokratycznych wyborach. Być może Xi Jinping znajdzie więc metodę na urzeczywistnienie swojego „chińskiego marzenia”.

Choć i dla świata, i dla zwykłych Chińczyków byłoby bez wątpienia lepiej, gdyby przybrało ono łagodniejszą formę.

© PIOTR BERNARDYN

Kałasznikow w przestworzach

INGA ROGG Z JEROZOLIMY

Drony to broń XXI wieku. Używane nie tylko przez regularne armie, ale też partyzantów i ekstremistów, samoloty bezzałogowe wpływają na charakter współczesnych konfliktów.

BYŁOBY DZIWNE, GDYBY TO, CO WYDARZYŁO się w sobotę 14 września, nie stało się teraz przedmiotem wnikliwych analiz – zarówno wszystkich szanujących się armii świata i agencji wywiadowczych, jak też instytucji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo tzw. infrastruktury krytycznej. Nie tylko rafinerii, ale także np. elektrowni atomowych.

Oto kilkanaście niewielkich samolotów bezzałogowych było w stanie uderzyć w samo serce Arabii Saudyjskiej. Dosłownie i w przenośni: dwie wielkie rafinerie, należące do państwowego koncernu Saudi Aramco, które zostały precyzyjnie zaatakowane i podpalone przez drony (wedle niektórych wersji w ataku brało też udział kilka tradycyjnych pocisków manewrujących), są położone niemal pośrodku kraju – setki kilometrów od Jemenu i Iranu.

Cios w podbrzusze

Okazało się, że tak niewielka siła jest w stanie nie tylko podważyć ekonomiczny fundament, na którym zasnęła się Arabia Saudyjska – produkcja ropy spadła na pewien czas o połowę – ale też obnażyć jej polityczno-militarną słabość. Choć Riad wydaje wielkie sumy na obronność (w 2016 r. było to ponad 80 mld dolarów), nie jest w stanie chronić swojej najważniejszej infrastruktury.

Okazało się również, że tak niewielkim nakładem środków Iran jest w stanie politycznie osiągnąć tak wiele. Bo nawet jeśli to nie Irańczycy przeprowadzili ów atak (o co obwiniają ich Stany Zjednoczone), jeśli nawet jego wykonawcami byli partyzanci Huthi – wspierani przez Iran jemeński rebe-

lianaci przyznali się do tego ataku i zagrozili kolejnymi – to i tak politycznie najbardziej korzysta Teheran.

I to korzysta podwójnie. Odsuwając od siebie wszelką odpowiedzialność, Irańczycy wymierzili cios w podbrzusze Saudyjczyków, swoich wrogów w regionie. Po drugie: pokazali prezydentowi USA, jak wysoka może być cena za jego antyirański kurs. Ten, którego elementem jest embargo na eksport irańskiej ropy. Teheran pokazał, że jest gotów użyć wszelkich środków, byle doprowadzić do zdjęcia tego embargo.

Jednak niektórzy eksperci twierdzą, że nawet gdyby Saudyjczycy posiadali słynny izraelski system obrony przeciwlotniczej (kiedyś Riad zabiegał o jego zakup, ale do tego nie doszło), to nawet wówczas nie byłoby pewności, że owa „Żelazna Kopuła” – skuteczna w zwalczaniu rakiet Hamasu, odpalanych ze Strefy Gazy – będzie w stanie odeprzeć atak niewielkich aparatów bezzałogowych, poruszających się bardzo nisko nad ziemią.

Eksplozja nad trybuną

Nie jest to pierwsza sytuacja w regionie Bliskiego Wschodu, gdy drony pokazują swoje możliwości.

Był styczeń 2019 r., gdy dowódcy jemeńskiej armii rządowej postanowili zorganizować pokaz siły. Zdawało się, że nic nie może go zakłócić – wszak wielką defiladę z udziałem 8 tys. żołnierzy zaplanowano na terenie bazy lotniczej Al-Anad, blisko portowego Adenu. A więc, jak sądzono, w bezpiecznej odległości od linii frontu i od Huthich. Na trybunie honorowej zasiedli liczni dowódcy wojskowi (wśród nich szef sztabu generalnego armii), pracow-



HAMAD I. MOHAMMED / REUTERS / FORUM

Szczątki dronów i rakiet, które uderzyły w rafinerie koncernu Saudi Aramco, na konferencji prasowej w Riadzie, 18 września 2019 r.

nicy tajnych służb, a także lokalni prominienci.

Świadkowie opowiadali, że parada właśnie się zaczęła, gdy na niebie pojawił się niewielki aparat latający. Zniżył lot, po czym eksplodował – dokładnie nad trybuną honorową. Zginęło co najmniej siedem osób, wśród nich zastępca szefa sztabu generalnego armii i szef jemeńskiego wywiadu.

Użycie dronów od dawna już należy do codzienności wojny w Jemenie. Jako pierwsi zastosowali je Amerykanie. W 2002 r. amerykański dron zabił jednego z dowódców jemeńskiej odnogi Al-Kaidy, tej terrorystycznej międzynarodówki.

Od 2010 r. armia USA oraz CIA przeprowadziły setki ataków z użyciem dronów, wymierzonych w kierownictwo Al-Kaidy. Jest to praktyka bardzo kontrowersyjna, gdyż w atakach ginęli co chwila cywile.

W międzyczasie dronów zaczęła używać też koalicja krajów regionu pod wodzą Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, która w Jemenie prowadzi wojnę przeciwko Huthim. W kwietniu tego roku, w pobliżu portowego miasta Al-Hudajda, dron należący do Emiratów zabił szefa politycznej organizacji rebeliantów.

Latające mini-bomby

Przez długi czas to regularne siły zbrojne posiadały monopol na drony. Jednak w ciągu ostatnich lat zmieniło się to radykalnie.

Dziś samoloty bezzałogowe należą do arsenału wszelkiej maści powstańców, partyzantów i ekstremistów. Posiadają je i palestyński Hamas, i libański Hezbollah, i rebelianci oraz ekstremiści w Syrii i Iraku, i kartele narkotykowe w Ameryce Południowej. Tak zwani aktorzy niepaństwowi używają najczęściej dronów, które wyprodukowano z myślą o ich cywilnym użytkowaniu – przebudowują je tak, aby uczynić z nich np. latające mini-bomby.

I tak, na terenie Syrii bojownicy związani z Al-Kaidą wielokrotnie atakowali dronami rosyjską bazę wojskową. Od końca 2016 r. używali ich ekstremiści Państwa Islamskiego (IS) w Iraku i potem w Syrii. Punkt kulminacyjny miał miejsce wiosną 2017 r., gdy ekstremistom z IS udało się na pewien czas zatrzymać ofensywę wojsk irackich na Mosul – właśnie dzięki dronom.

Według opracowania autorstwa amerykańskiej akademii wojskowej West Point w tym czasie Państwo Islamskie przeprowadzało miesięcznie od 60 do 100 ataków z użyciem dronów jako „latających

bomb”, wymierzonych w ich przeciwników na terenie Iraku i Syrii.

Ekspertsi wojskowi uważają, że styczniowy atak na trybunę honorową w Al-Anad, do którego przyznali się Huthi (fetyując go jako wielki triumf), był pierwszym takim precyzyjnym uderzeniem z użyciem drona w ich wykonaniu.

To także Huthi są pierwszą grupą rebeliancką, która jest zdolna do przeprowadzania ataków z użyciem dronów poza obszarem frontowym, na głębokim zapleczu wroga. Bo zanim doszło do ostatniego nalotu na saudyjskie rafinerie, Huthi przeprowadzili wiele ataków na cele w Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratach Arabskich; ich drony atakowały czasem cele położone w odległości wielu setek kilometrów.

Huthi mówią, że drony to ich lotnictwo. Brzmi to buńczucznie, ale to przesada. Przestrzeń powietrzną Jemenu kontroluje koalicja pod wodzą Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a nawet najlepsze modele dronów, będących w rękach Huthich, nie mogą się równać z wysoko rozwiniętą technologią produkcji amerykańskiej i chińskiej, którą posiadają Riad i Abu Zabi. Choć atak z 14 września pokazał, że przewaga technologiczna nie musi być tu kryterium rozstrzygającym.



→ Kałasznikow XXI stulecia

Gdyby szukać jakichś historycznych porównań, można by powiedzieć, że drony są swego rodzaju „kałasznikowem przestworzy”.

Tak jak kałasznikow – pistolet maszynowy produkcji sowieckiej, nieskomplikowany technicznie i sprawdzający się w trudnych warunkach terenowych – stał się w drugiej połowie XX w. symbolem, jako najbardziej popularna broń w rękach wszelkich możliwych partyzantów (tych wspieranych przez Związek Sowiecki i tych walczących przeciw niemu), tak dzisiaj to właśnie aparat bezzałogowy staje się wszechstronnym orężem, przy pomocy którego rozmaici rebelianci i ekstremiści są w stanie sprawić kłopoty swoim przeciwnikom, nawet jeśli ci mają nad nimi przewagę w klasycznych, rzec można, środkach pola walki.

Eksperci twierdzą, że to drony będą bronią przyszłości w wojnach asymetrycznych. W opracowaniu West Point czytamy, że podczas walk w Mosulu Państwu Islamskiemu udało się na pewien czas zakwestionować (albo inaczej: obejść) amerykańską przewagę w powietrzu za pomocą „zabójczych pszczoł”: całych „rojów” niewielkich dronów własnej konstrukcji, wyładowanych materiałem wybuchowym.

Autor z West Point konkluduje, że zapewne także inni aktorzy nie-państwowi odnotowali ten fakt.

Jaką rolę odgrywa Iran?

Rebelianci Huthi mają na wyposażeniu zarówno drony komercyjne (niektóre są dostępne na rynku nawet w cenie kilkudziesięciu dolarów), jak też drony wojskowe. Już wkrótce po tym, jak w marcu 2015 r. Riad i Abu Zabi zaczęły interwencję w Jemenie, Huthi rozpoczęli operacje rozpoznawcze przeciwko swym wrogom z użyciem tanich dronów. Pod koniec 2016 r. zaczęli używać też dronów wojskowych do ataków na wrogie wojska.

Huthi twierdzą, że sami produkują cztery typy dronów wojskowych. Najważniejszy to Kasef-1 – tzw. dron-kamikadze, który nie bombarduje celu, lecz niszczy go, rozbijając się o niego. Eksperci sądzą, że Kasef-1 bazuje na irańskiej konstrukcji Ababil-2 lub Ababil-T. Iran zaprzecza, jakoby dostarczał drony i inną broń Huthim. Ale niezależna brytyjska organizacja Conflict Armament Research dowiodła, że liczne drony Kasef-1, które

Iran stworzył szarą strefę, która pozwala mu dystansować się od ataków prowadzonych przez jego sojuszników i unikać otwartego konfliktu.

w październiku 2016 r. przechwyciły Emiraty, pochodziły z irańskiej produkcji (zgadzały się nawet numery seryjne).

Przez długi czas najważniejszą bronią Huthich, wykorzystywaną do ataków na cele w Arabii Saudyjskiej i Emiratach oraz do ataków na statki płynące przez Zatokę Perską – były rakiety balistyczne. Ale dwa lata temu zaczęli używać tu po raz pierwszy dronów.

Wiosną i latem tego roku ataki tego rodzaju nabrały intensywności. W maju Huthi zbombardowali – jak twierdzili – saudyjski ropociąg z użyciem siedmiu dronów, na pewien czas wyłączając go z obiegu. Potem przeprowadzili co najmniej trzy takie uderzenia na saudyjskie lotnisko wojskowe w Nadżran. Atak na ropociąg to odwet za agresję koalicji – pisał na Twitterze Abdulsalam Saleh, rzecznik Huthich. Kilka dni później Huthi zagrozili szeroko zakrojonymi atakami na 299 militarnych i strategicznych celów w Arabii Saudyjskiej i Emiratach.

O ile użycie dronów na froncie jemeńskim miało niewielki wpływ na przebieg tej wojny, o tyle już latem tego roku eksperci wskazywali, że ataki na saudyjskie instalacje pozyskiwania, przetwarzania i transportu ropy stanowią punkt zwrotny. Drony, które uderzyły wtedy w dwie przepompownie ropy, przeleciały setki kilometrów.

W tym samym czasie w Zatoce Perskiej narastały napięcia między Waszyngtonem i Teheranem. Zaatakowane zostały cztery tankowce – nieznani sprawcy uszkodzili je minami magnetycznymi. W obu przypadkach – ataków na przepompownie i tankowce – Saudyjczycy i Amerykanie winą obarczali Iran. Teheran odrzucał te oskarżenia.

„Wysuszyć przeciwnika”

Jeszcze kilka lat temu Huthi szmuglowali swoje drony i rakiety balistyczne z zagranicy, zwłaszcza z Iranu; dziś produkują

je sami. Eksperci ONZ uważają, że Huthi importują kluczowe komponenty, jak silniki i systemy sterowania, aby móc produkować drony o dużym zasięgu. ONZ wskazywało przy tym na podobieństwo między modelem Kasef-1 a irańskimi Ababilami.

W kwietniu i maju 2018 r. Huthi zaatakowali kasefami cywilne lotnisko w saudyjskim mieście Abha. Ponadto, jak sami twierdzili, między kwietniem i sierpniem 2018 r. atakowali rafinerię koncernu Aramco w miejscowości Jazan i cywilne lotniska w Abu Zabi i Dubaju (władze w Riadzie i Abu Zabi zaprzeczały, że takie ataki miały miejsce). „Jemeński naród zneutralizuje Aramco” – groził wtedy Mohammed Ali al-Huthi, polityczny przywódca rebeliantów. I dodał: „Prowadzimy długofalową politykę i pracujemy nad tym, aby wysuszyć przeciwnika”.

Wtedy zdawało się, że do osiągnięcia tego celu Huthi mają jeszcze bardzo długą drogę. Jednak już w drugiej połowie 2018 r. eksperci ONZ odnotowali, że rebelianci użyli po raz pierwszy nowych modeli dronów, które sami nazwali Samad-2 i Samad-3. Ich głowica bojowa mogła zostać wyposażona w 18 kg materiału wybuchowego i metalowe kulki, co czyniło ten model znacznie bardziej niebezpiecznym niż kasefy. W raporcie ONZ czytamy, że zasięg samadów mógłby wynosić nawet 1500 km. Choć Huthi twierdzili, że produkują te drony samodzielnie, większość ekspertów wojskowych wychodziła z założenia, że otrzymują przy tym wsparcie od irańskich Strażników Rewolucji.

Wprawdzie nie było tutaj mocnych dowodów, jednak pasowało to strategii Teheranu. Polega ona na tym, aby sojusznicy Iranu w regionie Bliskiego Wschodu byli w stanie samodzielnie produkować różne systemy uzbrojenia.

W ten sposób władze Iranu stwarzają swego rodzaju szarą strefę, która pozwala im dystansować się od konkretnych ataków i unikać otwartego konfliktu ze swoimi regionalnymi konkurentami – oraz z Amerykanami.

© INGA ROGG

Przełożył WP

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung”, specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu. Pracowała w Bagdadzie i Stambule, obecnie mieszka w Jerozolimie. Stale współpracuje z „TP”.



ANTON RAHARIO / ANADOLU AGENCY / EAST NEWS

Akcja helikoptera gaśniczego nad płonącym lasem w Palangkaraya na indonezyjskiej części Borneo, 18 września 2019 r.

Palący problem nad cieśniną Malakka

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z MALEZJI

Malezyjczycy i Singapurczycy cierpią od smogu wywołanego przez pożary lasów w sąsiedniej Indonezji. Bez własnej winy, oba państwa znalazły się wśród dziesięciu krajów o najbardziej zanieczyszczonym powietrzu na świecie.

WIEŻOWCE I WODY CIEŚNINY NIKNĄ w ciepłej mlecznej mgle. Swoją ciężką i suchą wonią powietrze przypomina raczej indyjskie Delhi w okresie zimowej suszy niż Malezję, gdzie zwykle oddycha się doskonale. Kilka dni smogu z rzędu, krótka przerwa, gdy zaczyna porządnie padać – i wszystko zaczyna się od nowa.

Tak wygląda w tym roku wrzesień w malezyjskim stanie Penang, odległym o 200 km od Sumatry. Na Sumatrze i w indonezyjskiej części Borneo od wielu tygodni szaleją pożary lasów torfowych. Stamtąd wiatr nawiewa do Malezji trującą mgłę.

Indonezja ogłosiła stan wyjątkowy w sześciu prowincjach, a do walki z pożarami wysłała tysiące strażaków, wojskowych i policjantów. Według organizacji

ekologicznych 2 września ognisk pożaru wybuchło tam ponad 700, a cztery dni później już ponad 6 tys. Powodem jest wyjątkowo długa susza i niesprzyjające wiatry, wywołane przez El Niño [zjawisko pogodowe, które polega na utrzymywaniu się ponadprzeciętnie wysokiej temperatury na powierzchni wody w strefie równikowej – red.]. Ale głównym winowajcą są ludzie.

Rutynowe wypalanie

Indonezyjscy farmerzy rutynowo wypalają lasy torfowe, żeby zrobić miejsce pod nowe plantacje. Dzięki nim kraj ten jest największym na świecie producentem oleju palmowego i jednym z największych wytwórców papieru.

Metoda wycinki i wypalania to najtańszy sposób na oczyszczenie terenu przed

sadzeniem nowych drzew. Jednak powodowane przez to pożary co roku emitują gigantyczne ilości dwutlenku węgla i wywołują duże straty. Indonezja regularnie i poniekąd tradycyjnie truje swoich sąsiadów, ale sytuacja nie była tak zła od 2015 r.

Nie ze swojej winy Malezja znalazła się w tym roku w pierwszej dziesiątce krajów o najbardziej zanieczyszczonym powietrzu na świecie. W 11 z 16 tutejszych stanów zanotowano niezdrowe poziomy zanieczyszczenia. W ubiegłym tygodniu w południowej części kraju odczyty mocno przekroczyły wartość 200 – oznaczającą, że powietrze było „bardzo niezdrowe”.

Niewiele lepiej oddychało się w Singapurze. Tamtejsza Agencja Ochrony Środowiska zaleciła obywatelom pozostawanie w domach, bo toksyczny dym powoduje choroby układu oddechowego, uszu i oczu, jest wyjątkowo niebezpieczny dla dzieci i osób starszych, a znajdujące się w nim cząsteczki PM 2,5 mogą wywołać raka.

Singapurski minister środowiska Masagos Zulkifli ostrzegł, że ilość dwutlenku węgla wyemitowanego do atmosfery zagrozi globalnym wysiłkom w walce ze zmianami klimatu.

W Indonezji i Malezji z powodu toksycznej mgły tymczasowo zamknięto tysiące szkół. Rząd tej ostatniej, żeby przynieść obywatelom ulgę i ograniczyć zdrowotne skutki, zarządził akcję zasiewania chmur (to metoda sztucznej modyfikacji pogody) nad regionami najbardziej dotkniętymi smogiem.

Ale nikt nie ma złudzeń: trujący dym będzie wracał. Dlatego wiele zagranicznych ambasad, w tym polska, wydało dla żyjących tutaj swoich obywateli specjalne zalecenia: lepiej zamknąć okna i polegać na klimatyzacji, nie wychodzić z domu, jeść dużo warzyw i owoców oraz pić wodę.

Natomiast rząd rozdał dotąd setki tysięcy masek ochronnych.

Dyplomatyczne przepychanki

Władze w spowitym gęstym gryzącym dymem Kuala Lumpur zagroziły Dżakarcie wysłaniem oficjalnej noty dyplomatycznej i wezwały ją do poważnego zajęcia się pożarami. Ale Indonezyjczycy twierdzą, że smog u sąsiadów nie ma nic wspólnego z ich własną ekologiczną katastrofą.





AHMAD WIDI / BARCROFT MEDIA / GETTY IMAGES

Muzułmanki modlące się o deszcz, Riau (Indonezja), 18 września 2019 r.

⇒ Tamtejsza minister środowiska i leśnictwa Siti Nurbaya Bakar stwierdziła, że malezyjskie skargi nie mają pokrycia w faktach, i uznała je za niemożliwe do zaakceptowania. Wskazała, że mniejsze pożary wystąpiły w całym regionie: w Malezji, na Filipinach, w Papui-Nowej Gwinei, Wietnamie, Tajlandii i Timorze Wschodnim. Dodała, że smog, na który narzekają Malezyjczycy, pochodzi z ich własnego stanu Sarawak (północnej części Borneo) oraz z samego półwyspu malajskiego i zaprzeczyła, jakoby wiatr niósł dym przez granice. W odpowiedzi jej malezyjska odpowiedniczka Yeo Bee Yin opublikowała schemat układu wiatrów w poprzedzających dniach.

Azmi Hassan, geostrateg z Malezyjskiego Uniwersytetu Technologicznego uważa, że potrzebna jest nowa międzynarodowa umowa, bo obecna nie jest wiążąca. – Ten fakt pozwolił Indonezji unikać wzięcia odpowiedzialności za minimalizację przedostawania się dymu przez granicę. Pozostali członkowie Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN) rzadko ją krytykują, bo ingerencja w sprawy członków to w tej organizacji temat tabu – wyjaśnia „Tygodnikowi” Hassan.

Oficjalnie Malezja złagodziła wcześniejsze stanowisko i zamiast wskazywać winnych, zaoferowała pomoc w walce z ogniem. Dżakarta odrzuciła ofertę, twierdząc, że Indonezja na razie poradzi sobie sama.

Azmi Hassan uważa, że od lat ewidentnie sobie nie radzi. – Wszyscy są świadomi, że Indonezja nie ma środków ani woli politycznej, aby rozwiązać ten problem – mówi naukowiec.

Intencje i interesy

W 2015 r. w Indonezji spłonęło 2,6 mln hektarów lasów, powodując straty w wysokości 16 mld dolarów i – z tych samych powodów co dziś – dyplomatyczne starcia z Malezją, Singapurem i Tajlandią. Indonezyjski wiceprezydent Jusuf Kalla mówił wówczas, że zamiast krytykować, kraje te powinny być wdzięczne, iż przez całą resztę roku (tj. poza porą suchą) cieszą się dobrej jakości powietrzem.

Po cichu jednak Indonezja starała się zaradzić problemowi: zbudowała prawie 12 tys. studni, rozpoczęła akcję nawadniania łatwopalnych torfowisk i powołała agencję BRG, która miała się zajmować ich ochroną.

Ale próba dokonania tu zmian koliduje z interesami plantatorów. – Agencja jest nieefektywna z samego założenia – wskazuje Annisa Rahmawati z indonezyjskiego oddziału Greenpeace. – Podlega ona ministerstwu środowiska i leśnictwa, a zajmowanie się przemysłem oleju palmowego wymaga współpracy także z resortem rolnictwa oraz z wymiarem sprawiedliwości. Poza tym działania BRG skupiają się na zbyt małym terenie – dodaje.

Największym problemem może być jednak brak egzekwowania prawa. Indonezyjski prezydent Joko Widodo szeroko otworzył drzwi dla inwestorów – w tym takich, którzy chcą dostać zezwolenie na założenie plantacji. Po zmianie regulacji stosowne zezwolenie można dostać w ekspresowym tempie, z pominięciem studium wpływu na środowisko.

Przerzucanie winy

Rahmawati uważa, że korporacje, które są właścicielami plantacji, powinny być odpowiedzialne za to, co się tam dzieje: za prewencję, a jeśli wydarzy się pożar, to za powstrzymanie go i przywrócenie stanu poprzedniego. Sprawę trzeba rozwiązać kompleksowo: na poziomie firm, społeczności i całego łańcucha dostaw.

– Firmy handlujące za granicą indonezyjskim olejem palmowym nie powinny kupować go od tych producentów, którzy są odpowiedzialni za wypalanie i nieuzasadnioną wycinkę lasów – mówi ekołożka.

Za większość Europejczyków decyduje w tej sprawie Unia Europejska – i to europejskie pieniądze mogą częściowo pomóc w rozwiązaniu problemu. Od przyszłego roku Unia będzie importować tylko olej palmowy z certyfikowanych źródeł, tzn. taki, którego wytwórcy przestrzegają tych standardów.

– Plantatorzy w Malezji i Indonezji zobowiązali się do przestrzegania zasad zrównoważonego rozwoju. Nieprzestrzeganie tych standardów i niedbalstwo doprowadziło do kryzysu na regionalną skalę i winnych trzeba ukarać – uważa dr Jusoff Ishak, ekspert w dziedzinie ochrony środowiska.

Podobnie myśli wielu mieszkańców regionu. Pojawiły się nawet obywatelskie apele o przedstawienie sprawy przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze. Ale to wymagałoby zgody samej Indonezji. Ta z kolei słusznie twierdzi, że wina leży w dużej mierze po stronie właścicieli plantacji, ale wskazuje tylko tych, którzy mają siedziby w... Singapurze i Malezji.

Nagrody dla wiosek

U sąsiadów Indonezji pojawiły się sugestie, że częściowym rozwiązaniem problemu może być presja z zagranicy na firmy, które pozwalają, by ich plantacje płonęły. Malezyjski premier Mahathir zasugerował, że jego kraj może wprowadzić prawo umożliwiające karanie przedsiębiorstw, miejscowych oraz także indonezyjskich, które swoimi praktykami przyczyniają się do zanieczyszczania powietrza.

Drogę pokazał już Singapur, który kilka lat temu zażądał, by jego indonezyjscy dostawcy wyjaśnili, w jaki sposób stosują praktyki zrównoważonego rozwoju. Razmi Hassan uważa, że pociąganie do odpowiedzialności nie całego kraju, lecz firm może być jedynym sposobem na efektywne zajęcie się tą delikatną kwestią. – Nawet najsurowsze prawo chroniące lasy i torfowiska nic nie zmieni, jeśli nie będzie woli zmian – mówi.

Wypalanie lasów to w pewnej mierze problem kulturowy, więc samo straszenie karami nie zmieniło podejścia

Europejskie pieniądze mogą pomóc

w rozwiązaniu problemu.

Firmy handlujące indonezyjskim olejem palmowym nie powinny kupować od producentów odpowiedzialnych za wypalanie i wycinkę lasów.

ani wśród prywatnych rolników, ani w korporacjach. Te ostatnie, w ramach tzw. społecznej odpowiedzialności biznesu, zaczęły jednak oferować nagrody finansowe wioskom, których mieszkańcy nie stosują tej metody. Czasem zdarza się, że korporacje są obwiniane o szkody dokonywane na sąsiadujących farmach.

Zdaniem Rahmawati takie inicjatywy to kwiatek do kożucha. – Pozwalają ludziom pracującym w tych firmach poczuć się lepiej, ale nie wykorzeniają powtarzającego się rok w rok problemu. O wszystkim zapomina się, kiedy tylko sytuacja doraźnie się poprawi – mówi ekołożka.

Wkraczają obywatele

Na powrót problemów ze smogiem i na polityczne debaty masowo zareagowali indonezyjscy studenci w regionach najbardziej dotkniętych pożarami: zorganizowali protesty.

Ale malezyjscy internauci podeszli do sprawy z większą fantazją. Użytkownik Twittera imieniem Farhan zaproponował współobywatelom, żeby każdy kupił elektryczny wiatrak i w oznaczonym dniu skierował go w stronę Indonezji, aby zdmuchnąć smog z powrotem do jego źródła. Wkrótce w sieci pojawiły się szczegółowe mapy i rysunki pokazujące, jak wieżowce w Kuala Lumpur zamienić w gigantyczne wiatraki.

Inni internauci zaczęli publikować nagrania mające udowodnić, że przyłączyli się do akcji. „Jestem jednym z wielu Malezyjczyków (pewnie też Singapurczyków i Indonezyjczyków), którzy mają dosyć dorocznego cyrku ze smogiem – napisał

później Farhan. – Nasi politycy obwiniają się wzajemnie, a właściciele plantacji co roku unikają odpowiedzialności, bo ich szefów problem nie dotyczy”.

Ale i po drugiej stronie cieśniny Malakka nie brakuje inicjatyw. Arie Rompas – pochodzący ze Środkowego Kalimantanu w indonezyjskiej części Borneo – obserwował, jak sytuacja systematycznie się pogarszała od 1997 r. Cztery lata temu, gdy trujący dym szczególnie dał się we znaki mieszkańcom, Arie skrzyknął znajomych i kolegów pracujących w organizacjach pozarządowych w mieście Palangkaraya. Zebrali datki, kupili maski antysmogowe i lekarstwa, kilkadziesiąt osób ewakuowali w miejsca mniej dotknięte smogiem i sprowadzili tam lekarzy.

– Z powodu powikłań spowodowanych chorobami układu oddechowego zmarła wtedy czwórka małych dzieci – wspomina Arie. – Wszystko dlatego, że w ostatnich 20 latach rząd pozwolił na przekształcenie miliona hektarów torfowisk w plantacje – dodaje.

W 2016 r. razem z grupą znajomych Arie złożył pozew obywatelski przeciw administracji prezydenta Joko Widodo za dokonane przez rząd akty bezprawia, w wyniku których ucierpiało środowisko i obywatele. Sprawa toczyła się we wszystkich instancjach, aż po Sąd Najwyższy. Ten przyznał obywatelom rację i zobowiązał administrację do wprowadzenia nowych regulacji. Mają objąć m.in. przypatrzenie się zezwoleniom na działalność firm, których plantacje ucierpiały od ognia.

Czekając na deszcz

Nie jest to jedyny sukces obywatelskich aktywistów. Dwa lata temu indonezyjski Sąd Najwyższy nakazał ministerstwu rolnictwa udostępnić dane na temat właścicieli plantacji i miejsc, które obejmują ich koncesje. Ludzie dotąd nie wiedzą dokładnie, za które plantacje kto odpowiada, bo ministerstwo wynajduje kolejne biurokratyczne przeszkody.

– Najbardziej potrzebna jest nam transparentność – mówi Annisa Rahmawati z Greenpeace. – Chcemy, żeby obywatele mogli sami monitorować działalność tych firm, a są ich ponad trzy tysiące!

Na razie, bez względu na różnice, wszystkie strony sporu w Azji Południowo-Wschodniej zgodnie czekają na deszcz.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

Okupacja na własne życzenie

ANNA ŁABUSZEWSKA

Po wybielającej Stalina zmasowanej akcji, związanej z 80. rocznicą paktu z Hitlerem, propaganda Rosji wykorzystała 17 września do prób dyskredytowania Polski. Oraz do wskrzeszania sowieckich mitów.

ZBLIŻA SIĘ 75. ROCZNICA ZAKOŃCZENIA II wojny światowej. Wielkie Zwycięstwo stanowi fundament mitu założycielskiego państwa rosyjskiego pod rządami Władimira Putina. Moskwa od lat buduje narrację o niepokalanym zbrodnią udziale Armii Czerwonej w pokonaniu nazizmu.

Przed przypadającą na maj 2020 r. rocznicą Kreml – który chce widzieć na trybunie honorowej na placu Czerwonym przywódców najważniejszych państw świata – wyraźnie nasila działania wzmacniające tę narrację.

Sierpniowe i wrześniowe rocznice – zawarcia paktu Hitler–Stalin, a potem kolejno niemieckiej oraz sowieckiej agresji na Polskę – stały się dla rosyjskich władz oraz dla naukowej i medialnej „obsługi” Kremla okazją do formułowania dobitnych tez.

Do niedawna potępiany pakt sowiecko-niemiecki, otwierający Hitlerowi drogę do rozpętania wojny, został teraz przez władze Rosji usprawiedliwiony, wręcz gloryfikowany. Wkroczenie Armii Czerwonej na wschodnie tereny Rzeczypospolitej, przez lata przemilczane, w tym roku odrąbiono w Moskwie jako sukces: oto odzyskano to, co chwilowo utracono na rzecz Polski. Z naftaliny wyciągnięto też sowieckie hasła o zbawienym przyłączeniu bratniej Białorusi i Ukrainy oraz o entuzjastycznym przyjęciu sowieckich oddziałów przez miejscową ludność, uwolnioną spod jarzma polskich panów.

Odwracanie historycznego kota ogonem idzie w Rosji pełną parą. Aforyzm satyryka Michaiła Zadornowa, że „Rosja to wielki kraj o nieodgadnionej przeszłości”, zyskał właśnie nowe potwierdzenie.

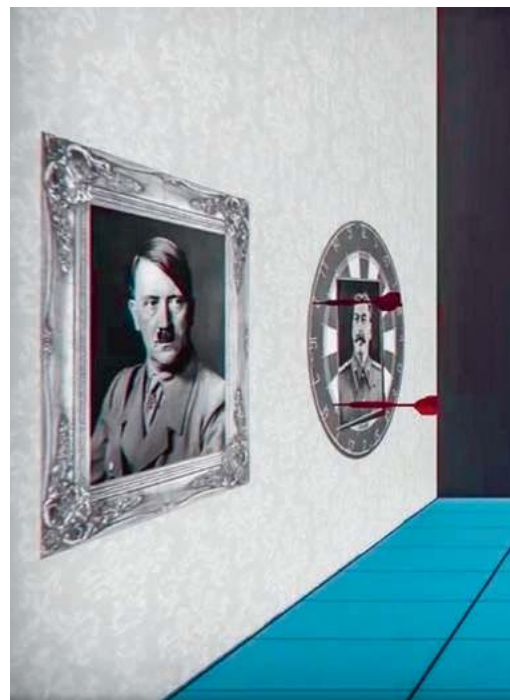
Z dumą i pochwałą

17 września 2013 r. pisałam na blogu „Siemnaście mgnień Rosji”: „O tej rocznicy było dziś w rosyjskich mediach cicho. O tym, że 17 września 1939 r. Armia Czerwona na mocy paktu Ribbentrop–Mołotow wkroczyła na terytorium Polski, napisały niszowe internetowe portale i kilku blogerów. Maksim Sitkin odnotował, że 17 września »to jeden z najbardziej haniebnych dni w historii ZSRR, dzień, w którym dwa faszyzmy, stalinowski i hitlerowski, zjednoczyły się, napadły na wolną, niewielką Polskę. Dzień, kiedy ZSRR stał się uczestnikiem II wojny światowej, sojusznikiem Trzeciej Rzeszy«”.

To było zaledwie sześć lat temu.

Nad tegoroczną rocznicą już nie panowało pełne wstydu i żenady milczenie. Wręcz przeciwnie: z przytupem do wkroczenia do Polski odnosili się czołowi rosyjscy politycy i pochwalali zbliżeni do Kremla historycy, rozpisywały się szeroko poczytne gazety, z dumą mówiła rosyjska telewizja państwowa.

Kampanię zapoczątkował Siergiej Iwanow, w młodych latach znajomy Putina z KGB. Gdy Putin został prezydentem, obsadzał go na ważnych stanowiskach. Był on więc sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, ministrem obrony, wicepremierem. W 2008 r. mówiło się nieoficjalnie, że Putin rozważał jego kandydaturę jako prezydenta na cztery lata przerwy w sprawowaniu urzędu (ostatecznie wybrał Dmitrija Miedwiediewa). Obecnie Iwanow piastuje stworzoną dla niego funkcję specjalnego przedstawiciela prezydenta ds. ekologii. Mimo tak niszowej godności, jest stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa, co świadczy o wy-



sokiej pozycji w putinowskim „biurze politycznym”.

Kijem hienę Europy

Najwidoczniej w rosyjskiej ekologii wszystko jest w porządku, bo wiosną tego roku zaufany Putina został rzucony na odciniek historyczny: wszedł do rady patronackiej Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego – tworu powołanego dekretem prezydentem i realizującego operacje specjalne na froncie historycznym. Podobną rolę odgrywa Rosyjskie Towarzystwo Historyczne pod przewodnictwem innego znajomego Putina z KGB, Siergieja Naryszkina. W publikacjach historyków współpracujących z obu stowarzyszeniami, w wypowiedziach na konferencjach wygłaszane są zatwierdzone odgórnie tezy, współbrzmiejące z zapotrzebowaniem władz.

Iwanow na konferencji prasowej w lipcu stanął w obronie Stalina, nazwał „bzdurą” i „świadomą zmyłką” twierdzenia, że Związek Sowiecki był podżegaczem wojennym i przyczynił się do rozpętania światowego konfliktu. Stanowczo odrzucił też zgłaszane przez poszkodowane państwa postulaty pokajania się Moskwy za zbrodnię, a już tym bardziej zapłacenia za wyrządzone szkody. Wygłosił pean o sensowności zawarcia paktu z III Rzeszą, nazwał go aktem niosącym pokój i powtórzył wytarte kłamliwe



Kadr z propagandowego filmu „Początek II wojny światowej”, opublikowanego na facebookowym profilu rosyjskiego MSZ. Wymowa sceny: mimo groźby wojny, Polska – tu pod postacią ministra spraw zagranicznych Józefa Becka – uparcie nie chce zawrzeć sojuszu ze Stalinem.

tezy o korzyściach płynących z tej umowy (powstrzymanie marszu Niemiec na wschód, zyskanie przez Kreml dwóch lat na przygotowania do wojny etc.).

Do tych nieświeżych myśli Iwanow nawiązał też na konferencji naukowej (jednej z wielu organizowanych przez władze) przy okazji rocznicy 17 września: przytoczył chętnie cytowane przez sowiecką propagandę słowa Churchilla, że „Polska jest hieną Europy”, a także odzegał się od zarzutów, że Związek Sowiecki stał się okupantem ziem, które wtedy zajął: „Przecież mieszkańcy tych terenów stali się obywatelami ZSRR, nabywając w ten sposób wszystkie prawa i obowiązki, niektórzy weszli do elity, czy można w takim razie mówić o okupacji?”. A że były wywózki, represje, egzekucje? Cóż, to dotyczyło wtedy całego kraju – uzasadniał.

Polska sama chciała

Lansowane przez polityków twierdzenia twórczo rozwinęli historycy i publicyści. Prokremlowska internetowa gazeta „Wzgląd” zamieściła materiał z „hieną Europy” w tytule. Autor Dmitrij Bawyrin dowodzi, że pokojowo nastawiona Armia Czerwona weszła na teren Polski dopiero, gdy polskie państwo przestało istnieć i nie mogło bronić swych obywateli we wschodnich prowincjach. To także teza znana z czasów sowieckich, nieprawdziwa, ale chwytliwa. Tylko w nielicz-

nych publikacjach opozycyjnych mediów znalazło się sprostowanie, np. w wywiadzie dla internetowej „Meduzy” historyk Oleg Budnicki mówił: „Kiedy Armia Czerwona już wkroczyła na terytorium Polski, polski rząd jeszcze przebywał w kraju, jeszcze nie przekroczył rumuńskiej granicy. Dlatego sowieckie argumenty były naciągane, z punktu widzenia prawa międzynarodowego to była aneksja”.

Tymczasem Bawyrin ogłasza, że Polska nawet po tym, jak wojska sowieckie znalazły się na jej terenie, nie wypowiedziała wojny, co miało oznaczać bez mała zgodę na aneksję. Ta myśl powtarzana była w wielu publikacjach w prorządowej prasie i materiałach internetowych. Historyk Borys Sokołow na niezależnym portalu „Grani” polemizuje z tym twierdzeniem. „Polski rząd [po wkroczeniu Armii Czerwonej] nie wypowiedział wojny ZSRR, uznając, że sytuacja jest beznadziejna. Nakazał polskim żołnierzom przebijanie się za granicę. (...) I wtedy, i teraz w Moskwie fakt niewypowiedzenia wojny wykorzystywany jest jako dowód, że Związek Sowiecki nie dokonał agresji wobec Polski. W rzeczywistości aby uznać jakieś działania za agresję, nie trzeba wypowiadać wojny. W marcu 1938 r. Niemcy zajęły Austrię, w marcu 1939 r. – Czechosłowację, a w kwietniu 1940 r. – Danię. Żadna ze stron nie wypowiedziała wojny, a przecież społeczność międzynarodowa uznała te

przypadki za agresję ze strony nazistowskich Niemiec. Podobnie Związek Sowiecki, napadając na Finlandię w listopadzie 1939 r., nie wypowiedział jej wojny. Niemniej za agresję wobec Finlandii został wykluczony z Ligi Narodów”.

Jeszcze dalej idące tezy ogłosił popularny dziennik „Komsomolskaja Prawda” w artykule pt. „Polska zrobiła wszystko, aby Stalin napadł na nią 17 dni po Hitlerze”. Autor dowodzi, że wkroczenie Armii Czerwonej nie było inwazją, a władza sowiecka na terenach Rzeczypospolitej nie była okupacją. W tym samym duchu pisze tygodnik „Argumenty i Fakty”: „Związek Sowiecki wyprawił się jedynie po ziemie, które mu niegdyś odebrano, a które zostały pozostawione [przez polski rząd] na pastwę losu”.

Rosyjska telewizja 17 września od rana przypominała widzom: „Dziś mija 80. rocznica przyłączenia ziem zachodniej Białorusi i Ukrainy do Związku Sowieckiego. Opublikowane dokumenty poświadczają przyjazne powitanie czerwonoarmistów przez miejscową ludność”. Ten przygrzany sowiecki kotlet o entuzjazmie mas na widok czerwonoarmisty, a zwłaszcza enkawudzisty, serwowany był ostatnio w wielu publikacjach. Jest zylasty i trzeciej świeżości, ale został wpisany do oficjalnego jadłospisu. Być może na okoliczność spodziewanego wznowienia rozmów o statusie Donbasu.

„Historyczna Rosja”

Poza przygotowaniem ogniowym do majowych obchodów w 2020 r., propagandowa akcja Kremla, usprawiedliwiająca niegodziwość Stalina i zdobycze terytorialne, może mieć jeszcze jeden cel.

Jak zauważa były doradca Putina, obecnie w kontrze wobec Kremla, Andriej Iłłarionow: o ile w 2014 r., gdy trwała „rosyjska wiosna” na wschodzie Ukrainy, naczelnym pojęciem propagandy był *ruszkij mir* (rosyjski świat) – wspólna cywilizacja narodów postsowieckich, zwłaszcza słowiańskich, uznających zwierzchność Moskwy i konieczność obrony tego świata – o tyle obecnie Putin już tego pojęcia nie używa. Zastąpiło go wyrażenie „historyczna Rosja”, a więc ziemie, na których kiedykolwiek władzę sprawowało państwo rosyjskie. Czy jako uzasadnienie dla agresji na nie ziemie, która – w myśl propagandy – nie będzie agresją? I wskazówka dla ludności tych ziem, aby witać neokrasnoarmiejców chlebem i solą? ©



Konradmiral Józef Unrug przemawia do marynarzy na pokładzie ORP „Bałtyk”, 1937 r.

PIERWSZEGO WRZEŚNIA ZAPOMNIAŁ NIEMIECKIEGO

„Pan admirał postawił na złego konia”
– usłyszał od komendanta obozu jenieckiego,
gdy odmówił podpisania volkslisty.

STANISŁAW ZASADA

DO OFLAGU, OBOZU JENIECKIEGO DLA oficerów, przyjeżdża jego niemiecki kuzyn. Z propozycją przejścia na niemiecką stronę. Ale konradmiral Józef Unrug, który podczas kampanii wrześniowej 1939 r. dowodził polską obroną Wybrzeża, nie chce o tym słyszeć. Żeby nie było wątpliwości, z kuzynem rozmawia tylko po francusku.

„Nie wygłupiaj się. Znasz niemiecki” – oburza się kuzyn.

„Po pierwszym wrześniu zapomniałem języka niemieckiego” – odpowiada Unrug.

Zapomni na sześć lat.

Mariusz Borowiak, biograf Unruga:

– Był patriotą. Ale nie na sposób romantyczny. To był patriotyzm praktyczny.

Wnuk

Wziął na barana rocznego syna. Pozuje do zdjęcia na bałtyckiej plaży. Morze to jego żywioł.



NAC

„Szwed” – takie ma przezwisko. Rze-
czywiście: wysoki, skandynawska uroda.
Według podkomendnych: twardy, bez-
kompromisowy, miał dar przewidywania
wydarzeń (jako pierwszy zaproponował,
żeby w polskiej Gdyni zbudować port wo-
jennej). Ale też: wyniosły, drobiazgowy.

Bywa szalony. Jak w 1923 r., gdy spro-
wadza spod niemieckiego wtedy Opola
do Polski ciało zmarłej matki. Żeby unik-
nąć długich formalności, zwłoki usadził
w aucie na miejscu pasażera. Niemieckim
pogranicznikom pokazał dokumenty na
dwie osoby.

– Zaryzykował całą swoją wojskową
karierę, gdy po I wojnie światowej po-
rzucił służbę w niemieckiej marynarce
wojennej i wstąpił do polskiego wojska
– uważa Borowiak. – Nigdy nie wyparł się
polskości.

Mariusz Borowiak przejrzał listę ksią-
żek, które Unrug przeczytał w niemiec-
kiej niewoli. Ponad czterysta tytułów. Po

polsku, angielsku, francusku. Żadnego
w języku niemieckim.

Christophe Unrug, wnuk admirała, jest
przekonany, że jego dziadek był patriotą,
ale nie nacjonalistą. Powie o tym na dru-
gim pogrzebie admirała, w październiku
2018 r.

Christophe Unrug jest dziś merem
Montrésor, miasteczka w Dolinie Loary
w centralnej Francji. Tam pierwszy raz
został pochowany Józef Unrug.

Honory

Admirał Hubert von Schmundt z Kriegs-
marine jest nieco skrepowany. Ma wziąć
do niewoli starszego o kilka roczników
kolegę z Marineakademii w Kilonii. Obaj
służyli kiedyś w Cesarskiej Marynarce
Wojennej, w I wojnie światowej walczyli
pod tą samą niemiecką banderą.

Ale jest 2 października 1939 r., początek
II wojny światowej. Polskie dowództwo
obrony Wybrzeża podpisało już w sopoc-
kim Grand Hotelu akt kapitulacji półwy-
spu Hel. Schmundt nie ma wyjścia: musi
pojąć byłego towarzysza broni. Rozma-
wiają kurtuazyjnie. Unrug jest rozluź-
niony, Schmundt – spięty.

Jadą na nabrzeże.

„Achtung!” – niemiecki komandor
rozkazuje swoim marynarzom. Stają na
baczność, gdy wysoki oficer w granato-
wym mundurze z orzełkiem wysiada
z samochodu. Unrug był kiedyś dowódcą
tego komandora na niemieckich okrę-
tach podwodnych – stąd te honory.

W hitlerowskiej armii polski admirał
ma sporo znajomych.

Mundury

Z ojcem rozmawia po polsku, z matką po
niemiecku. Gdy wszyscy są razem, poro-
zumiewają się po francusku.

Ojciec nosi mundur generała pruskiej
armii. Thaddäus Gustav von Unruh wy-
brał karierę wojskową z powodów mate-
rialnych; w czasach zaborów robiło tak
wielu Polaków. Artylerzysta, odznaczył
się w XIX-wiecznych wojnach z Danią
i Austrią. Zrzuci mundur, gdy Bismarck
rozpęta antypolskie czystki.

Ze starego rodu germańskiego Unru-
gów wyłoniła się polska gałąź. Jeden
z Unrugów miał podobno walczyć
u boku Bolesława Krzywoustego przeciw
niemieckiemu cesarzowi, o innym pisze
Długosz, kolejny założył miasteczko Kar-
gowa koło Zielonej Góry, następny posta-
wił się Szwedom.

Thaddäus Gustav von Unruh miał już
pięćdziesiątkę, gdy w 1884 r. przyszedł
na świat jego pierwszy syn: Joseph. Żona
Thaddäusa, Izydora von Büнау, jest sak-
sońską hrabianką.

Mieszkają w Dreźnie. Mały Joseph nie
może się napatrzeć na polskie mundury
z czasów Księstwa Warszawskiego i Kró-
lestwa Polskiego: ogląda je z ojcem w al-
bumach z kolorowymi rycinami. Słu-
cha opowieści o stryjach, którzy walczyli
w polskich powstaniach. Ojciec posyła go
na lekcje polskiego – w stolicy Saksonii
jest sporo polskich emigrantów.

Po przejściu w stan spoczynku generał
osiada w rodzinnym majątku Sielec koło
Żnina na Pałukach. Jest początek XX w.,
posiadłość leży w Prusach. Ale jego wła-
ściciel używa polskiej formy nazwiska:
Tadeusz Gustaw Unrug. Porzucił kalwi-
nizm, jest teraz katolikiem. Stara się nie
mówić po niemiecku.

Tymczasem Joseph von Unruh ze świa-
dectwem maturalnym przynosi do domu
książkę: to nagroda za świetne postępy
we francuskim. Niestety, zaniedbał na-
ukę polskiego. Ciągnie go do morza, od
dziecka pochłaniał książki o morskich
wyprawach. Chce zdawać do Marine-
akademii w Kilonii. Trzy lata później
zostanie podporucznikiem Kaiserliche
Marine.

Ojciec jest na niego zły: boi się, że
Joseph zniemczy się do reszty. Stary
Unrug zastanawia się, czy nie wydziedzic-
zyć syna.

Krzyż

Ledwo zaczęła się wojna światowa, a on
łąduje w wojskowym lazarecie. Nie z po-
wodu ran – od dawna dokucza mu łuszc-
czyca. Będzie go męczyć do końca życia.

Gdy Gawriło Princip strzela na moście
w Sarajewie do arcyksięcia Ferdynanda,
porucznik Joseph von Unruh ma 30 lat.
Po kilofskiej akademii zrobił jeszcze kurs
torpedowo-minowy.

Po wyjściu ze szpitala wraca do służby.
Podczas Wielkiej Wojny pływa na u-bo-
otach u brytyjskich wybrzeży. Wojna pod-
wodna – uderzająca zarówno w okręty
wojenne, jak i statki handlowe – to jedna
z tych militarnych „nowości”, które przy-
nosi pierwszy globalny konflikt.

Awansuje, dowodzi torpedowcem. Po-
tem przeniosą go na ląd (to przez cho-
robę). Jako szef flotyli szkolnych okrę-
tów podwodnych szkoli oficerów i ma-
rynarzy.

→

→ Zanim Niemcy przegrają wojnę, kapitan Joseph von Unruh zdąży dostać Krzyż Żelazny (nigdy nie będzie się tym chwalił). Kilka miesięcy później odejdzie do cywila. Na Pałukach czeka ojcowizna – ojciec go nie wydziedziczył.

Orzełek

Nie rozstaje się z podręcznikiem polskiej gramatyki. Złożył podanie o przyjęcie do Wojska Polskiego, ale wciąż lepiej mówi po niemiecku niż po polsku. Długo jeszcze będzie wtrącał germanizmy.

Do Sekcji Marynarki w Ministerstwie Spraw Wojskowych w Warszawie zgłasza się w maju 1919 r. Polska nie ma jeszcze dostępu do morza – 147 kilometrów wybrzeża zostanie jej przyznanych za kilka tygodni, mocą traktatu wersalskiego (faktyczne przejmowanie terenu zacznie się w lutym 1920 r.).

Józef Unrug (spolszczył imię i nazwisko) zaczyna od stopnia kapitana. Żałuje, że ojciec tego nie dożył – byłby dumny, że syn nosi mundur z orzełkiem.

Przełożeni wysyłają go nad Bałtyk, ma pomóc przejść od Niemców przyznaną Polsce część wybrzeża. W niemieckim jeszcze Gdańsku, teraz mającym status wolnego miasta, świetnie się czuje – zna język i charakter Niemców. Wyklóca się o latarnie morskie. Gdy Niemcy nie chcą sprzedać państwu polskiemu okrętu, kupi go na swoje nazwisko.

Jednak łatwo nie ma. Jest tylko jednym z sześciu oficerów, którzy służyli wcześniej w niemieckiej flocie. Zdecydowana większość kadry pochodzi z carskiej armii. On jest wychowany w pruskim drylu: dokładny i drobiazgowy, przywiązany do dyscypliny i posłuchu. Oni wolą więcej samodzielności. Wytrzyma cztery lata. W 1923 r. rezygnuje ze służby (tłumaczy się chorobą skóry).

Powróci za dwa lata – jako dowódca floty w Gdyni. W 1932 r. awansuje na kontradmirała.

Dziedzic

To bardziej koszary niż folwark: dziedzic Józef Unrug zarządza pracownikami jak wojskiem. Gdy ma uwagi, pracownik stoi na baczność. Z folwarcznymi robotnikami zresztą prawie nie rozmawia. Gdy chcą o coś zapytać, kontaktują się przez zarządcę.

Majątek w Sielcu przejął po śmierci ojca. Ponad 750 hektarów. Nowy gospodarz uprawia pszenicę, buraki cukrowe,

Gdy żąda tłumacza, komendant oflagu się dziwi: „Czy pan admirał nie zna niemieckiego?”.

„Nie zawsze”

– słyszy w odpowiedzi.

hoduje zwierzęta (na wysoko cenione bekony).

Praca bywa ciężka. Fornal zarabia 12 złotych dziennie, zwykły robotnik rolny – dziewięć. Kary za kradzież wymierza się surowe. Na przykład za zrywanie liści buraków – pięć złotych. Ale folwarczni robotnicy mają darmową opiekę lekarską, właściciel opłaca nauczycieli dla dzieci.

Józef Unrug idzie z postępem: wprowadza traktory parowe, inne nowinki. Wszystkiego dogląda osobiście. Zapuszczony majątek stawia na nogi. „Żadna maszyna nie powinna wyruszyć z podwórza bez oliwarki napełnionej odpowiednim gatunkiem oleju” – poucza gospodarzy. W Sielcach ludzie odpowiedzialni za konserwację maszyn zawsze mają pod ręką szmatę z towotem i oliwarkę.

Na Pałukach dobrze się czuje. Nawet gdy wyprowadzi się do Gdyni, będzie tu chętnie zaglądał. A przyjeżdża często, zwłaszcza w pierwszych latach służby. Powodem jest piękna kuzynka. Zofię Unrug (nosiła to samo panieńskie nazwisko) poślubi w 1921 r. Dziewięć lat później urodzi im się jedyny syn Horacy (to jego będzie nosić na barana).

Półwysep

„Nadejdzie ta chwila, gdy po ukończonej wojnie defilować będziecie nie tylko w Warszawie, ale i w Berlinie” – tak kończy swój ostatni rozkaz do podkomendnych Józef Unrug.

Jeszcze w sierpniu kazał przenieść Dowództwo Floty z Gdyni na Hel. Po ogłoszeniu mobilizacji zostaje dowódcą obrony Wybrzeża – w tej roli podlega bezpośrednio Naczelnemu Wodzowi. Odpowiada za obronę Gdyni i okolic oraz rejonu umocnionego, jakim jest Półwysep Helski. Zapewne zdaje sobie sprawę, że przyszło mu bronić miejsca, które w razie wojny niemal na pewno znajdzie się w okrążeniu, odcięte od reszty kraju.



Józef Unrug jako dowódca polskiej floty wojennej w sztabie w Gdyni, 1928 r.

1 września budzi go telegram od majora Henryka Sucharskiego o ataku na Westerplatte. Przychodzą meldunki o próbie opanowania mostu w Tczewie i ataku Luftwaffe na polskie lotnictwo morskie, które stacjonuje w Pucku.

Od początku nie miał złudzeń, w jakich warunkach przyjdzie mu walczyć. Jeszcze przed 1 września wysłał trzy nowoczesne niszczyciele do brytyjskich baz: bał się utracić w nierównej walce (okręty ORP „Błyskawica”, „Burza” i „Grom” służyły potem z Royal Navy; dwa pierwsze przesłużyły całą wojnę, „Grom” zatonął w 1940 r. pod Narwikiem).

Gdy wojna się zaczyna, wybrzeże szybko zostaje odcięte od reszty kraju. Polskie siły z Gdyni wycofują się na Kępę Oksywską i tam bronią do 19 września. Rząd opuszcza Polskę, kapituluje Warszawa. Kończy się wrzesień, zaczyna październik, a Półwysep Helski – dobrze ufortyfikowany i zaopatrzony – broni się nadal. Jednak Unrug uznaje, że w tych warunkach dalsza walka byłaby bez nadziejna. Na siebie weźmie decyzję o kapitulacji.

Na rokowania z Niemcami wysłał podwładnych. Po wszystkim odda się w ręce Schmunda.

Odmowa

„Zapomniałeś niemieckiego?” – generał Walter von Unruh stoi osłupiały. Wita

swojego kuzyna Józefa po niemiecku, a ten odpowiada po francusku.

Walter przyjechał go namawiać, by przeszedł do Kriegsmarine. Józef rzuca mu w twarz, że postanowił nie używać niemieckiego.

Innym też nie uda się go namówić do podpisania volkslisty, niemieckiej listy narodowościowej. Za każdym razem odpowiada, że taka propozycja to zniewaga. Uznają go w końcu za „nastawionego wrogo do Rzeszy Niemieckiej”.

„Pan admirał postawił na złego konia” – odcina mu się, na wieść o klęsce Francji, generał Jesko von Puttkamer, komendant obozu w Woldenbergu. Wcześniej Unrug odmówił podania mu ręki. „Gonitwa jeszcze nieskończona” – odpowiada Niemcowi.

Przewożą go z jednego oflagu do drugiego. Przed Woldenbergiem siedział w Nienburgu, Siberbergu i Spittal. Później będą Sandbostel, Colditz, Lubeka i Murnau. Wszędzie trzyma fason. Wobec współjeńców jest uprzejmy, wobec nadzorców – oschły. Raz zrugął niemieckiego podoficera, bo ten wszedł bez pukania do jego pokoju.

W obozie w Colditz nie chce być dłużym mężem zaufania polskich jeńców, bo Niemcy wbrew obietnicom zbyt surowo potraktowali jednego z oficerów. „Jesteście ludźmi niehonorowymi” – mówi komendantowi.

Gdy żąda tłumacza, komendant się dziwi: „Czy pan admirał nie zna niemieckiego?”.

„Nie zawsze” – słyszy w odpowiedzi.

Gdy w odwiedziny przyjedzie żona, spyta najpierw, czy inni oficerowie też dostali pozwolenie na odwiedziny. Usłyszy: „To wyjątek, który zrobiliśmy dla pana admirała”. Odmówi spotkania z żoną.

Amerykanie wyzwolą obóz w Murnau na tydzień przed kapitulacją Rzeszy.

Obczyzna

Biało-czerwona bandera zsuwa się po maszcie, załoga śpiewa „Jeszcze Polska nie zginęła”. Tak to wygląda na ORP „Błyskawica” i na innych okrętach, które Polacy muszą przekazać Royal Navy.

To już rok 1947. Unrug podlega Admiralicji Brytyjskiej. Robotę ma niewdzięczną: likwiduje Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie. Większość żołnierzy jest rozgoryczona, spodziewali się nowej wojny, Zachodu ze Związkiem Sowieckim, a tu każą im się rozbrajać.

Gdy dokończy misję, sam zostaje zdemobilizowany. Anglicy dają mu emeryturę, ale ujmuje się honorem.

– Bo wypominali mu, że w czasie I wojny światowej zatapiał ich okręty – mówi Borowiak. Ponad 60-letni Unrug zostaje pomocnikiem kucharza w londyńskiej restauracji; zarobek nie starcza na utrzymanie rodziny.

Do Polski rządzonej przez komunistów nie ma po co wracać; byłoby to niebezpieczne. Jedzie do Maroka. W Agadirze dawni znajomi z Gdyni mają firmę – były admirał odpowiada za stan techniczny kutra do połowu sardynek i statku do ich transportu. Gdy splajtują, będzie ładował mangan w górach Atlasu i wydawał części zapasowe do ciężarówek.

W kraju komunistyczne sądy skazują na śmierć jego towarzyszy broni. Od strzałów w tył głowy giną przedwojenni komandorzy, którzy w pojałtańskiej Polsce pozostali w wojsku: Stanisław Mieszkowski, Zbigniew Przybyszewski, Jerzy Staniewicz.

Jest po siedemdziesiątce, gdy w 1958 r. opuszcza Afrykę. Z żoną mieszka w Domu Polskim dla emerytów pod francuskim Orleanem. Mają dach nad głową, wikt, ale ani grosza przy duszy. Koledzy z emigracyjnego Stowarzyszenia Marynarki Wojennej zbierają dla nich pieniądze. Po kryjomu – admirał, gdyby się dowiedział, mógłby ich nie przyjąć.

Wciąż jest w ruchu: wozi samochodem zaopatrzenie, jeszcze jako osiemdziesięciolatek jeździ po okolicy motorowerem. Tym ciężiej znosi chorobę – nowotwór przykuje go do łóżka na ostatnie miesiące. Umiera 1 marca 1973 r., w wieku 89 lat.

Testament

„Komuniści moich chłopców pozabijali, nie chcę mieć z nimi nic do czynienia” – powtarzał synowi. Za Polską jednak tę-

sknił. Do końca nie zrzekł się obywatelstwa Rzeczypospolitej.

Borowiak: – Rodzinie zostawił testament: że jego prochy mogą kiedyś pochować na polskiej ziemi, ale pod warunkiem, że wcześniej zostaną zrehabilitowani jego koledzy zamordowani w czasie stalinowskiego terroru.

Na wypełnienie testamentu trzeba będzie czekać prawie pół wieku.

*Wierność sumieniu
Sens ponad klęską
To było nasze
Tego nie wezmą
Jest i zostanie.*

Zegnają go tym wierszem Kazimierz Wierzyński. Pogrzeb odbywa się w Montrésor nad Loarą. Chowają go obok powstańców z 1831 i 1863 r., jak on emigrantów. Na trumnę ktoś sypie ziemię przywiezioną z Oksywii, gdzie we wrześniu 1939 r. zginęły dwa tysiące jego żołnierzy i marynarzy.

Siedem lat później obok niego spocznie żona.

Drugi pogrzeb ma rok temu. W rocznicę kapitulacji Helu ekshumowane szczątki admirała i jego żony zostają złożone na Cmentarzu Marynarki Wojennej w Gdyni. Wnuk Christophe odbiera z rąk prezydenta RP akt pośmiertnej nominacji wiceadmirała Józefa Unruga na stopień admirała floty. „Wierzę, że w niepokojnych czasach – przemawia nad trumną dziadka – podpisałby się pod znanym zdaniem generała de Gaulle’a: »Patriotyzm to kochać swój kraj, nacjonalizm to nienawidzić drugiego«”.

Wcześniej na tym samym cmentarzu pochowano z honorami jego zamordowanych komandorów.

© STANISŁAW ZASADA

Korzystałem z książki Mariusza Borowiaka „Admirał Unrug 1884–1973”.

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 77/19 postępowanie z wniosku Haliny Jerzyńskiej, o stwierdzenie nabycia spadku po Pelagii Hildebrandt, zm. 18 kwietnia 1976 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo własności położonej w Jarocinie zabudowanej nieruchomości o powierzchni ok. 1 ha.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Wystawa „Shared Vision” (Wspólne widzenie), zorganizowana przez artystów i osoby niewidome. Littleton (USA), 2016 r.

INŻYNIERIA ZMYŚŁÓW

Substytucja sensoryczna zmienia życie osób pozbawionych jakiegoś zmysłu. A także sposób, w jaki patrzymy na możliwości mózgu i mechanizmy powstawania świadomych wrażeń.

PAWEŁ GWIAZDZIŃSKI

JEST POŁOWA XX W. WITOLD STARKIEWICZ, warszawski okulista, bierze na warsztat dziwaczne urządzenie zbudowane u schyłku XIX w. przez innego naukowca, Kazimierza Noiszeewskiego. Maszyna, nazwana elektroftalmem, miała służyć jako rodzaj sztucznego zmysłu wzroku dla niewidomych. W jej skład wchodziła fotokomórka, która wysyłała sygnał elektryczny, następnie

przekształcany na sygnał dźwiękowy, co pozwalało niewidomemu rejestrować źródła światła w otoczeniu, dzięki reprezentowaniu ich za pomocą natężenia dźwięku – im bardziej intensywny dźwięk, tym jaśniej.

Starkiewicz zmodyfikował i ulepszył zapomniany nieco wynalazek Noiszeewskiego. Jego wersja posiadała płytkę ze 120 elektrodami, przyczepianymi do

czoła osoby niewidomej. Służyły do reprezentowania informacji o naświetleniu, dzięki stymulacji skóry. Użytkownik mógł np. wykryć ścieżkę, która ma jaśniejszy kolor niż otaczający ją trawnik.

Na krześle dentystycznym

Elektroftalm był pierwszym w historii urządzeniem do substytucji sensorycznej (zmysłowej), czyli kodowania informacji

jednego zmysłu (np. wzroku) na informację dostępną dla innego (np. słuchu czy dotyku). Polscy badacze najwcześniej eksperymentowali z technologią tego typu, jednak substytucja sensoryczna została najbardziej gruntownie przebadana i spopularyzowana przez amerykańskiego naukowca Paula Bacha-y-Rity.

Zbudował on urządzenie nazywane dziś „krzesłem Bacha-y-Rity”. Było to zmodyfikowane krzesło dentystyczne, wyposażone w kamerę podłączoną do matrycy złożonej z 400 elektrod, które stymulowały lędźwie osoby siedzącej. Wzorce stymulacji przypominały obraz przechwycony przez kamerę. Dzięki lepszej rozdzielczości niż w przypadku elektroftalmu matryca pozwalała na reprezentowanie bardziej złożonych obrazów.

Doświadczenie zmysłowe wywołane za pomocą krzesła było dla niektórych użytkowników czymś przełomowym; otwierało na niedostępny wcześniej świat form, kształtów i przestrzeni. Ludzie posługujący się wzrokiem w codziennym życiu są przyzwyczajeni do tego, że rzeczy pojawiają się w całości swojej formy, u osób niewidomych tego rodzaju doświadczenie nie występuje albo jest przy najmniej rozciągnięte w czasie.

Gdy niewidomy chce znaleźć widelec leżący na stole pośród innych sztuczków, musi wyczuć najpierw coś podłużnego, chłodnego i metalowego. Na tym etapie nie wie jeszcze, czego dotknął. Bierze więc sztuczek do ręki i przejeżdża palcem po powierzchni. Dopiero po wykonaniu całej serii tych czynności ma wykonanie poznania całości przedmiotu.

Właśnie z tego powodu, że osoby niewidome skazane są na wykonywanie podobnych rozciągniętych w czasie sekwencji czynności, gdy chcą doświadczyć czegoś „w całości”, zdaniem niektórych filozofów pozbawione są koncepcji przestrzeni albo ich koncepcja przestrzeni jest niesprowadzalna do tej, którą posiadają osoby widzące.

Krzesło Bacha-y-Rity otwierało więc dla osoby niewidomej zupełnie nowy sposób postrzegania rzeczywistości. Początkowo było to silne i wyjątkowe doznanie. Szybko jednak okazało się, że pacjenci, w miarę jak nabierali biegłości w posługiwaniu się krzesłem, coraz mocniej integrowali wrażenia wywołane przez urządzenie ze swoimi pozostałymi doświadczeniami percepcyjnymi.

Widzenie całą skórą

Przykładem takiej integracji jest tzw. dystalna percepcja. Kiedy osoba widząca na coś patrzy, w jej mózgu dochodzi do dekodowania podrażnień komórek światłoczułych siatkówki przez światło odbijane



Prof. Paul Bach-y-Rita (1934–2006)

przez postrzegane obiekty. Nie mamy jednak wrażenia światła laskoczącego ścianę siatkówki, tak jak to odczuwamy wtedy, kiedy światło słoneczne pada na skórę naszej dłoni. Mamy wrażenie obiektu umieszczonego w pewnej odległości przed nami.

Użytkownicy krzesła Bacha-y-Rity najpierw odczuwali laskotanie na plecach, ale wraz z treningiem pojawiało się u nich coraz wyraźniej wrażenie odbierania bodźców pochodzących z odległości. Stymulacja na skórze dawała wrażenie obiektu znajdującego się przed nimi.

Krzesło dentystyczne nie jest oczywiście najwygodniejszym sposobem przeprowadzania substytucji sensorycznej, dlatego wkrótce powstały przenośne formy urządzenia. Przyniosło to nowe, zaskakujące odkrycie. Okazało się, że przemieszczanie matrycy elektrod w inne miejsce na ciele nie zaburzało wytrenowanej wcześniej zdolności rozpoznawania kształtów, o ile użytkownik mógł czuć na skórze wszystkie elektrody. Kiedy nauczymy się „widzieć” skórą, czuły na dekodowanie informacji wizualnej nie jest tylko jej fragment, ale całość.

Odkrycia Bacha-y-Rity dostarczyły dowodów na istnienie zjawiska, które zostało teoretycznie opisane przez neurofizjologa Jerzego Konorskiego w pracy z 1948 r. Chodzi o tzw. neuroplastyczność, czyli zdolność mózgu do strukturalnej i funkcjonalnej reorganizacji. Do czasu odkrycia substytucji sensorycznej pojęcie neuroplastyczności było mało znane, a konsensusiem w psychologii było zało-

żenie, że w mózgach osób dorosłych nie dochodzi już do większych zmian.

Niewidomy fotograf

Zakres kodowania informacji wzrokowych za pośrednictwem skóry jest ograniczony. Niemożliwe jest np. kodowanie koloru ani skali szarości. Użytkownikom problem sprawiały również zachodzące na siebie obiekty, niemożliwe było też widzenie głębi. Dlatego wkrótce zaproponowano bardziej złożone sposoby reprezentowania informacji istotnych dla wzroku. Peter Meijer w 1990 r. stworzył urządzenie zwane The vOICe (OIC w nazwie urządzenia pochodzi od „oh, I see”, czyli „ja widzę!”). The vOICe skanuje obraz z kamery i piksel po pikselu tłumaczy go na dźwięk, tworząc tzw. pejzaż dźwiękowy. Im piksel jaśniejszy, tym głośniejszy dźwięk, a im wyżej znajduje się na obrazie, tym wyższa częstotliwość dźwięku.

Początkowo te pejzaże przypominają niezrozumiały miks szumów, tików i bipów, dźwięków rodem z filmu *science fiction* z lat 60. Jednak po pewnym czasie użytkownicy uczą się wyciągać z nich bardziej złożone informacje.

Pat Fletcher jako 21-letnia dziewczyna była pracownikiem zakładów chemicznych. W wypadku straciła wzrok, jej lewe oko zachowało odrobinę światło-



Okulary VISION-800, wykorzystujące technologię vOICe Petera Meijera

czułości, prawe zostało w całości wypalone. W 1998 r., ponad 20 lat po wypadku, Fletcher po raz pierwszy usłyszała o wynalazku Meijera. Już pierwszy kontakt z urządzeniem był dla niej intrygujący, rozejrzała się po pokoju i zaczęła słyszeć nieregularności powierzchni. Wysokie, podłużne obiekty dawały wysoki dźwięk, po raz pierwszy od 20 lat Pat była w stanie rozpoznać świat wokół siebie bez użycia łaski. Nie był to jednak koniec, jej umiejętności szybko się rozwijały – a w jej umyśle zaczęły pod wpływem urządzenia powstawać obrazy.

⇒ Z początku taki obraz tworzył wrażenie płaskiego hologramu, obrazka 2D wiszącego przed nią. Badani na tym etapie opisują, jak myląca może być dla nich perspektywa. Jedna z użytkowników opisywała np. sytuację, w której miała wrażenie, że oddalający się samochód, na który „patrzyła”, zaczął wjeżdżać pionowo po ścianie wieżowca. Ale „syntetyczny” wzrok i tak pozwalał badanym na niesamowite rzeczy, Fletcher po pewnym czasie wróciła do jazdy rowerem, wkrótce potrafiła rozpoznawać twarze. Pewnego dnia, po około 10 latach korzystania z urządzenia, nastąpił przełom.

Pat sprzątała w kuchni, mając na sobie vOICE. Zmywała naczynia, spojrzała w dół, żeby się upewnić, czy w zlewie nie została woda. Nagle stało się coś niezwykłego, w jednym momencie jej percepcja 2D zmieniła się w 3D! Zobaczyła krawędzie prowadzące w perspektywie na dno zlewu. „Mogłam zajrzeć do pokoju. Ten płaski rysunek ma teraz głębię. Wyczuwam to. Nie mogę ci powiedzieć, co jest po drugiej stronie pokoju, ale mogę powiedzieć, że jest naprzeciwko mnie – opisywała Fletcher. – To jak oglądanie czarno-białego filmu z lat 40. Widzę drzewo od góry do dołu i popękany chodnik”.

Liczba użytkowników vOICE stale rośnie. Jednym z bardziej spektakularnych dowodów możliwości, jakie to urządzenie otwiera, są prace Pranava Lala – niewidomego od urodzenia fotografa.



Pranav Lal, niewidomy fotograf

Maszyna uniwersalna

Badacze szybko zainteresowali się neuronalnym podłożem zjawiska. Okazało się, że osoby korzystające dłuższy czas z urządzeń do substytucji sensorycznej zaczynały używać mózgu w zupełnie inny sposób, niż opisywały to w tamtym czasie podręczniki neuroanatomii.

Już pierwsze badania Pat Fletcher funkcjonalnym rezonansem magnetycznym pokazały, że słuchanie dźwięków z urządzenia, reprezentujących spójny obraz, wywołują u niej aktywację w korze wzrokowej. Co oznacza, że pacjentka „słuchała” dźwięków za pomocą obszaru mózgu, który normalnie odpowiadał za widzenie. Podobne efekty zaobserwowano u użytkowników innych urządzeń do substytucji.

Dalszych dowodów dostarczyły badania z wykorzystaniem metody przezczaszkowej stymulacji magnetycznej (TMS). Jest to metoda, która pozwala na nieinwazyjne i bezpieczne, tymczasowe zakłócenie działania jakiejś sieci neuronal-

nej, dzięki czemu można zbadać jej funkcję. Również jedną z pierwszych badanych poddanych tej metodzie była Fletcher. W jednej z procedur miała rozpoznać kształty wyświetlane na ekranie. Gdy jej kora wzrokowa nie była stymulowana za pomocą TMS, badana miała 75 proc. trafności rozpoznania obiektu. Jednak w próbach, w których jej kora wzrokowa była stymulowana, trafność spadła drastycznie, do 25 proc. Kiedy pole magnetyczne TMS zakłócało korę wzrokową, „wzrok” pacjentki za pomocą urządzenia vOICE pogarszał się coraz bardziej. Jej świat stawał się ciemniejszy, jakby ktoś powoli gasił światła. Jak opisywała, nie było to przyjemne doświadczenie: „Było to dla mnie całkowicie dezorientujące, w moim mózgu... nic nie widziałam. Chciałam płakać, ponieważ myślałam, że zepsuli mi wzrok – to było tak, jakby ktoś zarzucił mi kapтур na głowę”.

Widzenie za pomocą słuchu jest czymś, co wykracza poza zakres wielu klasycznych teorii tłumaczących przetwarzanie informacji wzrokowej. Często odwoływały się one do założenia modularności umysłu. Według tej teorii rozmaite funkcje umysłu opierają się na wyspecjalizowanych obszarach mózgu – np. obszarze kory motorycznej, czuciowej i wzrokowej, które przetwarzają tylko właściwe dla siebie informacje. Podejście takie początkowo potwierdzały zarówno badania neuroobrazowe, jak i studia nad pacjentami, którzy przeszli rozmaite uszkodzenia mózgu (np. dzięki słynnym pacjentom badanym przez Paula Brokę udało się zlokalizować obszar mózgu uznawany za ośrodek produkcji języka).

Dziś, m.in. dzięki badaniom nad substytucją zmysłową, coraz bardziej docenia się zjawisko neuroplastyczności. Zdajemy sobie sprawę, że moduły funkcjonalne nie są w mózgu wyrzeźbione jak w kamieniu. Mogą się rozszerzać, a nawet jeden może zostać zastąpiony przez inny. Mózg nie jest więc układanką wyspecjalizowanych obszarów, ale raczej dynamiczną siecią połączeń, uniwersalną maszyną interpretującą, wyszukującą schematy w sygnałach, które do niego docierają. Dopiero zaczynamy rozumieć granice i możliwości jego plastyczności.

© PAWEŁ GWIAZDZIŃSKI

Autor pracuje w Laboratorium Badań Świadomości C-Lab UJ. Przygotowuje doktorat z filozofii i neuronauki poznawczej.

Ucieleśniony samolot

NIE TYLKO WZROK JEST ZMYŚŁEM, który próbuje się zastąpić cyber-zmysłami.

W 2015 r. Scott Novich i David Eagleman zaprezentowali Vest – urządzenie o wyglądzie niepozornej kamizelki, tłumaczące informacje dźwiękowe na dotyk. Wytwarzane przez nie wibracje kodują za pomocą rozkładu w czasie i przestrzeni nawet bardzo subtelne informacje o otoczeniu dźwiękowym użytkownika. Już po ośmiu godzinach treningu osoby niesłyszące od urodzenia są w stanie precyzyjnie rozpoznawać pojedyncze słowa mówione w języku angielskim. Co ciekawe: użytkownicy nie są w pełni świadomi reguł, według których kodowane są informacje dźwięko-

we. W pewnym sensie uczą się tych reguł całym ciałem, a nie pojęciowo. Dlatego Vest jest używany do eksperymentów z różnego rodzaju ucieleśnionymi interfejsami, tj. takimi, które zamiast reprezentować dane za pomocą wykresów i liczb, pozwalają poczuć całym ciałem istotne dla obsługi urządzenia dane. Dla przykładu: pilot, aby sprawnie obsługiwać samolot, musi przyswoić sobie bardzo dużą ilość konceptualnych danych, które informują go, w jakim stanie jest samolot i jak dostosować sterowanie. Co jednak, gdybyśmy te dane podawali mu przez Vest w czasie rzeczywistym? Eagleman spekuluje, że pozwoliłoby to pilotowi „ucieleśnić” maszynę, a podobna technologia mogłaby znaleźć zastosowanie również w analizie danych giełdowych czy zarządzaniu przestrzeniami magazynowymi. © PG

WOJCIECH

Bonowicz:

Z innego świata



MAGDA WRAZ Z ZESPOŁEM DOWNA DOSTAŁA rzadki dar: niezwykłą językową wynalazczość, która co chwilę wprawia w osłupienie innych. Np. znienacka spyta: „Zakochałaś się z nim?” i dziewczynom, zaskoczonym, płacze się język, bo nie wiedzą, co odpowiedzieć. Albo kogoś, kto próbuje się popisać przed innymi, upomni: „Nie wypierwuszaj się” i upomnianemu od razu robi się wstyd, że tak głupio starał się zwrócić na siebie uwagę.

Magda nie musi się wypierwuszać. I tak zawsze będzie na ustach wszystkich. Nie dlatego, że tego potrzebuje, ale właśnie z powodu owego daru. Jej pamięć zgromadziła mnóstwo sformułowań, powiedzonek i ripost, a Magda sięga po nie, czasem przekształcając, wedle sobie tylko wiadomego klucza. Kiedy idą z Kasią na spacer przez wieś i Kasia nagle powie: „Zobacz, jaka piękna krowa” – a krowa rzeczywiście jest piękna, porośnięta gęstym, jasnym włosiem – to Magda od razu doda: „Taką krowę to każdy by chciał”. A kiedy rozłożeni w pokojach po przyjeździe na obóz zaczynamy troszkę się nudzić, to oznajmi filozoficznie: „Kto się nudzi, ten się lubi”. I to jest prawda, bo jeśli ludzie nie potrafią się ze sobą nudzić, to w ogóle nie potrafią ze sobą być.

Magdzie nicnierobienie niespecjalnie przeszkadza. Obserwuje wtedy otoczenie i od czasu do czasu komentuje. „Co robisz?”, pyta Kasię. „Czytam”. „Ładnie ci w tym czytaniu”. Za to na zabawy ruchowe Magdę namówić trudno. Kiedyś spróbowaliśmy zaciągnąć ją na siatkówkę. Ale gra coś nie bardzo nam wychodziła: wszyscy odbijali niemrawo, jakby od niechcenia. „Normalnie katafalk”, oceniła nas Magda i poszła z powrotem leżeć. Jedyny sport, do którego nie trzeba jej przekonywać, to bule. Chętnie staje do zawodów, bo tu nie trzeba za dużo się ruszać, a oko i rękę ma dobre. Kiedy oglą-

szam wyniki, okazuje się, że Magda wygrała jednym punktem z Pauliną. Komentarz znów jest nietuzinkowy: „Jestem zaskoczona jak Putin”.

Magda ma swoje upodobania. Przyjechał na obóz Darek, który jako klaun odwiedza szpitale i hospicja dziecięce. U nas też się przebrał i wygłupiał: pokazywał fruującą monetę, kielich ze znikającą kulką i książkę, w której strony były raz puste, a raz pełne. Na koniec zaczął nadmuchiwać i skręcać balony. Potrafił z nich skręcić pudła, czapkę, miecz, a na specjalną prośbę Marcina – policyjną pałę. „Co ci zrobić?”, spytał Magdę, gdy wszyscy inni wypowiedzieli już swoje życzenia. „Frytki”, odpowiedziała bez namysłu.

Magdę trudno wyprowadzić z równowagi. Kiedy przebiegam palcami po jej karku i próbuję zaczepić: „Magda, coś ci chodzi po plecach”, nawet się nie porusza, tylko mruczy: „Mmmm, przejdzie”. A kiedy nie ustępuję i ponawiam zaczepkę, upomina: „Nie popuszczaj mnie”. Kiwamy się na huśtawce w ogrodzie, podchodzi gospodyni i żartuje, że chyba będzie brać po dwa złote od korzystających z huśtawki, bo ciągle jest używana. „Nas na to nie stać. Jesteśmy tylko ludźmi”, odpowiada spokojnie Magda. Niepokój ogarnia ją właściwie wyłącznie wtedy, kiedy zbliża się podróż. „Dlaczego nie jesz parówek?”, pytam przy śniadaniu w dniu wyjazdu. „Bo mnie w drodze będzie korcić”, tłumaczy. W pokoju kilka razy otwiera i zamyka walizkę, sprawdzając, czy wszystko spakowała jak należy. A ponieważ w walizce zaciną się zamek, jest to dość denerwujące. „Magda, już nie wytrzymam z tobą”, mówi żartem Małgosia. „Da się jeszcze wytrzymać”, słyszy w odpowiedzi.

Kiedy wracamy z obozu, jeszcze przez wiele tygodni z Kasią i Kingą, z Małgosią i Maćkiem mówimy jej językiem. Mruczymy jak ona w odpowiedzi („Mmmmm, tak”), powtarzamy jej charakterystyczne powiedzonka („Nie popuszczaj mnie, bo się porobię”), próbujemy naśladować celne kontry (nawet nie wiecie, w ilu sytuacjach przydaje się: „Normalnie katafalk”). Poeta Vladimír Holan, który miał córkę z zespołem Downa, Kateřinę, napisał, że aniołowie są skąpi: od czasu do czasu „wetkną palec do raju i dają go nam oblizać”. Ja jednak myślę, że zdarza się to częściej, niż się nam wydaje. Tyle że tam, gdzie są palce aniołów, nas akurat nie ma. Albo jesteśmy, ale patrzymy – niestety – w inną stronę.

©

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, II Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt II Ns 160/18 toczy się z wniosku Skarbu Państwa – Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy, sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Cecylii Stanisławie Drabińskiej, ur. 2 listopada 1895 r. w Warszawie, zm. 14 kwietnia 1967 r. w Warszawie, zamieszkałej przed śmiercią w Warszawie przy ul. Bolecha 62, lok. 3a.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców wyżej wymienionej osoby, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w sądzie i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu spadkowym.

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 403/19/S, z wniosku Krzysztofa Kiszki, przy uczestnictwie Gminy Miejskiej Kraków, o stwierdzenie nabycia spadku po Lidii Wraubek, z d. Palej, c. Eliasza i Aleksandry, ur. 19 kwietnia 1925 r. w miejscowości Sarny, zm. 1 lutego 2017 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałej w Krakowie przy ul. Ciepelińskiego 52/64.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

HOMO I HUMUS

JUSTYNA BARGIELSKA, PIOTR JANICKI:

Możliwe, że całe życie pracujemy na to,
żeby nasza śmierć była dobra dla innych.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

SIĄDZMY DO KOLACJI
Si porozmawiajmy o śmierci – zachęca Michael Hebb. Amerykanin zainicjował światowy ruch Death Over Dinner (O śmierci przy kolacji) i założył organizację non profit o tej nazwie. Napisał też na ten temat książkę, która właśnie ukazuje się w Polsce. Chodzi mu o kolacje, podczas których oswajamy śmierć, dzieląc się doświadczeniami i – przede wszystkim – dyskutując o tym, jak i kiedy chcielibyśmy umrzeć. Mamy do śmierci przygotować siebie i bliskich.

Hebb uruchomił stronę internetową, która służy zainteresowanym inspiracją, filmami i dobrymi radami. Takich kolacji od 2013 r. odbyło się na całym świecie już ponad 100 tysięcy. Do każdej zasiadło od 6 do 10 osób.

Idea zainspirowała nas do przeprowadzenia eksperymentu na dwóch żywych organizmach – nas samych. Staraliśmy się stosować do zaproponowanych przez Hebba scenariuszy, wprzegając nasze poetyckie temperamenty w służbę oswajania nieoswajalnego (Bargielska) i zgłębiania niezgłębianego (Janicki). Z jakim efektem?

PIOTR JANICKI: Bardzo bym chciał, żeby – zanim zaczniemy gadać – każde z nas uhonorowało jakiś posiłek, który najlepiej wpływa na ruch pamięci.

JUSTYNA BARGIELSKA: Nominuję kaszę manną, w obu postaciach, rzadkiej i gęstej, ze wskazaniem na gęstą, gdyż była bardziej wymagającym przeciwnikiem. Kasza manna to smok mojego dzieciństwa, którego trzeba było pokonać, żeby wyjść z wieży. Teraz, kiedy mam umiarkowaną potrzebę wychodzenia z wieży, myślę, że gdyby postawić przede mną talerz kaszy manny, nie byłabym w stanie pokonać tego odruchu: zjadłabym z najwyższym obrzydzeniem i wybiegła. A twoją pamięć co rusza?

PJ: Niesione do pokoju jajko sadzone, które się wyslizguje z salaterki na dywan, a wtenczas dziadek Zyga z fotela mówi o groźbie ze strony ojca, nazywając mnie kaczanem. Przestraszył mnie i jednocześnie uspokoił, bo słowo „kaczan” w jego ustach łączyło w sobie kolor miodu wielokwiatowego z kolorem zapachowej świecy i dodatkowo karty zaproszeniowej na mistrzostwa Polski lekarzy w lekkiej atletyce. Dziadka Zyge pochowaliśmy w piątek, a w niedzielę była moja pierwsza komunia święta i przejście naszej niedużej rodziny od śmietnika do klatki schodowej w ciszy, której brzegi rozpychał niewielki wiatr, i której brzuch rozcinała gromnica. Ta gromnica →

*Porozmawiajmy o śmierci przy kolacji:
Justyna Bargielska i Piotr Janicki*





↳ leżała w łóżku rodziców od mojego chrztu, z czasem na „Tygodnikach Solidarność” i pewnie jeszcze pośród listów ojca do matki, kiedy był w Stanach. Na sam koniec użyłem gromnicy jako świecy w ciemne, zimne noce dojrzewania...

JB: Aha. Co będziesz jadł?

PJ: Myślałem, żeby najpierw poprosić o szklankę wody albo polano ognia, bo autor „Porozmawiajmy o śmierci przy kolacji” łączy zjawisko czterogwiazdkowej biesiady z jej sugerowanymi w książce możliwościami przezwyciężania lęku przed śmiercią. Używa wiertła tak długiego, że przeszedłszy ontologiczną, metafizyczną skorupę rzeczywistości, wwierca się w jej tanatopsychologiczne tkanki. Spróbowałbym zrozumieć ten etap naszego podboju człowieczeństwa, na którym zapiekanie końcówek marchwi pod bursztynową poświatą miałoby w myśleniu o śmierci pomóc bardziej niż zucie wieprzowego jelita w wychodku.

A oto moja propozycja: zamówmy cztery chłodniki z jajkiem i pieczonym ziemniakiem. Ja zjem ziemniaki, a ty resztę. Dorzucam kartę win, bo widzę twoją nietęgą minę.

JB: Mam lepszy pomysł: ja wezmę samą okrasę – dlaczego pominąłeś, że ziemniak jest podawany z okrasą? – i wino, a ty weź resztę. Przewaga, na rzecz zapiekanych marchewek, polega pewnie na tym, że do wychodka chodzi się samemu, a zapiekanie końcówek marchwi to czynność na tyle fikuśna, że zapewne zechcemy się nią przed kimś pochwalić. Hebb nie namawia nas do myślenia, tylko do mówienia, więcej – rozmawiania. Są, wystaw sobie, osoby, które dopiero w trakcie rozmowy dowiadują się, co same na dany temat myślą. Zgadza się z tobą natomiast co do przeczuć, że pewna prostota towarzysząca takiej rozmowie byłaby lepsza: pozwól, że przyjrę się „Kids menu”.

PJ: Twoja czujność co do wychodka jest na miejscu, tylko że przedrostek wy-, poza tym, że wzywa „was”, zadaje też pytanie o to, skąd się biegnie, dajmy na to, czyli skąd się również żyje; a zatem o jakie oceanarium życia pyta! Jak powstała sferyczna zagroda opiekane go ziemniaka, którego zęba użyć, żeby ją prze-rwać i zatopić język w obfitości bulwy?



Najbardziej ekologiczną formą pochówku jest bycie zjedzonym.

A jednocześnie ciężko oczekiwać od współmieszkańców ekosystemu, że cię zjedzą.

To moja druga wątpliwość, pierwsza nie bierze się z domysłów: „każde przeobrażenie zakłada śmierć i ponowne narodziny – pisze Hebb – pomyślmy choćby o jesieni przechodzącej w zimę i zimie zmieniającej się w wiosnę”. Dlaczego więc tylko śmierć?

JB: To jak z tą okrasą: przyjęłam obojętnie chłodnik i opiekany ziemniak, ale dopiero okrasa sprawiła, że zwróciłam uwagę na całość dania. To, co jest przed śmiercią, ma prawo się nam wydawać ziemniakiem, któremu okrasa śmierci nadaje sens.

Wiesz, obfitość, sferyczność, życie są zasadniczo okej, ale to tak jak z tapiokową kulką w *bubble tea*: dopiero jak ją nadgryziesz, zniszczysz, wiesz, po co kupiłeś ten napój. Projektując – bo każda rozmowa o niej jest projektowaniem – swoją śmierć, nadgryzamy kulę życia, wszystko jedno, którym zębem, najlepiej tym, który nam jeszcze pozostał, wydobywając smak. Nie wierzę, że to powiedziałam, czy mogę już prosić o wino?

PJ: Wino, jasne... Już to mam, chyba. Dickens i jego seanse współczucia – co niby innego robiły, jak nie prowadziły nas w górę i w dół po zbutwiałych schodach, które u Hebba leżą nieco pewniej, bo opierając się na zebrach podłogowego ogrzewania. Nowelę o eleganckiej konstrukcji i pięknym tytule „Dzwony, które dzwonią, gdy odchodzi stary rok i nadchodzi nowy” rozpoczyna pytanie o to, kto z nas spał w kościele. Spał w kościele nocą, kiedy wędruje po nim wiatr i w którymś momencie „zdaje się czytać z cicha inskrypcje poświęcone zmarłym”.

Widzisz jakieś podobieństwo? Słyszysz różnicę?

JB: Dickens pisze o tym, jakby samotna noc w kościele była najgorszą rzeczą, jaka się może człowiekowi przytrafić. Mówisz o współczuciu: jasne, że łatwiej je otrzymać w grupie, najchętniej sprofilowanej pod nasze emocjonalne potrzeby. Wejść na tę internetową stronę, która towarzyszy książce Hebba, i zobacz: gdy planujesz kolację o śmierci i potrzebujesz merytorycznego wsparcia, jak ją poprowadzić, dostajesz do wyboru cały przekrój społeczny twoich ewentualnych współbiesiadników – dzieci, rodziców, dziadków, współpracowników, nieznajomych. Jest nawet opcja „not sure yet”.

Ale nie ma tam opcji „zrób to sam”, przygotuj dla samego siebie ucho słonia na grzance i sprawdź, co ty sam myślisz i jak projektujesz swój własny koniec. Wynikałoby z tego, że chodzenie po dickensowskich schodach, o których wspominałeś, jest integralnie związane z tego rodzaju rozmową. Ale czy naprawdę jest? Szczepie mówiąc, nie wiem.

Samotna noc w kościele to sytuacja, w której nie dostaniemy współczucia znikąd, w zamian jednak dostając najpewniej wiedzę o tym, że nie jesteśmy tym, kim sądziliśmy, że jesteśmy. Dickens wie, że jest to wyzwanie, na które nie każdego stać, bo pisze o zgodzie: „niewielu (...) znalazłoby się ludzi, którzy zgodziliby się spać w kościele”. Szkopuł w tym, że o zgodę na tę noc ciemną będziemy uprzejmie proszeni tylko do pewnego momentu, potem ona po prostu nadejdzie. I wtedy czy właśnie współczucie będzie poręczą, której zapagniemy się, idąc po tych schodach, trzymać?

PJ: Nie dostać współczucia w kościele, *mon dieu*. No, ale przypomniałaś mi inne

zbutwiały przedmioty: poręcze w jednej ze sztuk Shawa. Nie ma ich, ponieważ gdyby zarządca nieruchomości naprawiał klatkę, ubogim mieszkańcom podsuwałby tym samym opał; opalaliby poręczami swoje zmarłe kwatery.

Zaznaczam opcję „*not sure yet*”, bo czuję, jakbym przepędzał muchę: trzymasz w prawej dłoni łapkę, a wtenczas mucha siada na prawym ramieniu. Tak jest, kiedy oswajam śmierć: ta przekłeta mucha wróci, czy jutro, czy na wiosnę, ale będzie wracała, dopóki nie pojmę – nie tyle własnej, co w ogóle – nieśmiertelności. I tak oto luzuje się śruba na gwincie współczucia. To zresztą kwestia czysto psychologiczna. Hebb pisze: „obrzeź pogrzebowy, jak sama śmierć, to silna mieszanina czułości i szorstkości”, co cytuję w świętym przekonaniu, że stany psychiczne się zerują czy kasują, a na planie widnieje sam ślad ruchu.

Mogłaś od razu powiedzieć, że chodzi ci o rytuały. Natychmiast opowiedziałbym o poceniu się żółtego sera na lipcowym chlebie, jego mięknięciu i pogłębianiu własnej żółtości, o tym wszystkim, co sprawia, że staje się moim osobistym serem... Jak widzisz swoje pośmiertne ciało?

JB: Najbardziej ekologiczną formą pochówku jest bycie zjedzonym. A jednocześnie ogromnie ciężko oczekiwać od współmieszkańców ekosystemu, że cię zjedzą w procesie innym niż tradycyjne pochowanie w trumnie do murowanej pieczary i wiadomo, że wtedy raczej nie będą to lwy czy tygrysy, które miałyby z ciebie największy pożytek. Strój z grzybów jest opcją ekscentryczną, nie sądzę, że osiągalną dla tych, którzy będą mnie chować, a wiadomo, że jeśli chodzi o moje pośmiertne ciało, przede wszystkim chciałabym nie robić jego dysponentom kłopotu. Do niedawna myślałam, że dobrym pomysłem jest oddać swoje zwłoki na cele medyczne. Obecnie zaczynam sądzić, że dysponent moich zwłok, moi bliscy powinni mieć udział w tej decyzji, a koncepcja niebicia pochowaną na razie nie spotyka się z ich zrozumieniem.

Z drugiej strony ogromnie mnie ujmują te tematyczne trumny, o których pisze Hebb. Sama mam doświadczenie trumien dziecięcych, ozdobionych naklejkami czy pomalowanymi plakatówkami, i nie widzę powodu, dla którego u schyłku życia nie miałibyśmy zasługiwać na podobny komfort: świadomości,



**Można próbować objąć to,
czym jesteśmy, przyjmować
jakieś założenia,**

lecz ja nie mam
wystarczających danych,
by oglądać życie, jakby było
filmem przyrodniczym
o kubańskich namorzynach.

że zaznamy naszą odrębność jeszcze choć przez moment po tym, jak już nas nie będzie.

A z trzeciej strony oczywiście chciałyby po prostu zniknąć. A ty?

PJ: Dawniej pytałem, czy możliwe jest samospalenie dokonane ostatkiem sił, a zatem czy możliwa jest sekwencja: wzniesiem ogień, uśmiecham się, nie czuję i płonę. Później zacząłem powątpiewać w zwrot, punkt zaczepienia i w sam moduł, i dziś w ogóle nie widzę się po śmierci, nie siedząc na wprost lodówki pełnej miętowych ciastek z czuprynami rokitnikowego kremu.

Popieram Hebbowski apel o „odzyskanie pieczy nad naszym umieraniem”, przy czym aktywnością tą obdzieliłbym życie, po prostu. Nieustanne oliwienie współpracujących w wykonywaniu zmiany maszyn jest takie różne od trącącego nihilizmem sprzątania po życiu, więc pomysły postspolecznego ruchu opisanego w książce traktuję z powagą, nie znajdując zrozumienia dla zjawie-

ska śmierci. A dokładniej – nadawania kształtu czemuś wstrząsająco niemożliwemu (i po uprzednim odrzuceniu tradycji myślenia o nim, odczuwania go w zadany sposób).

Czy w takim przypadku należałoby mi pomóc? Nie za dużo wokoło pomocy? Zastanawiasz się może, czy powinnaś pomóc mi uporać się z dwoma nietkniętymi chłodnikami?

JB: Jeśli poprosisz.

To ciekawe, że mówisz o nadawaniu kształtu. W serialu „The Affair”, który kazałeś mi obejrzeć, ogromnie podobała mi się scena, jak były małżonki uciekały z urną z prochami byłej żony ze zorganizowanej przez jej matkę plażowej ceremonii pogrzebowej: śmiały się płacząc. Mężczyzna, który biegnie, jedną ręką przyskakiując do siebie sporą urnę z różowego kwarcu, to widok, który każe mi się zastanowić, dla kogo właściwie umieramy.

Kogo obejmie ta piecza nad naszym umieraniem, którą mielibyśmy odzyskać dzięki rozmawianiu o śmierci, dzięki projektowaniu ceremoniałów, dzięki porządkowaniu, jak to się ładnie mówi, spraw? Wychodzi mi, że to jest dla nas okazja do ostatniego aktu altruizmu. Czy ty mi mówisz, że całe życie pracujemy na dobrą śmierć? Niby tak, a jednak nie: Dobry Łotr pewnie przez moment nie zastanawiał się nad kwestiami ostatecznymi, a jednak w ostatnim kwadransie życia cholernie mu się poszczęściło. Jemu, wiesz – osobście. Natomiast możliwe, że całe życie pracujemy na to, żeby nasza śmierć była dobra dla innych.

PJ: Jeżeli potraktujemy życie bliskiej nam osoby jako cząstkę nienależącą do nas, jakkolwiek przedmiot jako cząstkę nienależącą do nas, wpiszemy w nią możliwość straty i nasz żal za nią. Jeżeli jednak uznamy, że to nasza „część”, chociaż należałoby uciekać od abstrakcyjnych pojęć na rzecz obrazów, obrazu w rodzaju kropli nad powierzchnią wody – życie bliskiej nam osoby jako kroplę oddzieloną na мгновение ponad tym wszystkim, czym jesteśmy jako wszechświat. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

JB: Rozumiem, nie masz racji. Po pierwsze myląc potrzebę dostrzeżenia i zachowania sensu w życiu z pożądaniem, w dodatku niepotrzebnie deprecjonując to drugie. Sądzę też, że rozpaczamy raczej →

→ nad utratą tego, co stało się częścią nas, a nie tego, co jest całkowicie od nas oddzielne, dlatego zresztą ten mechanizm – wchodzenia w związki z ludźmi, zwierzętami czy przyrodą nieożywioną – jest taki bohaterski. To nawet nie jest hazard: strata jest pewna.

Podziwiam kroplę wody nad powierzchnią wody, podziwiam ludzkie zdolności percepcyjne, które sprawiają, że niekiedy mgnienie oka trwa tak długo, ale gdy kropla połączy się z morzem, nie odczuje żalu; nie za kroplą, jeśli już, to za uczuciem, które we mnie wzbudziła.

PJ: Posłuchaj: został jeden chłdnik, już jest ciepły – nie dam się wciągnąć w batalię. Karmiczne powonienie nie pozwala mi odróżnić pożądania od dostrzegania, czuję jeden, stary, znany zapach, podobnie jak każe mi odrzucać nieskończenie wiele razy w każdym ułamku sekundy rachunek prawdopodobieństwa z jego kategorią straty.

Można próbować objąć to, czym jesteśmy, możemy przyjmować jakieś założenia, że to a tamto tu a tam ma swoje zawiązanie, lecz ja nie mam wystarczających danych, by oglądać życie, jakby było filmem przyrodniczym o kubańskich namorzynach. Hebb pyta ustami jednej ze swoich bohaterek o mięso w celofanie; podaje w wątpliwość mechanizm powstałego w ten sposób jedzenia, lecz dalej zastanawia się, czy aby cywilizacja ludzka nie po to powstała i rozwinęła się, żeby na Ziemi pojawił się plastik; wszystkie etapy jej rozwoju sobie podporządkowując. Myślenie odświeżone, zdehumanizowane, to jego pragnę.

JB: Słyszałeś o deserach? Ludzie je jedzą; nie bardzo wyobrażam sobie wyjście stąd bez spróbowania sękacza. Nie żebym lubiła sękacz, rytualny może być T-bone, nie ciasto, ale zadano sobie trud upieczenia go i jest to przedstawienie, w którym musimy odegrać swoją rolę.

Dehumanizacja, w której kluczową rolę odgrywa plastik, nie ogranicza się tylko do sfery intelektualnej: pięć gramów plastiku, tyle zjadamy w ciągu tygodnia. Czyli tyle co karta kredytowa. Pozwolił się na to, żeby plastik był do słownie wszędzie, uczyniliśmy go częścią łańcucha pokarmowego w sposób całkowicie bezrefleksyjny. Chorowite dzieci Marii Leszczyńskiej, żony

Ludwika XV, miały być podkarmiane przez dwórki ziemią z cmentarza świętego Medarda, bo na grobach dochodziło do cudownych ozdrowień. Geofagia, mówi się, może chronić człowieka przed pasożytami, a skłonne są do niej głównie kobiety we wczesnej ciąży i dzieci przed okresem dojrzewania, czyli osobniki wymagające szczególnej ochrony. Gdybyś przylapał córkę na jedzeniu ziemi, nie byłbyś zaniepokojony? Tymczasem pozwalasz jej tydzień w tydzień zjeść kartę kredytową. Czy to jest dehumanizacja, której pragniesz?

Jedna z bohaterek Hebba opowiada o tym, dlaczego chce być skremowana: bo marzy jej się po śmierci „być tak jakby wszędzie”, a rozsypanie jej prochów w miejscach, które kochała, wydaje jej się godną namiastką tego boskiego stanu. Tymczasem w wielu krajach prawo pozwala być wszędzie plastikowi, ale już nie ludzkim prochom.

PJ: Homo i humus. Jakże miałbym być zaniepokojony, że moje dziecko chłopce wprost z ust naszej niskiej żywicieli? Dehumanitarny zeskok z tęczy humanizmu i samostrącenie z jego grzbietu jednorożca; no cóż, powiedziałeś zatem najważniejszą rzecz, dodatkowo dając mi możliwość wyrażenia zdumienia na wieść o człowieku, któremu mało za życia doznanej miłości i każe innym parać się dilerką prochów po sobie: to był w końcu czy nie jest, kochał czy nie kocha? Boskim stanem jest bycie, boskie są bycia sęki nie w tych miejscach, które wskażemy palcem, a w tych, w których ono nacieka, nacieka jego sok. Sękacz.

© Rozmawiali

JUSTYNA BARGIELSKA I PIOTR JANICKI

JUSTYNA BARGIELSKA jest pisarką i poetką. Laureatka Nagrody Literackiej Gdynia w 2010 r. Właśnie ukazała się jej książka „Dziecko z darów”.

PIOTR JANICKI jest poetą. Laureat Nagrody Literackiej Gdynia w 2015 r.



Michael Hebb
**POROZMAWIAJMY
O ŚMIERCI PRZY
KOLACJI**, przeł.
Magdalena Koziej,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2019.

Wyklęty

PAULINA MAŁOCHLEB

**Czarni są dla niego
komunistami, biali bronią
demokratycznego porządku.
Nie widzi tego, że czarni walczą
z dyskryminacją rasową,
sprzeciwiają się kolonialnej
niesprawiedliwości.**

JANUSZ WALUŚ – ZAWODOWY KIEROWCA tira, emigrant z Polski, w 1993 r. zamordował z zimną krwią z powodów politycznych Chrisa Haniego, jednego z najważniejszych polityków Republiki Południowej Afryki. Pewien działacz partii konserwatywnej udostępnił mu adres ofiary i pistolet z tłumikiem. Człowiek, który zupełnie spokojnie żył w Polsce, na emigracji dopuścił się zbrodni.

Mordy

Kiedy myślimy o zniesieniu apartheidu w RPA, rzadko przychodzi nam do głowy polski kontekst tego przewrotu. To jego historię odkrywa w swojej najnowszej książce reporterskiej Cezary Łazarewicz „Nie osobistego. Sprawa Janusza Waluśa”.

W jego dorobku to kolejna opowieść łącząca morderstwo i proces sądowy. Autor poszukuje historii przestępstw, w których wątki kryminalne łączą się z politycznymi, czysta przemoc stanowi pochodną systemu politycznego. Tak było w jego wcześniejszych książkach – „Elegancki morderca” opowiadał o Władysławie Mazurkiewicz, podszywanym się pod pracownika UB, straszącego potencjalnych świadków powiązaniami z wyższymi czynnikami. Na początku lat 50. w Polsce Mazurkiewicz budził strach. Długo zwodził milicję i prokuraturę, motal w śledztwie, posługując się ciągle tajemniczymi koneksjami.

W „Żeby nie było śladów”, nagrodzonym Nike reportażu o zabójstwie Grzegorza Przemyska, przemoc zdarza się na skutek zatrzymania maturzystów przez ZOMO. Nie doszłoby do niej jednak, gdyby nie przyzwolenie władzy, a nawet



JAREK PRASZKIEWICZ / FORUM

Janusz Waluś na transparenecie narodowców, Kraków, 28 lutego 2018 r.

nakaz stosowania przemocy wobec aresztowanych przeciwników politycznych.

Wątek przemocy rozszerza się i komplikuje w „Koronkowej robocie”, opowieści o sprawie Gorgonowej. Łazarewicz bowiem przekonany jest o winie Rity Gorgon, ale jednocześnie pokazuje, jak fatalna pozycja kobiety w społeczeństwie dwudziestolecia wywołuje jej desperację. Gorgonowa nie ma szans na rynku pracy, w rodzinie swojego pracodawcy jest kochanką i służącą jednocześnie. Nie ma więc żadnych praw, syn z legalnego związku został odebrany przez teściów, na horyzoncie majaczy rozstanie z kochankiem i utrata córki.

Podobny mechanizm przedstawienia przemocy jako wypadkowej różnych czynników społecznych pojawia się w „Nic osobistego”: Janusz Waluś wyjeżdża z Polski jeszcze komunistycznej, choć nie ma na koncie specjalnie bolesnych zdarzeń z systemem. Osiada w RPA, podejmuje pracę fizyczną, żyje sam. Napięcie rasowe interpretuje w porządku, jaki przywiózł ze sobą z Europy: czarni są komunistami, biali bronią demokratycznego porządku. Szybko staje po stronie Burów, potomków białych osadników, utożsamia się z nimi, choć

mieszka w RPA stosunkowo krótko. Nie widzi tego, że czarni walczą z rasową dyskryminacją, sprzeciwiają się kolonialnej niesprawiedliwości.

U Łazarewicza Waluś jest impregnowany na lawinowo postępujące zmiany i jednocześnie szuka dla siebie uszlachetniającego kontekstu: jest jak komandos, który zabiłby Hitlera w 1933 r. i ocalał świat przed II wojną. Sam zgłasza się do Clive’a Derby’ego Lewisa, jednego z członków Partii Konserwatywnej. Sądzi, że zamach dokonany na czarnym polityku doprowadzi do zamieszek, a te zmuszą rząd prezydenta Frederika de Klerka do ostrej reakcji, zatrzymają postępujący rozpad rządu i stopniowe oddawanie władzy. Chrisa Haniego uznają z Lewisem za szczególnie niebezpiecznego, bo ten ma przeszkolenie wojskowe i stoi na czele militarnej organizacji Umkhonto we Sizwe (Włóczęgi Narodu). Zabija Haniego przed jego domem, na oczach jednej z córek, odjeżdża i zaraz zostaje zatrzymany.

Wykłęty

Łazarewicz spotkał się z Walusiem w południowoafrykańskim więzieniu. W reportażu precyzyjnie rekonstruuje jego przebiegi myślowe, wyobrażenia i prze-

konania, opowiada o dniu w celi, narzuconej samodyscyplinie, która ma go ocalić od upadku i depresji.

Choć akcja reportażu rozgrywa się w RPA, to jest to – jak inne opisywane przez Łazarewicza historie – opowieść o Polsce. Bo Waluś osadzony w więzieniu, skazany na dożywocie, pielęgnujący wiarę katolicką w wersji przedsoborowej, uprawiający zupełnie nieświadomy rasizm (ciągle powtarza, że zabił Haniego z powodów światopoglądowych, a nie rasowych), bardzo szybko staje się bohaterem polskich narodowców i neopogan. Burowie, czczący rocznicę bitwy, w której osadnicy z Europy wymordowali Zulusów, niewiele różnią się tu od polskich narodowców, wysyłających Walusiowi kartki świąteczne do więzienia. Neopoganie domagający się przywrócenia kultu boga Światowita pikietują w sprawie uwolnienia Walusia, uznając w nim bohatera walki o prawa białej rasy. Sympatia i podziw dla Walusia – co wyraźnie mówi Łazarewicz – łączy różne grupy, nie tylko chłopaków ze środowisk dresiar- skich i kibicowskich. Jego wielkimi orędownikami są pracownicy naukowci, nauczyciele, redaktorzy, historycy z IPN-u, organizujący sesje pod tytułem „Czy →

→ Janusz Waluś jest ostatnim żołnierzem wyklętym?”.

Łazarewicz zawsze pociągają paradoksy prawa, w jego reportażach proces oraz reakcje społeczne na zachowanie oskarżonych zamieniają się w opowieść o spektaklu, bo tylko tak można przedstawić napięcie między istniejącymi przepisami, niezawisłością sali sądowej i gorącą opinią publiczną. Spektakl sądowy w „Nic osobistego” odbywa się dwa razy: najpierw gdy Waluś wraz z Lewisem oczekują na wyrok – wszyscy domagają się kary śmierci, chcą zobaczyć upokorzonego mordercę, czekają na jego przerażenie, błaganie o łaskę. Łazarewicz zderza furię społeczną, pragnienie zemsty, wymierzenia kary oraz pogardę Walusia, który nie chce się ukorzyć – odmawia zabrania głosu przed sądem. „To przecież nie było nic osobistego” – tłumaczy. Łazarewicz zamienia się wtedy w scenografa, przyglądającego się dekoracjom, badającego tło spektaklu. Zmiany polityczne, umacnianie władzy przez Nelsona Mandelę stanowią kontekst dla dramatycznego procesu i wpływają na atmosferę sali sądowej, szanse na wysokość wyroku.

Waluś i Lewis są pierwszymi białymi skazanymi na śmierć za zabójstwo czarnego, takiego wyroku prawo RPA nie odnotowało jeszcze nigdy. I znów Łazarewicz podkreśla paradoks: obaj oskarżeni pogardzają prezydentem de Klerkiem, uważając go za polityka słabego, miękkiego. Ale to jednak de Klerk w 1989 r. zawieszają wykonywanie wyroków śmierci. Po raz drugi ten spektakl rozegra się wtedy, gdy Waluś i Lewis w 1996 r. napiszą wniosek do Komisji Prawdy i Pojednania o objęcie ich amnestią. Próbuje udowodnić, że zabójstwo Haniego było aktem dokonany w czasie wojny. Chce się włączyć w szeroki nurt rozliczania apartheidu, bo ta komisja ma za zadanie ujawnienie zbrodni, jakich dokonywały służby specjalne oraz Włócznie Narodu.

Okazuje się jednak, że najważniejsze w procesie zawsze są dekoracje. Komisja przesłuchuje, rozlicza i skazuje na 212 lat więzienia Eugene’a de Kocka, szefa jednostki specjalnej odpowiedzialnej za polityczne mordy. De Kock wychodzi na wolność, nie wiadomo jednak dokładnie kiedy, ponieważ sąd informując o ulaskawieniu, utajnił jednocześnie datę zwolnienia go z więzienia. Waluś pozostaje

W tle historii Łazarewicza zawsze pojawia się rodzina.

Destrukcyjny wpływ rodziców na dzieci, zamknięcie im życiowych wyborów.

w celi, bo nie potrafi udowodnić, że działał na zlecenie Partii Konserwatywnej.

Dorośli i dzieci

W tle historii Łazarewicza zawsze pojawia się rodzina – destrukcyjny wpływ rodziców na życie dzieci, zamknięcie im życiowych wyborów, uwikłanie w zdarzenia, na które nie mają żadnego wpływu – jego druga obsesja, wątek przypominający tragizm z antycznych sztuk teatralnych. Ujawnia się ona dzięki temu, że Łazarewicz sięga daleko poza scenę zbrodni i salę sądową.

W „Żeby nie było śladów”, reportażu napisanym z punktu widzenia ojca Grzegorza Przemyskiego, pokazywał historię działalności opozycyjnej Barbary Sadowskiej, jej artystyczny styl życia i środowisko, w którym się obracała. Siegał w ten sposób do tezy mówiącej, że Przymek został zamordowany z powodu solidarnościowej aktywności matki, jako rodzaj przestrogi dla innych i kary dla niej. Choć teza ta nie znajduje potwierdzenia w jego opowieści, to cała historia rodzinna jasno pokazuje, że Grzegorz nie mógł wyrosnąć na chłopaka potulnego – musiał stawiać się w czasie wylegitymowania i na komisaracie. Łazarewicz nie uznaje wcale, by ta buntownicza postawa uzasadniała dramatyczną śmierć, ale w ramach tego fatalnego splotu okoliczności opór przyczynił się do agresji zomowców. Bo rządzą oni, chłopcy z prowincji, wychowani w poszanowaniu władzy, wstępujący do ZOMO w ramach awansu klasowego.

Taki sam fatalizm losu podkreśla Łazarewicz w opowieści o Gorgonowej: jej córka urodzona w czasie romansu z architektem Zarembą uniknęła społecznej anatemy, bo ojciec zmienił nazwisko i chronił córkę przed domysłami osób postronnych. Całe odium z powodu pokrewieństwa poniosła druga, nieuznana już przez niego córka Ewa, urodzona w więzieniu, po procesie. Wychowana w siero-

cińcu, nigdy przez matkę nieodnaleziona, żyła w jej cieniu, wyrzucana z pracy i sekowana przez otoczenie jako córka Gorgonowej.

Motyw determinacji, fatalnego spiętrzenia zdarzeń powraca i w „Nic osobistego”: córka Walusia, porzucona przez ojca opuszczającego Polskę, nie ma szans na normalny związek z nim. Gdy ma 14 lat, międzynarodowi dziennikarze najeżdżają Radom w poszukiwaniu jej i matki, chcą zrobić materiał o mordercy słynnego polityka. Córki zamordowanego Haniego także nie mają szans na normalne życie: jedna umiera z powodu przedawkowania narkotyków, druga zmagając się z nałogami, ale pisze książkę o żałobie po śmierci ojca. Odwiedza Walusia w więzieniu i wielokrotnie z nim rozmawia. W końcu nawiązuje się między nimi dziwna więź, która sprawia, że morderca jej ojca dzwoni do niej co roku z życzeniami urodzinowymi.

Dzieci okazują się tu resztkami, jakie rzeka historii wyrzuca na brzeg. Od najmłodszych lat noszą piętno odziedziczone po rolach i działaniach rodziców, muszą swoim życiem płacić cenę za ich wybory. Dorośli budują tutaj relatywny system moralności, uważają, że istnieje jakiś wyższy cel usprawiedliwiający morderstwo, szukają uzasadnień historycznych. Dzieci nie mają wątpliwości, że granice moralności są jasno wytyczone. Córka Haniego i zarazem świadek jego śmierci mówi: „Mam czternaście lat i wiem, co jest dobre, a co złe. To, co zrobili, było złem”.

Prawda historyczna, polityczna tożsamość, rozgrywanie pamięci historycznej, uprawiane przez Walusia i jego zwolenników, zderzają się z pamięcią domową i osobistą żałobą. Jedna podgryza drugą, walczą o głos, o rację. Łazarewicz nigdy nie wybiera pozy trybuna ludowego, nie daje wykładu wartości, nie nakazuje opamiętania. Wbijają wzrok w ziemię. Czasem to najlepsza strategia reporterska.

© PAULINA MAŁOCHLEB



Cezary Łazarewicz
NIC OSOBISTEGO.
SPRAWA JANUSZA
WALUSIA,
Post Factum, Katowice
2019

Ratujemy ten okręt

ANITA PIOTROWSKA Z GDYNI

Liczba 44 w polskiej wyobraźni zbiorowej przywołuje romantyczne nadzieje na zmianę. Albo odwrotnie: odsyła pamięcią do wielkiej katastrofy. A jakie skojarzenia wywołuje w historii Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych?

TEGOROCZNA EDYCJA UJAWNIŁA NA NIEspotykaną dotąd skalę wszystkie choroby toczące rodzimą kinematografię i jej flagowe święto. Największa patologia to oczywiście próby upolitycznienia festiwalowego programu, a tym samym całkiem udana próba jego destabilizacji. Przy okazji jednak dały o sobie znać jeszcze inne, przez lata zaniedbywane dolegliwości, które uleczyć może już tylko gruntowna reforma gdyńskiej imprezy. Przede wszystkim naprawy wymaga jej wewnętrzny „system immunologiczny”, bo osłabiony, wewnętrznie rozbity organizm, w dodatku unikający rzetelnej diagnozy, o wiele łatwiej zainfekować.

Solidny obywatel

A wydawało się, że najgorsze już za nami. Kiedy organizatorzy (czytaj: urzędnicy) zaczęli majstrować przy programie i wyrzucili z konkursu mocne tytuły rekomendowane przez zespół złożony z filmowców, by następnie pod presją środowiska łaskawie je przywrócić, było to dopiero preludium do festiwalowych rozsad. Czy to przypadek, że odrzucone filmy: „Supernova” Bartosza Kruhlika, „Interior” Marka Lechkiego czy opisywana już na tych łamach „Mowa ptaków” Xawerego Żuławskiego okazały się dziełami gniewnymi i antysystemowymi w wymowie, zanurzonymi w bardzo współczesnej Polsce? Nawet gdyby był w tym zbieg okoliczności, to sam festiwal pozbawiał innych złudzeń. Mimo

wielu interesujących tytułów, upłynął przecież pod znakiem afery wokół „Solid Gold”.

Luźno inspirowany głośną sprawą piramidy finansowej z Trójmiasta, współprodukowany i wzięty do dystrybucji przez TVP, film Jacka Bromskiego miał być i mógł być orężem wymierzonym w opozycję podczas kampanii wyborczej. Lecz choć ostatecznie trafi do kin 18 października, czyli już po wyborach, telewizja nie zaakceptowała wersji reżyserskiej – bo ponoć za długa i pozbawiona kluczowej propagandowo sceny – i w drugim dniu festiwalu wycofała film z konkursu. Ucierpiała na tym nie tylko organizacja, ale i powaga całego wydarzenia.

Kiedy na dzień przed zakończeniem festiwalu „Solid Gold” został niespodziewanie przywrócony, organizatorom udało się częściowo zażegnać kryzys, nie zmyło to jednak przykrego wrażenia, że trwa właśnie prawdziwa wojna polsko-polska o Gdynię i zarazem o przyszły kształt polskiego kina. I to nie tylko na linii polityczni decydenci kontra twórcy. Ci ostatni podzielili się bowiem tak bardzo, że nad festiwalem zawisła groźba bojkotu i stworzenia w przyszłym roku alternatywnej imprezy – niezależnej zarówno od doraźnych nacisków partyjnych, jak i tych towarzyskich, utrwalanych przez lata.

Dlatego też nagroda główna, nawet jeśli należała się ciekawszemu pod względem artystycznym filmowi „Boże Ciało” Jana Komasy, nabrała charakteru symbolicznego. Złote Lwy dla „Obywatela Jonesa”



Agnieszka Holland z ekipą nagrodzonego Złotymi Lwami filmu „Obywatel Jones”, Gdynia, 21 września 2019 r.

Agnieszki Holland to ukłon w stronę superprofesjonalnego kina, które w historycznym kostiumie rzuca wyzwanie nam, współczesnym. Odpominając postać Garetha Jonesa, niezłomnego reportera z Walii, walczącego o prawdę na temat ukraińskiego Hołodomoru, film idealnie wpisuje się w obecny czas, biorąc pod uwagę chociażby projekty naszych władz dotyczące regulacji zawodu dziennikarza. Odyseja bohatera pośród chłodu i głodu, punktowana minimalistyczną muzyką Antoniego Komasy-Łazarkiewicza, to nie tyle ostrzeżenie przed jakąś nową formą stalinizmu czy inżynierii społecznej, ile raczej pytanie o to, jaka jest cena odwagi w świecie wypierającym niewygodną prawdę w imię rozmaicie rozumianych interesów: politycznych, ekonomicznych, medialnych.

Supernowy patriotyzm

Jak przystało na festiwal z liczbą „czterdzieści i cztery”, niemal każdy tytuł prezentowany w konkursie Polską – i Gdynią – zdawał się być podszyty. Nie mam tu na myśli filmów z definicji patriotycznych, jak „Legiony” Dariusza Gajewskiego, „Piłsudski” Michała Rosy czy „Kurier” Władysława Pasikowskiego. Młodsze pokolenie filmowców zdaje się inaczej rozumieć patriotyzm. Chętniej opowiada o Polsce dzisiejszej, „zza siódmej między”, tam poszukując odpowiedzi na najważniejsze pytania.

W „Supernovej” tragiczny wypadek na wiejskiej drodze w pewien niedzielny →

→ poranek uruchamia coś więcej niż spirale emocji z udziałem krewnych ofiar, policjantów, miejscowych gapiów i tchórzliwego sprawcy w drogim aucie na warszawskich numerach. Zachowując jedność czasu, miejsca, akcji i nadając jej niemal dokumentalną fakturę, film Kruhlika (zasłużona nagroda za debiut) opowiada o różnych Polskach, zderzonych ze sobą przez przypadek.

Albowiem ten pozornie skromny obraz każdą minutą zyskuje coraz większe rozpostarcie – psychologiczne, społeczne, metafizyczne. Równocześnie na naszych oczach dokonuje się stopniowa implozja świata opartego na kłamstwie, nadużyciach i arogancji władzy. Toczą ze sobą walkę nagie instynkty i skomplikowane uczucia. A wszystko to bez cienia późnej „kieślowszczyzny”, często uprawianej w tego typu kinie – bez fałszu, konwencjonalnych podpórek, gotowych frazesów werbalnych czy wizualnych, za to po aptekarsku odmierzone. Przypomnijmy raz jeszcze: tego filmu miało nie być w gdyńskim konkursie.

Polski ciało

Z podobnej próby zobaczenia i zrozumienia polskiej prowincji zrodziło się wspomniane już „Boże Ciało”, niewątpliwie najlepszy tytuł tegorocznego festiwalu. Komasa pogłębia to, co już zdążył musnąć Kruhlik, który zatrzymał się na skraju wsi. Twórca „Sali samobójców” i „Miaśta 44” (jakże ciekawą drogę przebył od tamtych filmów) w oparciu o scenariusz, a wcześniej reportaż Mateusza Pacewicz, którego bohaterem był „przebrany ksiądz”, wkracza w sam środek wiejskiej społeczności i zarazem w sam środek polskiego katolicyzmu. Może nawet w samą istotę chrześcijaństwa w ogóle. I znowu – bez filozoficznych protez, trzymając się konkretnie, mówiąc tonem precyzyjnym i czystym.

„Sztuka będzie albo niezależna, albo nie będzie jej wcale”

– mówiono w Gdyni.

Słowa wiceministra kultury o szacunku obecnej władzy dla filmowców brzmiały jak kiepski żart.

Hipnotyzujący Bartosz Bielenia tylko na pozór przypomina charyzmatycznego księdza zagranego w spektaklu „Wesele” Jana Klaty. Po wyjściu z poprawczaka Daniel zaczyna udawać kapłana, bo kryminalna przeszłość uniemożliwia mu wstąpienie do seminarium, choć chłopak odczuwa silne powołanie. W małej, lecz mocno traumatyzowanej i zapiekłej w swoim gniewie społeczności (w wypadku samochodowym zginęło niedawno sześć młodych ludzi) staje się duszpasterzem w pełnym tego słowa znaczeniu. Ale jak długo uda mu się ukryć mistyfikację?

Nie to jest jednak dla filmu najważniejsze. Każda kolejna scena przeobraża go w coś innego: w namysł nad istotą kapłaństwa, przypowieść o zemście i przebaczeniu, o kłamstwie, które nieoczekiwanie wyzwała prawdę, w historii pasyjną... Niezależnie od światopoglądu każdy może odnaleźć tutaj coś istotnego dla siebie. Podobnie jak u Kruhlika, dostajemy rzadki w polskim kinie obraz rodzimych peryferiów, nieskażony protekcjonalizmem, pochopnym ferowaniem ocen czy karykaturalnym skrzywieniem.

Jury pod przewodnictwem Macieja Wojtyzki dostrzegło na szczęście tę wielkowieściowość, nagradzając „Boże Ciało” za reżyserię, scenariusz i drugoplanową rolę Elizy Rycembel. Jeśli dolożyć do tego nagrodę publiczności i dziennikarzy oraz docenioną wcześniej obecność filmu na festiwalach w Wenecji i Toronto, trudno wyobrazić sobie lepszego polskiego kandydata do Oscara. Również dlatego, że Komasa potrafi o tym, co bardzo kameralne i lokalne, opowiedzieć językiem powszechnie zrozumiałym.

Zaściankowość, rozumiana jako obsesyjna wsobność, wydaje się zresztą ostatnią rzeczą, którą by można dziś zarzucić polskiemu kinu. Zwycięski „Obywa-

tel Jones”, a także nakręcony w Toskanii, znany już z ekranów „Słodki koniec dnia” Jacka Borcucha i „Dolina Bogów” Lecha Majewskiego, czyli powstała w krainie Indian Navaho imponująca wizja upadku naszej cywilizacji, to przykłady różnie rozumianego kina bez granic. Nikogo już nie dziwią mieszające się języki ani obecność w polskich filmach nazwisk formatu Petera Sarsgaarda, Johna Malkovicha czy Billa Pullmana.

Miniona epoka

O różnorodności polskiej kinematografii niechaj świadczą też trzy zupełnie inaczej sprofilowane wycieczki do czasów PRL-u. Najwięcej entuzjazmu wzbudził na festiwalu „Ikar. Legenda Mietka Kosza” Maciej Pieprzycy, nagrodzony Srebrnymi Lwami oraz za zdjęcia Witolda Płóciennika, muzykę Leszka Możdżera, kostiumy Agaty Culak, charakteryzację Jolanty Dańdy i za kolejny, maksymalnie „wcieleniowy” występ Dawida Ogrodnika w roli tytułowej.

Film przywraca pamięć o genialnym niewidomym pianiście jazzowym, lecz ucieka od klasycznej biografii. Z muzyki, barw, wyłapywanych z otoczenia detali czy z zakłóceń ostrości obrazu próbuje stworzyć osobny język filmowy, odpowiedni dla wrażliwości głównego bohatera i jego sposobu percepcji. Na lata 60. i wczesne 70., kiedy to jesteśmy świadkami muzycznych wzlotów i życiowych upadków Kosza, nakładają się powidoki i refleksy z wczesnego dzieciństwa, kiedy przyszły wirtuoz zaczął tracić wzrok, odnajdując w muzyce nowy sposób komunikacji czy ekspresji. I jakkolwiek tragiczne zakończenie nieodwracalnie zostało wpisane w tę historię, a Polska Ludowa, mimo swoich licznych smaczków, klimatów i anegdot, nie jest najlepszym środowiskiem dla samotnego, niepełnosprawnego artysty, pulsuje w „Ikarze” rodzaj pozytywnej energii, która sprawia, że jednak „chce się żyć” – by przywołać tytuł innego filmu Pieprzycy, z równie wyczerpującą rolą Ogródnika.

Znacznie bardziej demoniczny obraz czasów komuny pojawia się w „Ukrytej grze” Łukasza Kośmickiego, gdzie pojedynek szachowy pomiędzy mistrzami USA i ZSRR staje się przykrywką dla szpiegowskiej afery z kryzysem kubańskim w tle. Reżyser zrobił swój film dynamicznie, „po amerykańsku”, z międzynarodową obsadą, świetnie ogrywając zakamarki



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek

o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM

| Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój

| 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane

– 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

| Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Bartosz Bielenia w „Bożym Ciele” Jana Komasy

Pałacu Kultury i Nauki, gdzie toczy się większa część akcji, co przyniosło twórcom Nagrodę Specjalną Jury i zbiorową za montaż.

Znajoma iglica wznosi się także w „Panu T.” Marcina Krzysztalowicza, a wyprawa do czasów stalinowskich zamienia się z jednej strony w stylową czarno-białą pocztówkę z epoki, z drugiej w łotrzykowską opowieść o ówczesnym życiu literackim, z trzeciej zaś – w poruszającą i ponadczasową historię o zarażeniu wolnością. Grany przez Pawła Wilczaka bohater kontestuje ówczesny system głównie w formie estetycznej, za to prawdziwą z nim wojnę toczy na kartach swojej powieści, czym wzbudza podejrzliwość służb bezpieczeństwa. Inwigilujący Pana T. plebejski sąsiad (w tej roli słusznie nagrodzony Sebastian Stankiewicz) odkrywa, że życie może mieć smak inny niż konserwa z mielonką. Może być jak dobra literatura albo jak swobodna improwizacja jazzowa.

Tu warto dodać, że film Krzysztalowicza o mały włos nie stałby się w Gdyni kolejnym „półkownikiem”. Jego bohater nosi cechy wielu barwnych postaci z tej ponurej epoki, między innymi Leopolda Tyrmanda i Tadeusza Konwickiego, lecz nie przeszkodziło to spadkobiercy pierwszego z wymienionych pisarzy zarzucić twórcom bezprawnego czerpania z jego

dzienników, przez co PISF nie wypłacił filmowi obiecanej dotacji. Szkoda, że niezdrowa aura sensacji przyćmiła rzeczywistą wartość filmu, który wyraźnie celuje ze swoim przesłaniem bardziej w teraźniejszość aniżeli w przeszłość – stąd pewnie obecność w epizodycznych rólkach Kazimierza Kutza, Jacka Fedorowicza czy... Leszka Balcerowicza.

Niebezpiecznie blisko plaży

„Sztuka będzie albo niezależna, albo nie będzie jej wcale” – mówił reżyser „Bożego Ciała” podczas finałowej gali. W podobnym tonie wypowiadali się Holland, Ogrodnik i Krzysztof Zanussi, który odbierał w Gdyni Platynowe Lwy, czyli nagrodę za całokształt twórczości, niemal równocześnie tracąc stanowisko szefa zasłużonego Studia Filmowego TOR, poddawanego właśnie likwidacji. I choć z tej samej sceny Jarosław Sellin, sekretarz stanu w ministerstwie kultury, zapewniał o szacunku obecnej władzy dla filmowców, w Gdyni te słowa brzmiały jak kiepski żart.

Z tym większą niecierpliwością oczekiwać należy zaproponowanych przez Gildię Reżyserów Polskich zmian w regulaminie: przywrócenia funkcji dyrektora artystycznego i sekcji „Inne Spojrzenie” jako przestrzeni dla filmów eksperymentujących z formą, uniezależnienia selek-

cji od urzędników, wreszcie – uczynienia z festiwalu forum żywej, nieskrępowanej debaty nad polskim kinem. Wobec centralizacji kinematografii i planowanej gigantomanii produkcyjnej rola takich wydarzeń jak wrzesniowe święto polskiego filmu, honorujące kino artystyczne i jego twórców, staje się tym bardziej nie do przecenienia.

W filmie „Solid Gold”, który wbrew oczekiwaniom nie atakuje wprost jednej politycznej opcji, pokazuje za to zbłątowanie biznesu, świata przestępczego, służb mundurowych i polityki, a głównym miejscem akcji są okolice gdyńskiego festiwalu: kawiarnie, uliczki, wieżowiec przy plaży, port morski. Na spóźnionym, zorganizowanym naprędce pokazie niedoszłego „półkownika” publiczność nerwowo chichotała na ten znajomy widok. Apel filmowców o większą przejrzystość festiwalowych reguł, tudzież wyrażany publicznie opór wobec zewnętrznych prób sterowania programem muszą teraz przekuć się w formalne zapisy, respektowane przez każdą ze stron, bez nie-domowień, kombinacji i przeczucia odpowiedzialności. A wołanie o jedność środowiska filmowego nie może zagłuszyć słów konstruktywnej krytyki dotychczasowego funkcjonowania gdyńskiej imprezy. Tylko wówczas uda się uratować ten tonący okręt. © ANITA PIOTROWSKA

WARTO ZOBACZYĆ W TV [28 IX – 4 X]

1. The Spy

Miniserial,
reż. Gideon Raff,
Francja 2019,
Netflix
Eli Cohen był
w latach 60. czołowym

szpiegiem Mossadu. Przez sześć odcinków śledzimy jego działalność w Syrii, gdzie w przebraniu biznesmena zdołał wśliznąć się w najwyższe kręgi rządowe i wojskowe. Rolę główną (i zupełnie dla niego nietypową) gra Sacha Baron Cohen.

2. Beksiniści. Album wideofoniczny

Dokumentalny,
reż. Marcin
Borcharadt, Polska
2017, Cinema
VOD

Na podstawie

materiałów wyłącznie archiwalnych, w tym wielu dotychczas nieznanych, w większości pozostawionych przez Zdzisława Beksińskiego, powstało coś więcej niż intrygujący portret rodzinny. To także uduchowiona historia audiowizualna, zarejestrowana za pomocą różnych narzędzi.

3. Katarzyna Wielka

Miniserial,
reż. Philip Martin,
Wielka Brytania
2019, odc. 1, HBO
GO, 3 X, HBO,
4 X, 20.10

Czteroczęściowa opowieść o schyłkowym okresie panowania drapieżnej carycy to przede wszystkim aktorski popis Helen Mirren, która koronę potrafi nosić jak mało która ze współczesnych aktorek. Pośród dworskich intryg i romansów wytania się także opowieść o zmieniającym się imperium rosyjskim w XVIII wieku.

4. Przemysłnik

Dramat, reż. Clint
Eastwood, USA
2018, CHILI
Clint Eastwood,
mimo prawie
90 lat, nie wycho-

dzi z roli kowboja, zaprowadzającego własny porządek tam, gdzie króluje bezprawie. W swoim filmie wciela się w postać krzepkiego emeryta, który w akcie desperacji podejmuje pracę dla meksykańskiego kartelu.



Serialowe gwiazdy: Lisa Kudrow (Phoebe), Matt LeBlanc (Joey), Jennifer Aniston (Rachel), Courteney Cox (Monica) i David Schwimmer (Ross).

Przyjaciele na okrągło

ANNA PIEKUTOWSKA

Przed telewizorem widz czuje, jakby mógł w każdej chwili przycupnąć przy stole w kuchni albo zapaść się w kawiarnianym fotelu. I tak od 25 lat.

ROBERT DE NIRO POZWAŁ WŁAŚNIE swoją byłą asystentkę Chase Robinson o odszkodowanie wysokości 6 mln dolarów. Oskarża ją o nadużycia finansowe i fałszerstwa, ale media rozpisują się o sprawie z innego powodu: Robinson w ciągu czterech dni obejrzała w pracy na służbowym komputerze 55 odcinków serialu „Przyjaciele”. Ta sensacyjna część oskarżenia budzi w opinii publicznej więcej zrozumienia niż oburzenia. Zapewne każdy choć raz tak zaangażował się w serial, że nie mógł przestać go oglądać. Tylko dlaczego Robinson wybrała serial, który obchodzi właśnie ćwierćwiecze powstania, a nie jakiś nowy hit?

Od premiery „Przyjaciół” w 1994 r. w oglądaniu seriali nastąpił przeciętne zwrot. Coraz więcej widzów przesuwa się na serwisy internetowe – jak Netflix czy HBO GO. Tu można oglądać w dowol-

nych dawkach i porach. W 2018 r. platformy internetowe wyprodukowały lub zamówiły więcej seriali niż stacje telewizyjne. W USA w ciągu dekady liczba produkowanych seriali zwiększyła się ponad dwukrotnie. „Przyjaciółom” udało się przetrwać tę rewolucję – rzecz niebywała.

W 2014 r. Netflix zapłacił 30 mln WarnerMedia za prawa do umieszczenia „Przyjaciół” na swoich serwerach. To były dobrze wydane pieniądze – serial jest na drugim miejscu pod względem oglądalności na platformie. Pewnie dlatego ostatnie przedłużenie umowy kosztowało Netfliksa już trzy razy więcej. Na tym zapewne koniec, bo WarnerMedia jeszcze w tym roku uruchomi własny serwis streamingowy, a „Przyjaciele” z pewnością będą jego ikoną. Na razie do 2020 r. można ich oglądać na Netflixie, a w Polsce również na kanale Comedy Central.

Się kręci

Rok po premierze „Przyjacie” zostali trzecim najbardziej popularnym serialem w USA. Potem było tylko lepiej – niektóre odcinki oglądało ponad 50 mln osób (dla porównania: finał „Gry o tron” w telewizji obejrzało 20 mln). W „Przyjaciółach” gościnnie występowali Danny De Vito, Julia Roberts, Bruce Willis, a serial pokazywano w ponad 100 krajach. Sypał się deszcz nagród dla serialu i aktorów.

Co druga ubraniowa sieciówka sprzedawała T-shirty czy bluzy nawiązujące do „Przyjaciół”. W tym roku Pottery Barn, jedna z dużych firm meblowych z USA, stworzyła kolekcję poświęconą „Przyjaciółom”. Można też budować ich świat z klocków Lego albo zagrać w tematyczne Monopoly, w którym zamiast domków i hoteli są kojarzące się z serialem kubki i kanapy. Fanów kuszą kawiarnie, które nawiązują wystrojem i nazwą do serialowej Central Perk. Lokali zrobiło się tyle (są i w Toruniu, i w Warszawie), że WarnerMedia zastrzegł nazwę.

Fani wykupują wejściówki do instalacji ze scenografią z serialu, tzw. Friends-Festy. Dzięki nim można poczuć się jak jeden z „Przyjaciół” i zrobić zdjęcia, które dobrze wyglądają na Facebooku czy Instagramie. Wystawy krążą po świecie – w sierpniu jedna odwiedziła Warszawę. Organizator dwa razy powiększał pulę biletów. Konkurs z okazji 25-lecia serialu ogłosiła amerykańska firma telekomunikacyjna. Każdy, kto przez 25 godzin bez przerwy będzie oglądał „Przyjaciół” i relacjonował to na bieżąco w mediach społecznościowych, otrzyma tysiąc dolarów i roczny dostęp do Netfliksa.

Pary i homary

Serial od początku kręcono z udziałem publiczności. Żarty, które wzbudzały największy entuzjazm, wchodziły do odcinka, a przyjęte chłodniej wypadały w montażu. W „Przyjaciółach” znika więc czwarta ściana – widz czuje się, jakby mógł w każdej chwili przycupnąć przy stole w kuchni albo zapaść się w fotelach wokół stolika w kawiarni. Wielkie kubki, ciepłe kolory i dużo przytulania. Oglądanie takiego świata daje poczucie bezpieczeństwa, zadowolenia w miejscu, gdzie czekają na nas, no właśnie: przyjaciele. Bohaterowie mają mnóstwo czasu, żeby przedyskutować przy kawie życiowe rozterki. I tak pozostaje, nawet kiedy zaczynają robić kariery i zakładają rodziny.

Aby zrozumieć, o co chodzi ludziom, którzy nadal cytują kultowe teksty z serialu, jak „*We were on the break*” (Przećieź zrobiliśmy sobie przerwę), i chodzą w koszulkach z logo F.R.I.E.N.D.S., należy cofnąć się aż do 1975 r., kiedy to zaprzyjaźnili się ze sobą główni scenarzyści serialu – Marta Kauffman i David Crane. Gdy szlifowali pomysł na „Przyjaciół”, natchnieniem były ich doświadczenia z czasów tuż po studiach. Własne historie przerobili na komediową opowieść o dwudziestoparolatkach z Manhattanu.

Cała szóstka szuka pracy, miłości i sensu w życiu. Tworzy coś na kształt rodziny – wspólnie ogląda telewizję, je, a przede wszystkim spędza godziny na błahych rozmowach na kanapie w kawiarni. Jednocześnie przeżywa poważne problemy. Ross tworzy patchworkową rodzinę ze swoją byłą żoną lesbijką, Phoebe jako surogatka rodzi dziecko swojego brata, a Monica i Chandler walczą z bezpłodnością. Zawsze trzymają się razem, czasem aż do przesady. W sezonie trzecim, ze względu na rozstanie Rachel z Rossem, w paczce następuje rozłam. Już nie spotykają się w sześcioro, są zazdrośni o czas spędzany z innymi. Scenarzyści szybko zażegnują kryzys – cokolwiek by się wydarzyło, przyjaciele muszą trzymać się razem. Ale nie są aniołami. Zachowują się egocentrycznie, mają wady, bywają nieznosi i irytujący.

Serial też ma wiele wad. Nie ma tu wyszukanego humoru: są zabawne riposty, żarty sytuacyjne, gagi często oparte na stereotypach. Te ostatnie oburzyły zwłaszcza młodsze pokolenie widzów, które poznało „Przyjaciół” dopiero, gdy serial pokazał Netflix. Czy wszystko można usprawiedliwiać tym, że dziś obowiązują inne standardy niż w latach 90.? Już na początku emisji padały zarzuty o małą różnorodność rasową postaci, zwłaszcza jak na Nowy Jork. Zgłaszała je m.in. Oprah Winfrey, królowa amerykańskiej telewizji, kiedy po pierwszym sezonie w jej programie gościła szóstka aktorów.

Najbardziej uwiera liczba seksistowskich żartów. W 2011 r. Tijana Mamula umieściła w serwisie YouTube filmik „Homophobic Friends”. Kompilacja żartów z orientacji seksualnej i tożsamości płciowej trwa aż 50 minut.

Wątpliwości budzą scenariuszowe dziury. Jak właściwie doszło do tego, że tak różni ludzie żyli się ze sobą? Czy Monica i Ross, dzieci bogatych mieszczan,

zaprzyjaźniłyby się z bezdomną w dzieciństwie Phoebe? Jak do mieszkania na Manhattanie trafił Joey, początkujący aktor z wielodzietnej rodziny imigrantów? Jak się dogaduje z wykształconym jednakiem Chandlerem? Na takie pytania nie ma miejsca w „Przyjaciółach”.

Zdumienie budzi też sposób przedstawienia swoistej osi dramatycznej serialu, czyli relacji między Rossem a Rachel. Podczas gdy scenarzyści chcą przekonać widzów do tego, że główna para serialu jest jak homary, które zakochują się raz na całe życie i spacerują, trzymając się za szczytce, rzeczywistość wygląda mniej bajkowo. Zaborcze zachowanie Rossa, gdy jest zazdrosny o sukces zawodowy swojej dziewczyny, wcale nie jest romantyczne. Bohater to raczej obsesyjnie zakochany, niepewny siebie facet, który traktuje kobietę jak własność, a potem ją zdradza. Rachel bywa neurotyczna i lekomyślna. Przez 10 sezonów para schodzi się i rozchodzi, aby ostatecznie zakończyć serial happy endem, ale zamiast trzymać kciuki za wspólną przyszłość, ma się ochotę krzyczeć: „Dziewczyno, uciekaj!”.

Wystarczy

„Przyjacie” nie zyskaliby tak ogromnej popularności, gdyby nie obsada. Niemal od początku szóstka – w większości początkujących – artystów się zaprzyjaźniła. Jennifer Aniston, Lisa Kudrow, Courteney Cox, Matt LeBlanc, David Schwimmer i Matthew Perry do dziś mówią o sobie w superlatywach. Od drugiego sezonu wszystkie decyzje podejmowali razem: od negocjacji podwyżek po decyzje o dalszym zaangażowaniu w serial. Producentom oświadczyli, że jeśli któreś zostanie zwolnione, reszta zrezygnuje z udziału w „Przyjaciółach”. Honorarium za ostatnie dwa sezony wynosiło dla każdego po milion dolarów za odcinek.

Czy „Przyjacie” wrócą? Szanse są marne. Cała obsada jest już po pięćdziesiątce i nie pasuje do ról, za które została pokochana, i życiowego momentu, w którym przyjaciele zastępują rodzinę. Fanom pozostaje 90 godzin serialu: 240 odcinków i 10 sezonów, co daje potencjał do oglądania ich w kółko. Bo przecież prawdziwi wielbiciele „Przyjaciół” nigdy nie zrobili sobie od nich przerwy. ©

ANNA PIEKUTOWSKA jest współautorką audycji „Szkoda czasu na złe serie” w radiu TOK FM.

JAN

Klata:

Bijące serce narodu



SALOMONOWE ROZWIĄZANIE, WRĘCZ SALOMONOWE, nie idzie wręcz nie przyznać, że ręce same składają się do oklasków dla Prezesa TVP. Wilk syty, owieczki całe, mogą pobeczeć gdzieś na boczku w Kanale Kultura, a suweren utwierdzony

w guście swoim, nie tyle utwierdzony, co utwardzony w przekonaniu, że są gusta i guściki, i wolność Tomku w swoim domku, bez kompleksów na Narodowym – bądź co bądź – Stadionie, oraz Narodowej TVP. Telewizja jest publiczna jak kamienica szefa NIK, więc zaspokaja szerokie potrzeby milionów melomanów, i w ramach owego zaspokajania transmituje galę disco polo, a nie transmituje jakiegoś tam święta polskiego kina, co to wielce podejrzane. Nisza „inteligentów” musi poznać swoje miejsce w szeregu, a zważywszy, że sam Prezes TVP brykał w drugim rządzie na Roztańczonym Narodowym, to nisza się po prostu w nowej Polsce nie mieści,

chyba że w kanale, kanale kulturalnym z odpowiednio żadną oglądalnością.

Na Narodowym Obiekcie odbyła się kontynuacja Pułtuska, gdzie kilka tygodni temu Prezes Wszystkich Prezesów zachęcał wszystkich, którzy udają, że nie lubią disco polo, żeby po prostu wyszli z szafy. Uważam, że zarówno przesympatyczny Pułtusk, jak i cała Polska zasługują na więcej, ale to moja, wielce niszowa opinia. W każdym razie władza nawet nie kryje, że kulturę ma tam, gdzie ma. Konstatując bolesny fakt, że tzw. nowych elit nie udało się wyhodować, że nie mają kogo w Gdyni wypromować, obóz prawicy dokooptował stare, dobre elity discopolowe, pocieszając się skoczną, bezproblemową serią dźwiękopodobną o dużym natężeniu głośności.

Koi nerwy? Koi. Po co się z artystami użerać, oni kásają rękę, która ich karmi, niewdzięcznicy, niech siedzą w niszach. Jeśli chodzi o misję, to Prezydent Duda urządzi czytanie czegoś starego i sprawa odpajkowana, muzeum się zrobi tu i ówdzie, i też dobrze. Reforma edukacji i reforma kultury, nowe priorytety ręką w rękę, odrobinkę brakowało na Roztańczonym Narodowym muzyki naprawdę patriotycznej, ale ukradziony Niemenowi hymn kibiców był, więc może w przyszłości jest nadzieja na więcej. Serce narodu bije coraz równiej, rytmicznie.

Czy mnie to dziwi? Mnie już naprawdę prawie nic nie dziwi, a od jesieni to już chyba nie zdziwi mnie nic. Oczywiście, troszkę się jeszcze dziwię, że rodacy się nie dziwią, ale mi przechodzi, naprawdę, przywyknę. Tylko Smoleńska mi brakuje. Gdzie Smoleńsk? ©

Lektor:

Smak minionego czasu



■ Jerzy Pilch,
WIDOK Z MOJEGO BOKSU
Wydawnictwo Znak,
Kraków 2019, ss. 238.

MŁODE KOLEŻANKI I MŁODZI koledzy, zaludniający dziś nowoczesny i funkcjonalny newsroom Tygodnikowy, nie bardzo umieją sobie wyobrazić, jak on wyglądał w pierwszej dekadzie III Rzeczypospolitej. A to wtedy właśnie rozległe pomieszczenie zmieniło się na kilka lat w ponury labirynt ciasnych boksów, wydzielonych brutalistycznymi przepierzeniami. Krzysztof Kozłowski żartował, że

młodsze pokolenie redaktorów, nieprzywykłe do życia w wolności, odreagowało szok niepodległości, budując sobie namiastkę więzienia. Jeden z boksów, tuż przy potężnym piecu, zajmował wówczas Jerzy Pilch, felietonista i redaktor działu kultury. Boks ów, a także strategicznie położone biurko w sekretariacie, przy którym dyktował Teresie Skocznińskiej swoje teksty, pojawiają się u Pilcha w obrazkach z życia „Tygo-

dnika”, jak arcydzielny felieton tytułowy i równie świetni „Młodzi z »bruLionu«”. Obok – wielkie i ważne postacie, na czele z Jerzym Turowiczem i jego przyjaciółmi, jak Czesław Miłosz i Jan Błoński. Pilch, ewangelik z Wisły, spotyka na Wiślniej trzech niezwykłych księży katolickich – Andrzeja Bardeckiego, Józefa Tischnera i Stanisława Musiała – i portretuje ich z fascynacją, a nawet, ośmieliłbym się powiedzieć, miłością. Podobnie jak Bronisława Mamonia, cudownie roztargnionego szefa działu kultury, który wciąż gnął go do pracy w naszym piśmie. Marian Stala we wstępie („Luter z Tygodnika”) przypomina, że lata 1989-98 to dla Pilcha dekada rozkwitu talentu i rosnącego rozgłosu. A krakowskie doświadczenia i redakcyjna perspektywa powracają u niego i później. Tamta epoka jest bezpow-

rotnie zamknięta: niemal wszyscy seniorzy umarli, część ówczesnych młodych odeszła z własnej woli lub nie, sam Pilch rozstał się w 1998 r. z redakcją i wyjechał do Warszawy, przenosząc felieton do „Polityki”, choć w przyszłości wróci jeszcze na łamy. Został „Widok z mojego boks”, autobiograficzny i nostalgiczny, zostały ilustrujące go zdjęcia Kasi Morstin, niestrudzenie utrwalającej redakcyjną codzienność. Stala tak kończy swój wstęp: „Był kiedyś świat, w którym na Wiślniej spotykali się Jerzy Turowicz, Czesław Miłosz, Józef Tischner, Ryszard Kapuściński. Był świat, w którym do Krakowa przyjeżdżał Josif Brodski. Mnie też zdarzyło się ich widywać. Ten świat odszedł w przeszłość. Książka Jerzego Pilcha o tym świecie mówi, do tego świata powraca”. Dodabym: i choć na chwilę go wskrzesza. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Kebab z automatu



TO BYŁA SOBOTNIA PORA, NA TYLE PÓŹNA, ŻE w tej okolicy, nieopodal dworca, żaden prawy obywatel już nie ma po co łązić. Sklepy pozamykane, a z placówek rozrywki są tu może jedynie domy schadzek, ale dzięki reporterom śledczym wiemy:

przybytki te nie wydają paragonów, więc im bardziej prawy jest ów obywatel, tym bardziej go tam nie spotkamy. Ale też pora na tyle wczesna, że przejściem podziemnym nie ciągnęły jeszcze od przystanku do przystanku ofiary eksperymentów na wątrobie i mózgu, jakim co weekend poddają się miliony wolontariuszy. Dzięki ich poświęceniu nauka może doskonalić teorię o wpływie alkoholu na cofnięcie procesu ewolucji.

Krótko mówiąc, byłem sam jak palec w przestrzeni jarzeniowej, bezdusznej, wprawdzie bezpiecznej dzięki obecności kamer, ale takiej, z której chce się uciekać. Jednak w ostatniej chwili zatrzymał mnie połysk ustawionego w kącie automatu, bo obiecywał coś więcej niż standardowy batonik, puszkę coli czy kubek słodzonej farby emulsyjnej, zwany czekoladą na gorąco. Tu można było dostać kebaba za 10 złotych. Normalnie nie jestem wielkim miłośnikiem ani kebabów (mam poważne obawy co do jakości mięsa), ani automatów, ogromnie lubię niechby i śladową interakcję z człowiekiem, nawet opryskliwym. Ale poczułem, że to jednak jest nowe terytorium smaku, pchnęła mnie ciekawość badacza-przyrodnika i pewien rodzaj poczucia obowiązku wobec czytelnika naszej rubryczki – jeśli przyszłość jedzenia rysuje się tak ponuro, no to ktoś wam jest winien jej rzetelny opis.

Dwa rodzaje mięsa, trzy rodzaje sosu, wziąłem wołowe z łagodnym, ekran dotykowy okazał się bardziej przyjazny od tych, które służą do zamawiania u McDonalda. Ale tam chociaż cheeseburgera składają do kupy jacyś ludzie, uwijający się w tle. A tutaj wielka szafa miała wszystko wykonać sama, mocą skomplikowanych dźwigni, podajników, wysięgników i hydraulicznych tłoczków. W każdym razie tak to sobie wyobrażałem, domyślając się za gładką powierzchnią obecności robota godnego cudów z dworu cesarza Rudolfa w Pradze. Poczułem nawet coś w rodzaju pokory, skoro maszyna umie już sklecić sama kebaba, rzecz jednak nie taką najprostszą, wymagającą najpierw podgrzania mięsa i zgrillowania placka, po czym równomiernego rozłożenia warzyw i sprytnego zawinięcia, tak by nadzienie nie wypadło jedzącemu na spodnie... To znaczy że przyszłość naprawdę nadeszła: to samo miałem poczuć, gdybym ujrzał w działaniu nową aplikację do tłumaczeń, w której sztuczna inteligencja poradziła

sobie z prostym tekstem prasowym wcale nie gorzej, niżbym to zrobił ja, ślęczący po nocach nad przekładami.

Ponieważ zmierzałem akurat w odwiedzinach do włoskich kolegów-kucharzy, zacząłem sobie wyobrażać, jak prosto – o wiele prościej niż z kebabem – dałoby się zautomatyzować przygotowanie dobrego makaronu. Baniak ze stałe wrzącą wodą, w to się zanurza koszyk z kluskami, potem wpadają one do wklęsłego podgrzanego pojemnika z porcją sosu, który chwilę wiruje, by wszystko rozmieszać... Kiedy już szedłem dalej, miałem w głowie cały plan i tylko nie wiedziałem, jak rozwiązać kwestię regularnego czyszczenia całego ustrojstwa z resztek. Co zresztą tylko potwierdzało moje przekonanie, nabyte w trakcie zarządzania knajpą, że kluczowym ogniwem w dobrze działającej kuchni jest zmywak. Kucharz może nawet na pół dnia scedować swoje obowiązki byle komu, jeśli ma wszystko przygotowane. Na zmywaku nie może zabraknąć sprawnej dziewczyny czy chłopaka nawet na kwadrans, bo machineria się zacina.

I zostałem dalej z tą mieszańką podziwu i przygnębienia, pogodnej rezygnacji i zaciekawienia, gdybym, zjadłszy już tego kebaba, nie sięgnął w głąb internetu, by się dowiedzieć, że automat tyle tylko umie, że podgrzewa i sprzedaje kebaby zwinięte gdzieś wcześniej w prawdziwej kuchni. Owszem, robi to sprytnie, bo placek jest chrupki, a warzywa nadal jakby świeże, nieprzegrzane, ale jednak to jest nadal coś jak montownia, która nie jest godna miana prawdziwej fabryki. Zrobiło mi się źle na sercu i wypełniła je wdzięczność do nieszczęśliwych sprzedawców z wszelkich orlenów i żabek, od których czasem zmuszony nagłymi okolicznościami kupuję hot dogi lub zapiekanke. Przeczuwając ból brzucha, jaki wywoła zaraz paskudna parówka i buła, zwykle nie patrzę im w twarz, biorę swoje i wychodzę gdzieś byle dalej. Ale to dobrze, że jednak są, mają jakoś na imię, coraz częściej zresztą ukraińskie. Chociaż wobec klienta wypowiadają tylko trzy formułki ze szkolenia, to wstali rano z jakimiś wspomnieniami i położyli się z nadzieją na coś jutro. A gdyby padł prąd i internet, zrobili być może głupią minę, ale to i tak lepiej niż ekran z napisem „Error”. ©P



Z okien ciągnie już ziąb – zanim włączy się centralne, wykorzystuję piekarnik do ogrzania kuchni. Kiedy nie mam okazji, to znaczy nie piekę niczego szczególnego, wrzucam choćby buraka, by go potem pokroić w kostkę razem z ogórkiem kiszonym na pobudzającą śniadaniową sałatkę. Albo piekę ziemniaki, to się nigdy nie zmarnuje. Czasami, kiedy mi się znudzą takie z oliwą i rozma-

rynem, robię inną wersję „śródziemnomorską”. Kilo **ziemniaków** szorujemy i bez obierania kroimy w wąskie cząstki, wrzucamy do dużej miski. Dodajemy 2 **cebule** pokrojone w grube piórka, 2 obrane ząbki **czosnku**, łyżkę **kaparów** (wyplukanych z soli) i parę łyżek **czarnych oliwek** bez pestki. Na koniec puszka siekanych **pomidorów**, **sól**, **pieprz**, szczodra porcja **oregano**. Mieszmamy wszystko energicznie, dolewamy parę łyżek **oliwy**. Przekładamy do brytfanki dobrze wysmarowanej oliwą, pieczemy w 180 stopniach ok. 45 minut, mieszając kilka razy w trakcie.

STANISŁAW

Mancewicz:

O dobrym humorku



ZAPEWNE NIGDY W SWEJ HISTORII LUDZKOŚĆ nie miała tak ogromnej biblioteki wszelkich instrukcji obsługi. Dziś, popatrzmy, każda czynność ludzka – czy to fizyczna, fizjologiczna, czy czysto umysłowa – ma instrukcje filmowe, pisane i obrazkowe.

Niezliczone rzesze autorytetów od wszystkiego codziennie, co minutę wydają miliony komunikatów, jak żyć, co i jak czynić, co myśleć. Ilość pouczeń, dla przykładu, jak z sukcesem i bez żenujących błędów moczyć nogi w miednicy, to dziś setki godzin materiałów filmowych, bowiem moczenie nóg może przynieść albo sukces życiowy, albo klęskę odciskającą się na karierze, zdrowiu i kondycji firmy moczącego. Bardziej niżowe porady ułatwiają przeczytanie „Pana Tadeusza” w kwadrans, bez zbędnych przerw w nakładaniu samoopalacza, bądź to inteligentnego serum pod oczy.

Oto nie ma dziś niczego takiego, co by nie miało profesjonalnej instrukcji czynienia owego idealnie, nie ma też – zważmy – towaru średniej jakości ani takowej usługi. Wszystko wokół jest albo znakomite, albo niezasługujące na uwagę. Byłe mydło do mycia paszczy jest skrajnie luksusowe, choćby uczyniono je z mielonych dziobów bądź kopyt i zaprawiono sokiem z sierści, naturalnie z pierwszego tłoczenia. Żyjemy w głęboko deprymującym świecie ideału, wszystkie dostępne łóżka są najwygodniejsze, gacie najseksowniejsze, wszystkie kosmetyki utrzymują nas w nienaruszalnej młodości, politycy zaś, których popieramy, operują krystaliczną prawdą, a nieskuteczność jest im tak mniej więcej obca, jak przekłeta kultura śródziemnomorska.

Takie są plus minus założenia dzisiejszości i akurat o niej chcielibyśmy tu pogwarzyć, a przede wszystkim o konse-

kwencjach takiego stanu rzeczy, dodawszy tu jedną okoliczność, że choćby człowiek jako ów Słupnik był oderwany od elektroniki, to i tak zaraz znajdzie się ktoś, kto spod słupa owego wykrzyczy mu reklamę wspomnianego już kremu koloryzującego. Na tym mniej więcej chcielibyśmy zakończyć ową żenującą, bo oczywistą dawkę narzekania na świat zastany i przejść do konkretnego o charakterze politycznym oraz do – jakżeby inaczej – profesjonalnej analizy.

Otóż mniemamy, że groza znalezienia się szarego wyborcy na dnie upiornego odepchnięcia od ideału wywołuje u niego mus poszukiwania przestrzeni mu bliskich. Pojawiają się marzenia o znalezieniu kogoś mu podobnego, czyli także jak on zagubionego, nieidealnego, niewolnego od wstydliwych niedoskonałości i nieudanego, bowiem – zważmy – ludzie są w swej prawdziwej masie ogromnie nieudani. W tym sensie świat się zmienił o tyle, że dziś motywem wyborcy jest ucieczka od własnej, żalostnej śmieszności, co dawniej przy wybieraniu przedstawiciela do parlamentu było chyba motywacją nieznaną. Ostatnie lata wyraźnie pokazują, że im większe kłopoty ma władza, im jest bardziej niemoralna, śmieszna, im gorzej wydaje nieswoje pieniądze, im są częściej do niej dobierani ludzie bez kompetencji – tym większą budzi sympatię, jest tym bardziej idealna, o czym wspomnieliśmy na początku, bowiem wyraźniej jest podobna do swych wyborców bądź to na jej tle można wreszcie uznać swą lepszość. Zaiste, lepiej wybrać archaicznego osła, by mu się móc poprzyglądać z wyższością, i posłuchać, jak nie umie sklecić jednego poprawnego zdania, jak szalenie kradnie, kłamie i jak jest wulgarny do tzw. spodu. To robi dobry humor i daje poczucie obywatelskiego zadowolenia.

Wszelkie śledztwa dziennikarskie czy filmy dokumentalne obrazujące – mówiąc delikatnie – niedoskonałość ludzi władzy im są drastyczniejsze, tym mocniej utwierdzają publiczność w przekonaniu o słuszności jej wyboru. Im bardziej władza łyży tych, którzy odnieśli sukces, tym bliższa ciała. Jest to – zważmy – interesujące, jeśli idzie o formułowanie wieszczb dotyczących przyszłości, na przykład sposobu przyszłego doboru ministrów. Otóż będą to zapewne ludzie, których główną kompetencją będzie gruntowny brak kompetencji, i będzie to podstawowy parametr zadowolenia mas. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE

4 wydania * **wraz z dostawą do domu**

za **69 zł**



* oferta dotyczy 4 kolejnych wydań specjalnych (numery 4/2019 i 1, 2, 3/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj okładki przedstawiają wydania archiwalne. Chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY



 Silver Bear
69th Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Grand Jury Prize

*Ten film ma siłę rażenia
równą „Klerowi”*

JANUSZ WRÓBLEWSKI, „POLITYKA”

*Ozon stawia na realizm
i prostotę, punktuje zamiast
ośmieszać. Poraża spokojem.*

DAWID DUDKO, ONET

MELVIL POUPAUD DENIS MÉNOCHET SWANN ARLAUD

DZIĘKI BOGU

REŻYSERIA
FRANÇOIS OZON



WWW.AGAINSTGRAVITY.PL
f FILMYAGAINSTGRAVITY



cojestraneza

GAZETA.PL

POLITYKA

PRASNEK

FILMWEB

TOKE

VOGUE

W KINACH OD 20 WRZEŚNIA